UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
STACKS

Digitized by the Internet Archive
in 2025 with funding from
University of Illinois Urbana-Champaign

https://archive.org/details/faraonpowiesc03prus

FARAON

PISMA
BOLESŁAWA PRUSA

TOM XIII

FARAON

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

FARAON

POWIEŚĆ

TOM III

WYDANIE SIÓDME

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFEA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

3
Ks 56f
v.3

ZAKŁADY DRUKARSKIE
F. WYSZYŃSKI I S-KA
WARSZAWA, WARECKA 15.

891.85
G51
Of1929
v. 3

ROZDZIAŁ I.

Czy prorocy podziemnej świątyni Sfinksa widzieli nowego władcę Egiptu, jak obozował pod piramidami, czy dali o nim znać do królewskiego pałacu, i w jaki uczynili to sposób? — niewiadomo. Dość, że gdy Ramzes zbliżał się do przewozu, najdostojniejszy arcykapłan Herhor kazał obudzić służbę pałacową, a gdy pan przepływał Nil, wszyscy kapłani, generałowie i dostojnicy cywilni już zgromadzili się w wielkiej sali.

Równo ze wschodem słońca, Ramzes XIII, na czele drobnego orszaku, wjechał w pałacowy dziedziniec, gdzie służba upadła przed nim na twarz, a gwardja podniosła broń przy odgłosie trąb i bębnów.

Powitawszy wojsko, jego świątobliwość udał się do łazienki i wziął kąpiel przesyconą wonnościami. Następnie pozwolił uporządkować swoje boskie włosy; lecz gdy fryzjer najpokorniej zapytał go: czy każe ogolić głowę i zarost? — pan odrzekł:

— Nie potrzeba. Nie jestem kapłanem, tylko żołnierzem.

Słowa te w chwilę później przeszły do sali audjencjonalnej, w godzinę obiegły pałac, około południa rozniosły się po mieście Memfis, a nad wieczorem znane były we wszystkich świątyniach państwa, od Tami-n-hor i Sabne-Chetam na północy do Suunu i Pilak na południu.

Na tę wieść nomarchowie, szlachta, wojsko, lud i cudzoziemcy szaleli z radości, ale święty stan kapłański tem gorliwiej obchodził żałobę po zmarłym faraonie.

Wyszedłszy z kąpieli, jego świątobliwość przywdział krótką koszulę żołnierską w czarne i żółte pasy, na nią złoty napierśnik, na nogi sandały, przywiązane rzemieniem, a na głowę płytki hełm z kolcem. Potem przypasał stalowy miecz asyryjski, który mu towarzyszył w bitwie przy Sodowych Jeziorach i—otoczony wielką świtą generałów, z chrzęstem i brzękiem wszedł na salę audjencjonalną.

Tam zastąpił mu drogę arcykapłan Herhor, mając przy sobie świętych arcykapłanów: Sema, Mefresa i innych, a za sobą: wielkich sędziów z Memfisu i Teb, kilkunastu najbliższych nomarchów, wielkiego podskarbiego, tudzież naczelników: domu zbóż, domu bydła, domu szat, domu niewolników, domu srebra i złota, i mnóstwo innych dygnitarzy.

Herhor skłonił się przed Ramzesem i rzekł wzruszony:

— Panie! Wiecznie żyjącemu ojcu waszemu podobało się odejść do bogów, gdzie kosztuje wiekuistego szczęścia. Na ciebie zaś spada obowiązek troszczyć się losem osieroconego państwa.

Bądź więc pozdrowiony, panie i władco świata, i — niech żyje wiecznie jego świątobliwość faraon Cham-sam-merer-amen-Rames-ses-neter-hogan!...

Obecni z zapałem powtórzyli ten okrzyk. Spodziewano się, że nowy władca okaże jakieś wzruszenie lub zakłopotanie. Napodziw jednak wszystkich, pan tylko zmarszczył brwi i odparł:

— Zgodnie z wolą świątobliwego ojca i prawami Egiptu, obejmuję rządy i spełniać je będę na chwałę państwa i szczęście ludu...

Nagle pan zwrócił się do Herhora i, bystro patrząc mu w oczy, zapytał:

— Na infule waszej dostojności widzę złotego węża. Dlaczego przywdziałeś symbol władzy królewskiej?

Śmiertelna cisza zaległa zgromadzenie. Najzuchwalszy człowiek w Egipcie nigdy nie przypuściłby, że młody pan rozpocznie rządy swoje od podobnego pytania, do osoby najpotężniejszej w państwie, bodaj że potężniejszej, aniżeli zmarły faraon.

Ale za młodym panem stało kilkunastu generałów, w dziedzińcu błyszczały spiżowe pułki gwardji, a przez Nil już przeprawiała się armja z nad Sodowych Jezior, upojona triumfem, zakochana w swym wodzu.

Potężny Herhor zbladł jak wosk, i z zaciśniętej krtani nie mógł wydobyć głosu.

— Pytam się waszej dostojności — spokojnie powtórzył faraon — jakiem prawem na twojej infule znajduje się wąż królewski?

— To jest infuła dziada waszego, świętego

Amenhotepa — cicho odparł Herhor. — Najwyższa rada nakazała mi przywdziewać ją w ważnych okolicznościach...

— Święty dziad mój — mówił faraon — był ojcem królowej i w drodze łaski otrzymał prawo ozdabiania swej infuły ureuszem. Lecz, o ile mi wiadomo, jego uroczysty strój znajduje się między relikwjami świątyni Amona.

Herhor już ochłonął.

— Racz pamiętać, wasza świątobliwość — objaśnił — że przez całą dobę Egipt był pozbawiony prawego władcy. Tymczasem musiał ktoś budzić i układać do snu boga Ozirisa, udzielać błogosławieństwa ludowi i składać hołdy przodkom królewskim.

Na tak ciężki czas, najwyższa rada kazała mi odziać się w świętą relikwję, aby rząd państwa i służba bogom nie ulegały opóźnieniu. Z chwilą jednak, gdy mamy prawego i potężnego władcę, składam cudowną relikwję...

To powiedziawszy, Herhor zdjął z głowy infułę, ozdobioną ureuszem, i podał ją arcykapłanowi Mefresowi.

Groźna twarz faraona wypogodziła się i pan skierował kroki swoje do tronu.

Nagle zastąpił mu drogę święty Mefres i, schyliwszy się do ziemi, rzekł:

— Racz, świątobliwy panie, wysłuchać najpokorniejszej prośby...

Ale ani w głosie, ani w oczach jego nie było pokory, kiedy, wyprostowawszy się, mówił dalej:

— Te są słowa najwyższej rady, wszystkich arcykapłanów...

— Powiedz — odparł faraon.

— Wiadomo waszej świątobliwości — ciągnął Mefres — że faraon, który nie otrzyma arcykapłańskich święceń, nie może spełniać najwyższych ofiar, tudzież ubierać, ani rozbierać cudownego Ozirisa.

— Rozumiem — przerwał pan. — Ja jestem faraonem, który nie posiada arcykapłańskiego dostojeństwa.

— Z tej przyczyny — mówił dalej Mefres — najwyższa rada pokornie błaga waszą świątobliwość o wyznaczenie arcykapłana, który mógłby was zastępować w pełnieniu religijnych obrządków.

Słuchając tej mowy stanowczej, arcykapłani i cywilni dostojnicy drżeli i kręcili się, jak na rozpalonych kamieniach, a generałowie niby niechcący poprawiali miecze. Ale święty Mefres z nieukrywaną pogardą spojrzał na nich i znowu utopił zimny wzrok w obliczu faraona.

Lecz pan świata i tym razem nie okazał zakłopotania.

— Dobrze — odparł — żeś mi wasza dostojność przypomniał o tym waszym obowiązku. Wojenne rzemiosło i sprawy państwa nie pozwolą mi zajmować się obrzędami naszej świętej religji, więc muszę wyznaczyć do nich zastępcę...

To mówiąc, pan począł rozglądać się między zebranymi.

Z lewej strony Herhora stał święty Sem. Faraon wpatrzył się w jego łagodną i uczciwa twarz i nagle spytał:

— Kto i czem jest wasza dostojność?

— Nazywam się Sem, a jestem arcykapłanem świątyni Phta w Pi-Bastis.

— Ty będziesz moim zastępcą w religijnych obrządkach — rzekł pan, wskazując na niego palcem.

Między zebranymi przeleciał szmer podziwu. Trudno było po najdłuższych rozmyślaniach i naradach wybrać na tak wysoki urząd godniejszego kapłana.

Ale Herhor pobladł jeszcze bardziej, a Mefres zacisnął sine usta i przysłonił powiekami oczy.

W chwilę później, nowy faraon zasiadł na tronie, który zamiast nóg miał rzeźbione postacie książąt i królów dziewięciu narodów.

Niebawem Herhor na złotej tacy podał panu białą i czerwoną koronę, otoczoną złotym wężem. Władca, milcząc, włożył je na głowę, a obecni upadli na ziemię.

Nie była to jeszcze uroczysta koronacja, tylko objęcie władzy.

Gdy kapłani okadzili faraona i odśpiewali hymn do Ozirisa, aby zlał na niego wszelkie błogosławieństwa, cywilni i wojskowi dygnitarze zostali dopuszczeni do ucałowania najniższego stopnia tronu. Potem pan wziął złotą łyżkę i, powtarzając modlitwy, które głośno odmawiał święty Sem, ofiarował kadzidła posągom bogów, uszykowanym po obu stronach jego królewskiej stolicy.

— Co teraz mam robić? — zapytał władca.

— Ukazać się ludowi — odparł Herhor.

Przez złocone, szeroko otwarte drzwi, po mar-

murowych schodach, jego świątobliwość wszedł na taras i, podniósłszy ręce, zwrócił się kolejno ku czterem okolicom świata. Odezwały się głosy trąb i ze szczytu pylonów wywieszono chorągwie. Kto był w polu, na dziedzińcu, czy na ulicy—padał na twarz; kij podniesiony nad grzbietem bydlęcia czy niewolnika, opuszczał się bez szkody, a wszyscy przestępcy państwowi, których skazano tego dnia, otrzymali ułaskawienie.

Schodząc z tarasu, władca zapytał:

— Czy mam jeszcze co do spełnienia?

— Oczekuje na waszą świątobliwość posiłek i sprawy państwa — odezwał się Herhor.

— Więc mogę odpocząć — rzekł faraon. — Gdzie są zwłoki mego świątobliwego ojca?

— Oddane balsamistom... — szepnął Herhor.

Faraonowi oczy wezbrały łzami i drgnęły usta. Ale pohamował się i, milcząc, patrzył w ziemię. Było rzeczą nieprzystojną, ażeby słudzy widzieli wzruszenie tak potężnego władcy.

Chcąc zwrócić uwagę pana na inny przedmiot, Herhor wtrącił:

— Czy wasza świątobliwość raczy przyjąć należny hołd od królowej matki?

— Ja?... ja mam przyjmować hołdy od mojej matki?... — rzekł zdławionym głosem faraon.

A chcąc koniecznie uspokoić się, dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Wasza dostojność zapomniałeś, co mówi mędrzec Eney?... Może święty Sem powtórzy nam te piękne słowa o matce...

— „Pamiętaj — cytował Sem — że urodziła cię i na wszystkie sposoby karmiła...“

— Mów dalej... mów... — nalegał pan, wciąż usiłując panować nad sobą.

— „Gdybyś o tem zapomniał, ona podniesie ręce swoje do Boga, a on skargę jej usłyszy. Długo nosiła cię pod sercem, jak wielki ciężar, i urodziła po upłynięciu twoich miesięcy. Nosiła cię potem na plecach i przez trzy lata pierś swą wkładała w twoje usta. Tak cię wychowała, nie brzydząc się twego niechlujstwa. A gdy poszedłeś do szkół i w pismach byłeś ćwiczony, przed twoim przełożonym stawała codzień z chlebem i piwem domu swego“ *).

Faraon głęboko westchnął i rzekł spokojniej:

— Widzicie więc, że nie godzi się, aby mnie witała matka moja. Ja to raczej pójdę do niej...

I przeszedł przez szereg sal, wykładanych marmurem, alabastrem i drzewem, malowanych jaskrawemi farbami, rzeźbionych i złoconych, a za nim — jego ogromna świta. Lecz zbliżywszy się do przedpokoju matki, dał znak, aby go zostawiono samego.

Minął przedpokój, chwilę zatrzymał się pode drzwiami, potem zapukał i wszedł cicho.

W izbie o nagich ścianach, w której zamiast sprzętów był niski tapczan i nadtłuczony dzban z wodą, wszystko na znak żałoby, siedziała na kamieniu matka faraona, królowa Nikotris. Była w gru-

*) Autentyczne.

bej koszuli, boso; miała czoło umazane błotem z Nilu i popiół w poplątanych włosach.

Zobaczywszy Ramzesa, czcigodna pani schyliła się, aby mu upaść do nóg. Ale syn pochwycił ją w objęcia i rzekł z płaczem:

— Jeżeli ty, matko, zniżysz się przede mną do ziemi, ja przed tobą będę musiał zejść chyba pod ziemię...

Królowa przytuliła jego głowę do piersi, otarła mu łzy rękawem swojej grubej koszuli, a potem, wzniósłszy ręce, szepnęła:

— Niechaj wszyscy bogowie... niechaj duch ojca i dziada twego otoczą cię opieką i błogosławieństwem... O Izydo, nigdy nie skąpiłam ci ofiar, ale dziś robię największą... Oddaję ci mego miłego syna... Niech ten mój syn królewski stanie się niepodzielnie twoim synem, a jego sława i potęga niech pomnożą twoje boskie dziedzictwo...

Pan wiele razy uściskał i ucałował królowę, wreszcie usadowił ją na tapczanie, a sam usiadł na kamieniu.

— Czy zostawił mi ojciec jakie rozkazy? — zapytał.

— Prosił cię tylko o pamięć, a do najwyższej rady powiedział te słowa: „Zostawiam wam następcę, który jest lwem i orłem w jednej osobie; słuchajcie go, a podźwignie Egipt do niebywałej potęgi".

— Myślisz, że kapłani będą mi posłuszni?

— Pamiętaj — rzekła matka — że godłem faraona jest wąż. A wąż to roztropność, która milczy,

i niewiadomo kiedy kąsa śmiertelnie... Jeżeli czas weźmiesz za sprzymierzeńca, pokonasz wszystko.

— Herhor jest strasznie zuchwały... Dziś ośmielił się włożyć infułę świętego Amenhotepa... Rozumie się, kazałem mu ją zdjąć i usunę go od rządu... Jego i kilku członków najwyższej rady...

Królowa potrząsnęła głową.

— Egipt jest twój — mówiła — a bogowie obdarzyli cię wielką mądrością. Gdyby nie to, strasznie lękałabym się zatargu z Herhorem...

— Nie spieram się z nim. Ja go wypędzam.

— Egipt jest twój — powtórzyła matka — ale boję się walki z kapłanami. Prawda, że nad miarę łagodny ojciec uzuchwalił tych ludzi, lecz nie można doprowadzać ich do rozpaczy srogością. Zresztą— pomyśl: kto ci zastąpi ich radę?... Oni znają wszystko, co było, jest i będzie na ziemi i w niebie; oni widzą najskrytsze myśli ludzkie i kierują sercami, jak wiatr liśćmi. Bez nich nietylko nie będziesz wiedział, co się dzieje w Tyrze i Niniwie, ale nawet w Memfisie i Tebach.

— Nie odpycham mądrości, ale chcę służby— odparł faraon. — Wiem, że ich rozum jest wielki, ale musi być kontrolowany, aby nie oszukiwał, i kierowany, ażeby nie rujnował państwa... Sama powiedz, matko: co oni w ciągu trzydziestu lat zrobili z Egiptem?... Lud cierpi nędzę albo buntuje się, wojska mało, skarb pusty, a tymczasem o parę miesięcy od nas, jak ciasto na drożdżach, rośnie Asyrja i już dziś — narzuca nam traktaty!...

— Czyń, jak chcesz. Ale pamiętaj, że symbo-

lem faraona jest wąż, a wąż to — milczenie i roztropność.

— Prawdę mówisz, matko, ale wierzaj mi, że w pewnych razach wyższą jest odwaga. Już dziś wiem, że kapłani wojnę libijską rozkładali na całe lata. Jam ją skończył w ciągu kilkunastu dni i tylko dlatego, że codzień popełniałem jakiś krok szalony, ale stanowczy. Gdybym nie wybiegł naprzeciw nim w pustynię, co przecież było wielką nieroztropnością, dziś mielibyśmy Libijczyków pod Memfisem...

— Wiem, goniłeś Tehennę i zaskoczył was tyfon — rzekła królowa. — O nierozważne dziecko... nie pomyślałeś o mnie!...

Pan uśmiechnął się.

— Bądź spokojnego serca — odparł. — Kiedy faraon walczy, po lewej i po prawej ręce jego staje Amon. A któż mu dorówna?...

Jeszcze raz uściskał królowę i wyszedł.

ROZDZIAŁ II.

Ogromna świta jego świątobliwości wciąż stała w sali poczekalnej, ale jakby rozłupana na dwie części. Z jednej strony Herhor, Mefres i kilku arcykapłanów starszych wiekiem, z drugiej — wszyscy generałowie, wszyscy urzędnicy cywilni i przeważna ilość młodszych kapłanów.

Orli wzrok faraona w jednej chwili dostrzegł ten rozdział dostojników, i w sercu młodego władcy zapaliła się radosna duma.

„I otóż, nie dobywając miecza, odniosłem zwycięstwo!...“ — pomyślał.

A cywilni i wojskowi dostojnicy coraz dalej i wyraźniej odsuwali się od Herhora i Mefresa. Nikt bowiem nie wątpił, że obaj arcykapłani, dotychczas najpotężniejsi w państwie, nie posiadają łaski nowego faraona.

Teraz pan przeszedł do sali jadalnej, gdzie przedewszystkiem zastanowiła go liczba usługujących kapłanów i — półmisków.

— Ja mam to wszystko zjeść? — zapytał, nie ukrywając zdziwienia.

Wówczas kapłan, czuwający nad kuchnią, objaśnił faraona, że potrawy, których nie zużytkuje jego świątobliwość, idą na ofiarę dla dynastji.

I to mówiąc, wskazał szereg posągów, ustawionych wzdłuż sali.

Pan spojrzał na posągi, które wyglądały jakby im nic nie dawano, potem na kapłanów, których cera była świeża, jakby oni wszystko zjadali, i — zażądał piwa, tudzież żołnierskiego chleba z czosnkiem.

Starszy kapłan osłupiał, ale powtórzył rozkaz młodszemu. Młodszy zawahał się, ale powtórzył zlecenie chłopcom i dziewczętom. Chłopcy, w pierwszej chwili, zdawało się, że nie wierzą własnym uszom; wnet jednak rozbiegli się po całym pałacu.

Zaś w kwadrans później wrócili wystraszeni, szepcąc kapłanom, że nigdzie niema żołnierskiego chleba i czosnku...

Faraon uśmiechnął się i zapowiedział, ażeby

od tej pory nie brakło w jego kuchniach prostych potraw. Potem zjadł gołąbka, kawałek ryby, pszenną bułkę i popił to winem.

Przyznał w duchu, że jedzenie było zrobione dobrze, a wino cudowne. Nie mógł jednak opędzić się myśli, że kuchnia dworska musi pochłaniać nadzwyczajne sumy.

Spaliwszy kadzidła na cześć przodków, władca udał się do królewskiego gabinetu, celem wysłuchania raportów.

Pierwszym był Herhor. Skłonił się przed panem daleko niżej, aniżeli zrobił to, witając go, i z wielkiem wzruszeniem powinszował zwycięstwa nad Libijczykami .

— Rzuciłeś się — mówił — wasza świątobliwość na Libijczyków, jak tyfon na nędzne namioty błąkających się po pustyni. Wygrałeś wielką bitwę z bardzo małemi stratami i jednym zamachem boskiego miecza zakończyłeś wojnę, której końca my, ludzie zwyczajni, nie umieliśmy dopatrzeć.

Faraon czuł, że jego niechęć do Herhora zaczyna słabnąć.

— Dlatego — ciągnął arcykapłan — najwyższa rada błaga waszą świątobliwość, abyś dla walecznych pułków przeznaczył dziesięć talentów nagrody... Ty zaś sam, naczelny wodzu, pozwól, ażeby obok imienia twego kładziono napis: „Zwycięski"!...

Licząc na młodość faraona, Herhor przesadził w pochlebstwie. Pan ochłonął z upojenia i nagle odparł:

— Jakiż przydomek dalibyście mi, gdybym

zniósł armję asyryjską i zapełnił świątynię bogactwami Niniwy i Babilonu?...

„Więc on wciąż myśli o tem?..." — rzekł w sobie arcykapłan.

Faraon zaś, jakby na potwierdzenie jego obaw, zmienił przedmiot rozmowy i zapytał:

— Ile też mamy wojska?

— Tu, pod Memfisem?

— Nie, w całym Egipcie.

— Wasza świątobliwość miał dziesięć pułków... — mówił arcykapłan. — Dostojny Nitager na granicy wschodniej ma piętnaście... Dziesięć jest na południu, gdyż zaczyna się niepokoić Nubja... Zaś pięć stoi garnizonami po całym kraju.

— Razem czterdzieści — rzekł po namyśle faraon. — Ileż to będzie żołnierzy?...

— Około sześćdziesięciu tysięcy...

Pan zerwał się z fotelu.

— Sześćdziesiąt, zamiast stu dwudziestu?... — krzyknął. — Co to znaczy?... Co wy zrobiliście z moją armją?...

— Niema środków na utrzymanie większej liczby...

— O bogowie!... — mówił faraon, chwytając się za głowę. — Ależ nas za miesiąc napadną Asyryjczycy!... Przecież my jesteśmy rozbrojeni...

— Z Asyrją mamy wstępny traktat — wtrącił Herhor.

— Kobieta mogłaby tak odpowiedzieć, ale nie minister wojny — uniósł się pan. — Co znaczy traktat, za którym nie stoi armja?... Przecież dziś

zgniotłaby nas połowa wojsk, jakiemi rozporządza król Assar.

— Racz uspokoić się, świątobliwy panie. Na pierwszą wieść o zdradzie Asyryjczyków mielibyśmy pół miljona wojowników...

Faraon roześmiał mu się w twarz.

— Co?... Skąd?... Ty oszalałeś, kapłanie!... Grzebiesz się w papirusach, ale ja siedem lat służę w wojsku i prawie niema dnia, ażebym nie odbywał mustry, czy manewrów. Jakim sposobem w ciągu kilku miesięcy będziesz miał półmiljonową armję?...

— Cała szlachta wystąpi...

— Co mi po twojej szlachcie!... Szlachta to nie żołnierze. Dla półmiljonowej armji trzeba co najmniej stu pięćdziesięciu pułków, a my, jak sam mówisz, mamy ich czterdzieści... Gdzież więc ci ludzie, którzy dziś pasą bydło, orzą ziemię, lepią garnki, albo piją i próżnują w swoich dobrach, gdzie nauczą się wojskowego rzemiosła?... Egipcjanie są lichym materjałem na żołnierzy, wiem o tem, bo przecież widuję ich codzień... Libijczyk, Grek, Cheta, już dzieckiem będąc, strzela z łuku i procy i doskonale włada maczugą; zaś po upływie roku uczy się porządnie maszerować. Ale Egipcjanin dopiero po trzech latach pracy maszeruje jako tako. Prawda, że z mieczem i włócznią oswaja się we dwa lata, ale na trafne rzucanie pocisków i czterech mu za mało...

Więc po upływie kilku miesięcy moglibyście wystawić nie armję, lecz półmiljonową bandę, którą w okamgnieniu rozbiłaby druga banda, asyryjska. Bo choć pułki asyryjskie są liche i źle mustrowane,

lecz żołnierz asyryjski umie miotać kamienie i strzały, rąbać i kłuć, a nadewszystko posiada impet dzikiego zwierzęcia, czego łagodnemu Egipcjaninowi całkiem brakuje. My rozbijamy nieprzyjaciół tem, że nasze karne i wyćwiczone pułki są, jak tarany: trzeba wybić połowę żołnierzy, nim zepsuje się kolumna. Lecz gdy niema kolumny, niema egipskiej armji.

— Mądrą prawdę mówi wasza świątobliwość — rzekł Herhor do zadyszanego faraona. — Tylko bogowie posiadają taką znajomość rzeczy... Ja także wiem, że siły Egiptu są słabe, że dla stworzenia ich trzeba wielu lat pracy... Z tego właśnie powodu chcę zawrzeć traktat z Asyrją.

— Przecie już zawarliście...

— Tymczasowy. Sargon bowiem, widząc chorobę waszego ojca, a lękając się waszej świątobliwości, odłożył zawarcie właściwego traktatu do waszego wstąpienia na tron.

Faraon znowu wpadł w gniew.

— Co?... — zawołał. — Więc oni naprawdę myślą o zagarnięciu Fenicji?... I sądzą, że ja podpiszę hańbę mojego panowania?... Złe duchy opętały was wszystkich!...

Audjencja była skończona. Herhor tym razem upadł na twarz, a wracając od pana, rozważał w sercu swojem:

„Jego świątobliwość wysłuchał raportu, więc nie odrzuca moich usług... Powiedziałem mu, że musi podpisać traktat z Asyrją, więc najcięższa

sprawa skończona... Namyśli się, nim Sargon znowu do nas przyjedzie...

Ależ to lew, a nawet nie lew, ale słoń rozhukany, ten młodzieniec... A przecież dlatego tylko został faraonem, że jest wnukiem arcykapłana! Jeszcze nie zrozumiał, że te same ręce, które go wzniosły tak wysoko...

W przedsionku dostojny Herhor zatrzymał się, dumał nad czemś, wkońcu, zamiast do siebie, poszedł do królowej Nikotris.

W ogrodzie nie było ani kobiet, ani dzieci, tylko z rozrzuconych pałacyków dochodziły jęki. To kobiety, należące do domu zmarłego faraona, opłakiwały tego, który odszedł na Zachód.

Żal ich, zdaje się, był szczery.

Tymczasem do gabinetu nowego władcy przyszedł najwyższy sędzia.

— Co mi powiesz wasza dostojność? — zapytał pan.

— Kilka dni temu zdarzył się niezwykły wypadek pod Tebami — odparł sędzia. — Jakiś chłop zamordował żonę i troje dzieci i sam utopił się w poświęcanej sadzawce.

— Oszalał?

— Zdaje się, że zrobił to z głodu.

Faraon się zamyślił.

— Dziwny wypadek — rzekł — ale ja chciałbym usłyszeć co innego. Jakie występki zdarzają się najpospoliciej w tych czasach?

Najwyższy sędzia wahał się.

— Mów śmiało — rzekł pan, już zniecierpli-

wiony — i niczego nie ukrywaj przede mną. Wiem, że Egipt zapadł w bagnisko, chcę go wydobyć, a więc muszę znać wszystko złe...

— Najczęstszemi... najzwyklejszemi występkami są bunty... Ale tylko pospólstwo buntuje się... — pośpieszył dodać sędzia.

— Słucham — wtrącił pan.

— W Kosem — mówił sędzia — zbuntował się pułk mularzy i kamieniarzy, którym na czas nie dano rzeczy potrzebnych. W Sechem chłopstwo zabiło pisarza, zbierającego podatki... W Melcatis i Pi-hebit także chłopi zburzyli domy fenickich dzierżawców... Pod Kasa nie chcieli poprawiać kanału, twierdząc, że za tę robotę należy im się płaca od skarbu... Wreszcie w kopalniach porfiru skazańcy pobili dozorców i chcieli gromadą uciekać w stronę morza...

— Wcale nie zaskoczyły mnie te wiadomości — odparł faraon. — Ale co ty myślisz o nich?

— Przedewszystkiem trzeba ukarać winnych.

— A ja myślę, że przedewszystkiem trzeba dawać pracującym to, co im się należy — rzekł pan.— Głodny wół kładzie się na ziemi, głodny koń chwieje się na swych nogach i zdycha... Czy można więc żądać, aby głodny człowiek pracował i nie objawiał, że mu jest źle?...

— Zatem wasza świątobliwość...

— Pentuer utworzy radę do zbadania tych rzeczy — przerwał faraon. — Tymczasem nie chcę, aby karano...

— Ależ w takim razie wybuchnie bunt ogólny!... — zawołał przerażony sędzia.

Faraon oparł brodę na rękach i rozważał.

— Ha! — rzekł po chwili — niechże więc sądy robią swoje, tylko... jak najłagodniej.

A Pentuer niech jeszcze dziś zbierze radę...

— Zaiste! — dodał po chwili — łatwiej decydować się w bitwie, aniżeli w tym nieporządku, jaki opanował Egipt...

Po wyjściu najwyższego sędziego, faraon wezwał Tutmozisa. Kazał mu w swem imieniu powitać wojsko, wracające z nad Sodowych Jezior, i rozdzielić dwadzieścia talentów między oficerów i żołnierzy.

Następnie pan rozkazał przyjść Pentuerowi, a tymczasem przyjął wielkiego skarbnika.

— Chcę wiedzieć — rzekł — jaki jest stan skarbu.

— Mamy — odparł dostojnik — w tej chwili ze dwadzieścia tysięcy talentów wartości w śpichrzach, oborach, składach i skrzyniach. Ale podatki codzień wpływają.

— I bunty robią się codzień — dodał faraon.— A jakież są nasze ogólne dochody i wydatki?

— Na wojsko wydajemy rocznie dwadzieścia tysięcy talentów... Na świątobliwy dwór dwa do trzech tysięcy talentów miesięcznie...

— No?... Cóż dalej?... A roboty publiczne?...

— W tej chwili wykonywają się darmo — rzekł wielki skarbnik, spuszczając głowę.

— A dochody?...

— Ile wydajemy, tyle mamy... — szepnął urzędnik.

— Więc mamy czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy talentów rocznie — odparł faraon. — A gdzie reszta?...

— W zastawie u Fenicjan, u niektórych bankierów i kupców, wreszcie u świętych kapłanów...

— Dobrze — odparł pan. — Ale jest przecie nienaruszalny skarb faraonów w złocie, platynie, srebrze i klejnotach. Ile to wynosi?...

— To już od dziesięciu lat naruszone i wydane...

— Na co?... komu?...

— Na potrzeby dworu — odpowiedział skarbnik — na podarunki dla nomarchów i świątyń...

— Dwór miał dochody z płynących podatków, a czyliż podarunki mogły wyczerpać skarbiec mojego ojca?...

— Oziris-Ramzes, ojciec waszej świątobliwości, był hojny pan i składał wielkie ofiary...

— Niby... jak wielkie?... Chcę o tem raz dowiedzieć się... — mówił niecierpliwie faraon.

— Dokładne rachunki są w archiwach, ja pamiętam tylko liczby ogólne...

— Mów!...

— Naprzykład świątyniom — odparł, wahając się, skarbnik — dał Oziris-Ramzes w ciągu szczęśliwego panowania, około stu miast, ze sto dwadzieścia okrętów, dwa miljony sztuk bydła, dwa miljony worów zboża, sto dwadzieścia tysięcy koni, osiemdziesiąt tysięcy niewolników, piwa i wina ze dwie-

ście tysięcy beczek, ze trzy miljony sztuk chlebów, ze trzydzieści tysięcy szat, ze trzysta tysięcy kruż miodu, oliwy i kadzideł... A prócz tego tysiąc talentów złota, trzy tysiące srebra, dziesięć tysięcy lanego bronzu, pięćset talentów ciemnego bronzu, sześć miljonów kwiecistych wieńców, tysiąc dwieście posągów boskich i ze trzysta tysięcy sztuk drogich kamieni... *) Innych liczb narazie nie pamiętam, ale wszystko to jest zapisane...

Faraon ze śmiechem podniósł ręce do góry, a po chwili wpadł w gniew i, uderzając pięścią w stół, zawołał:

— Niesłychana rzecz, ażeby garstka kapłanów zużyła tyle piwa, chleba, wieńców i szat, mając własne dochody!... Ogromne dochody, które kilkaset razy przewyższają potrzeby tych świątyń...

— Wasza świątobliwość raczył zapomnieć, że kapłani wspierają dziesiątki tysięcy ubogich, leczą tyluż chorych i utrzymują kilkanaście pułków na koszt świątyń.

— Naco im pułki?... Przecież faraonowie korzystają z nich tylko w czasie wojny. Co się tyczy chorych, prawie każdy płaci za siebie albo odrabia, co winien świątyni za kurację. A ubodzy?... Wszakże oni pracują na świątynie: noszą bogom wodę, biorą udział w uroczystościach, a przedewszystkiem — należą do robienia cudów. Oni to, pod bramami świątyń odzyskują rozum, wzrok

*) Dary Ramzesa III-go dla świątyń były nierównie większe.

i słuch; im leczą się rany, ich nogi i ręce odzyskują władze, a lud, patrząc na podobne dziwowiska, tem żarliwiej modli się i hojniejsze składa ofiary bogom...

Ubodzy są jakby wołami i owcami świątyń: przynoszą im czysty zysk...

To też — ośmielił się wtrącić skarbnik — kapłani nie wydają wszystkich ofiar, ale je zgromadzają i powiększają fundusz...

— Na co?

— Na jakąś nagłą potrzebę państwa...

— Któż widział ten fundusz?

— Ja sam — rzekł dostojnik. — Skarby, złożone w Labiryncie, nie ubywają, ale mnożą się z pokolenia na pokolenie, ażeby w razie...

— Ażeby — przerwał faraon — Asyryjczycy mieli co brać, gdy zdobędą Egipt, tak pięknie rządzony przez kapłanów!...

Dziękuję ci, wielki skarbniku — dodał. — Wiedziałem, że majątkowy stan Egiptu jest zły. Ale nie przypuszczałem, że państwo jest zrujnowane... W kraju bunty, wojska niema, faraon w biedzie... Lecz skarbiec w Labiryncie powiększa się z pokolenia na pokolenie!...

Gdyby tylko każda dynastja, tylko dynastja składała tyle podarunków świątyniom, ile im dał mój ojciec, już Labirynt posiadałby dziewiętnaście tysięcy talentów złota, około sześćdziesięciu tysięcy talentów srebra, a ileż zbóż, bydła, ziemi, niewolników i miast, ile szat i drogich kamieni, tego nie zliczy najlepszy rachmistrz!...

Wielki skarbnik pożegnał władcę zgnębiony. Lecz i faraon nie był kontent: po chwilowym bowiem namyśle, zdawało mu się, że zbyt otwarcie rozmawiał ze swymi dostojnikami.

ROZDZIAŁ III.

Straż, czuwająca w przedpokoju, zameldowała Pentuera. Kapłan upadł na twarz przed faraonem i zapytał o rozkazy.

— Nie rozkazywać, ale prosić cię chcę — rzekł pan. — Wiesz, w Egipcie bunty!... Bunty chłopów, rzemieślników, nawet więźniów... Bunty od morza do kopalń!... Brakuje tylko, aby zbuntowali się moi żołnierze i ogłosili faraonem... naprzykład Herhora!..

— Żyj wiecznie, wasza świątobliwość — odparł kapłan. — Niema w Egipcie człowieka, który nie poświęciłby się za ciebie i nie błogosławił twego imienia.

— Ach, gdyby wiedzieli — mówił z gniewem władca, — jak faraon jest bezsilny i ubogi, każdy nomarcha zechciałby być panem swego nomesu!... Myślałem, że, odziedziczywszy podwójną koronę, będę coś znaczył... Lecz już w pierwszym dniu przekonywam się, że jestem tylko cieniem dawnych władców Egiptu! Bo i czem może być faraon bez majątku, bez wojska, a nadewszystko bez wiernych sług?... Jestem, jak posągi bogów, którym kadzą i składają ofiary... Ale posągi są bezsilne, a ofiarami tuczą się kapłani... Ale prawda, ty trzymasz z nimi!...

— Boleśnie mi — odrzekł Pentuer — że wasza świątobliwość mówi tak w pierwszym dniu swego panowania. Gdyby wieść o tem rozeszła się po Egipcie...

— Komuż powiem, co mi dolega?... — przerwał pan. — Jesteś moim doradcą i ocaliłeś mi, a przynajmniej chciałeś ocalić życie, chyba nie poto, ażeby rozgłaszać, co się dzieje w królewskiem sercu, które przed tobą otwieram... Ale masz słuszność...

Pan przeszedł się po komnacie i po chwili rzekł znacznie spokojniejszym tonem:

— Mianowałem cię naczelnikiem rady, która ma wyśledzić przyczyny nieustannych buntów w mojem państwie. Chcę, ażeby karano tylko winnych, a czyniono sprawiedliwość nieszczęśliwym...

— Niech Bóg wspiera cię łaską swoją!... — szepnął kapłan. — Zrobię, panie, co każesz. Ale powody buntów znam i bez śledztwa...

— Powiedz.

— Nieraz o tem mówiłem waszej świątobliwości: lud pracujący jest głodny, ma za dużo roboty i płaci za wielkie podatki. Kto dawniej robił od wschodu do zachodu słońca, dziś musi zaczynać na godzinę przed wschodem, a kończyć w godzinę po zachodzie. Nie tak dawno, co dziesiąty dzień, prosty człowiek mógł odwiedzać groby matki i ojca, rozmawiać z ich cieniami i składać ofiary. Ale dziś nikt tam nie chodzi, bo nie ma czasu.

Dawniej chłop zjadał w ciągu dnia trzy placki pszenne, dziś nie stać go na jęczmienny. Dawniej

roboty przy kanałach, groblach i gościńcach liczyły się między podatkami; dziś podatki trzeba płacić swoją drogą, a roboty publiczne wykonywać darmo.

Oto przyczyny buntów.

— Jestem najbiedniejszy szlachcic w państwie! — zawołał faraon, targając sobie włosy. — Lada właściciel folwarku daje swoim bydlętom przystojne jadło i odpoczynek; ale mój inwentarz jest wiecznie głodny i znużony!...

Więc co mam robić, powiedz ty, który prosiłeś mnie, abym poprawił los chłopów?...

— Rozkazujesz, panie, abym powiedział?...

— Proszę... każę... jak wreszcie chcesz... Tylko mów mądrze.

— Błogosławione niech będą twoje rządy, prawdziwy synu Ozirisa! — odparł kapłan. — A oto co czynić należy...

Przedewszystkiem rozkaż, panie, aby płacono za roboty publiczne, jak było dawniej...

— Rozumie się.

— Dalej — zapowiedz, aby praca rolna trwała tylko od wschodu do zachodu słońca... Potem spraw, jak było za dynastyj boskich, ażeby lud wypoczywał co siódmy dzień; nie co dziesiąty, ale co siódmy. Potem nakaż, aby panowie nie mieli prawa zastawiać chłopów, a pisarze bić i dręczyć ich według swego upodobania.

A nareszcie daj — dziesiątą część lub choćby dwudziestą część ziemi chłopom na własność, aby nikt jej odebrać, ani zastawić nie mógł. Niechaj rodzina chłopa ma choćby tyle ziemi, co podłoga tej

komnaty, a już nie będzie głodna. Daj, panie, chłopom pustynne piaski na własność, a w kilka lat wyrosną tam ogrody...

— Pięknie mówisz — wtrącił faraon — ale mówisz to, co widzisz w swem sercu, nie na świecie. Ludzkie pomysły, choćby najlepsze, niezawsze zgadzają się z naturalnym biegiem rzeczy...

— Wasza świątobliwość, ja już widywałem podobne zmiany i ich skutki — odrzekł Pentuer.

Przy niektórych świątyniach dokonywają się różne próby: nad leczeniem chorych, uczeniem dzieci, hodowlą bydła i roślin, wreszcie nad poprawą ludzi. A oto, co się zdarzyło:

Gdy chłopu leniwemu i chudemu dawano dobre jadło i odpoczynek co siódmy dzień, człowiek ten robił się tłustym, chętnym do pracy i więcej skopywał pola, niż dawniej. Robotnik płatny jest weselszy i więcej wykonywa roboty, aniżeli niewolnik, choćby go bić żelaznemi prętami. Ludziom sytym rodzi się więcej dzieci, niż głodnym i spracowanym; potomstwo ludzi wolnych jest zdrowe i silne, a niewolników — wątłe, ponure i skłonne do kradzieży i kłamstwa.

Przekonano się wreszcie, że ziemia, którą uprawia jej właściciel, daje półtora raza więcej ziarn i jarzyn, niż ziemia obsługiwana przez niewolników.

Ciekawszą rzecz powiem waszej świątobliwości: gdy oraczom przygrywa muzyka, ludzie i woły robią lepiej, prędzej i mniej męczą się, aniżeli bez muzyki!...

Wszystko to sprawdzano w naszych świątyniach.

Faraon uśmiechał się.

— Muszę ja na moich folwarkach i w kopalniach zaprowadzić muzykę — rzekł. — Jeżeli jednak kapłani przekonali się o takich dziwach, jakie mi opowiadasz, to dlaczego w swoich majątkach nie postępują w ten sposób z chłopstwem?...

Pentuer opuścił głowę.

— Bo —odparł, wzdychając — nie wszyscy kapłani są mędrcami i mają serca szlachetne...

— Otóż to!... — zawołał pan.

— A teraz powiedz mi, ty, który jesteś synem chłopów i wiesz, że między kapłanami znajdują się hultaje i głupcy, powiedz: dlaczego nie chcesz mi służyć w walce przeciw nim?... Bo przecie rozumiesz, że ja nie poprawię losu chłopskiego, jeżeli pierwej nie nauczę kapłanów posłuszeństwa dla mojej woli...

Pentuer załamał ręce.

— Panie — odparł — bezbożna to i niebezpieczna sprawa, walka z kapłaństwem!... Niejeden faraon rozpoczynał ją i... nie mógł dokończyć...

— Bo go nie popierali tacy, jak ty, mędrcy!...— wybuchnął pan. — I zaprawdę, nigdy nie zrozumiem: dlaczego mądrzy i zacni kapłani wiążą się z bandą łotrów, jaką jest większość tej klasy?...

Pentuer trząsł głową i zaczął mówić powoli:

— Od trzydziestu tysięcy lat święty stan kapłański pielęgnuje Egipt i on zrobił kraj tem, czem jest dziś: dziwem dla całego świata. A dlaczego ka-

płanom, pomimo ich wad, udało się tak zrobić?... Gdyż oni są kagańcem, w którym płonie światło mądrości.

Kaganiec może być brudny, nawet śmierdzący. Niemniej jednak przechowuje boski ogień, bez którego między ludźmi panowałaby ciemność i dzikość.

Mówisz, panie, o walce z kapłanami — ciągnął Pentuer. — Co może z niej wyniknąć dla mnie?... Jeżeli ty przegrasz, będę nieszczęśliwy, bo nie poprawisz losu chłopom. A gdybyś wygrał?... O, bodajbym nie doczekał tego!... Bo gdybyś rozbił kaganiec, kto wie, czy nie zgasiłbyś tego ognia mądrości, który od tysięcy lat płonie nad Egiptem i światem...

Oto, panie mój, powody, dla których nie chcę mieszać się do twej walki ze świętym stanem kapłańskim... Czuję, że ona się zbliża, i cierpię, że taki robak, jakim jestem, nie mogę jej zapobiec. Ale wdawać się w nią nie będę, bo musiałbym zdradzać albo ciebie, albo Boga, który jest twórcą mądrości...

Słuchając tego, faraon chodził po komnacie, zamyślony.

— Ha — rzekł bez gniewu — czyń, jak chcesz. Nie jesteś żołnierzem, więc nie mogę wyrzucać ci braku odwagi... Nie możesz być jednak moim doradcą... Choć proszę cię, abyś utworzył sąd do rozpatrzenia chłopskich buntów i, gdy cię wezwę, mówił, co nakazuje mądrość.

Pentuer ukląkł, żegnając pana.

— W każdym razie — dodał faraon — wiedz o tem, że ja nie chcę gasić boskiego światła... Niech

kapłani pielęgnują mądrość w swoich świątyniach, ale — niech mi nie marnują wojska, nie zawierają haniebnych traktatów i... niech nie okradają — mówił już z uniesieniem — królewskich skarbców...

Czy może myślą, że ja, jak żebrak, będę wystawał pod ich bramami, aby raczyli mi dostarczyć funduszów do podźwignięcia państwa, zrujnowanego przez ich głupie i nikczemne rządy?... Cha!... cha!... Pentuerze... jabym bogów nie prosił o to, co stanowi moją moc i prawo.

Możesz odejść.

Kapłan, cofając się tyłem, wyszedł wśród ukłonów i jeszcze we drzwiach upadł twarzą na ziemię.

Pan został sam.

„Ludzie śmiertelni — myślał — są jak dzieci. Herhor jest przecie mądry, wie, że Egipt na wypadek wojny potrzebuje pół miljona żołnierzy, wie, że te wojska trzeba ćwiczyć, a mimo to — zmniejszył liczbę i komplet pułków...

Wielki skarbnik jest także mądry, lecz wydaje mu się rzeczą całkiem naturalną, że wszystkie skarby faraonów przeszły do Labiryntu!...

Wreszcie Pentuer... Co za dziwny człowiek!... Chce obdarowywać chłopów jadłem, ziemią i nieustającemi świętami... Dobrze, ależ to wszystko zmniejszy moje dochody, które i tak już są za małe. Lecz gdybym mu powiedział: pomóż mi odebrać kapłanom królewskie skarby, nazwałby to bezbożnością i gaszeniem światła w Egipcie!...

Osobliwy człowiek... Radby całe państwo prze-

wrócić do góry nogami, o ile chodzi o dobro chłopów, a nie śmiałby wziąć za kark arcykapłana i odprowadzić go do więzienia. Z największym spokojem każe mi wyrzec się może połowy dochodów, ale jestem pewny, że nie odważyłby się wynieść miedzianego utena z Labiryntu..."

Faraon uśmiechał się i znowu medytował:

„Każdy pragnie być szczęśliwym; ale gdy zechcesz zrobić, ażeby wszyscy byli szczęśliwi, każdy będzie cię chwytał za ręce, jak człowiek, któremu chory ząb wyjmują...

I dlatego władca musi być stanowczym... I dlatego boski mój ojciec niedobrze czynił, zaniedbując chłopstwo, a bez granic ufając kapłanom... Ciężkie zostawił mi dziedzictwo... ale dam sobie radę...

U Sodowych Jezior także była trudna sprawa... Trudniejsza, niż tu... Tutaj są tylko gadacze i strachopłoty, tam byli ludzie zbrojni i zdecydowani na śmierć...

Jedna bitwa szerzej otwiera nam oczy, aniżeli dziesiątki lat spokojnych rządów... Kto sobie powie: złamię przeszkodę! — złamie ją. Ale kto się zawaha, musi ustąpić..."

Mrok zapadł. W pałacu zmieniono wartę i w dalszych salach zapalono pochodnie. Tylko do pokoju faraona nikt nie śmiał wejść bez rozkazu.

Pan, zmęczony bezsennością, wczorajszą podróżą i dzisiejszemi zajęciami, upadł na fotel. Zdawało mu się, że już setki lat jest faraonem i nie mógł wierzyć, że od tej godziny, kiedy był pod piramidami, nie upłynęła jeszcze doba.

„Doba?... Niepodobna!...“

Potem przyszło mu na myśl, że może być, iż w sercu następcy osiedlają się dusze poprzednich faraonów. Chyba tak jest, bo inaczej — skądżeby wzięło się w nim jakieś uczucie starości, czy dawności?... I dlaczego rządzenie państwem dziś wydaje mu się rzeczą prostą, choć jeszcze parę miesięcy temu truchlał, że nie potrafi rządzić.

„Jeden dzień?...—powtarzał w duchu.—Ależ ja tysiące lat jestem w tem miejscu!...“

Nagle usłyszał przytłumiony głos:

— Synu mój!... synu!...

Faraon zerwał się z fotelu.

— Kto tu jest?... — zawołał.

— Ja jestem, ja... Czyliżeś już o mnie zapomniał?...

Władca nie mógł zorjentować się, skąd głos pochodzi. Zgóry, zdołu, czy może z dużego posągu Ozirisa, który stał w kącie.

— Synu mój — mówił znowu głos — szanuj wolę bogów, jeżeli chcesz otrzymać ich błogosławioną pomoc... O, szanuj bogów, gdyż bez ich pomocy największa potęga ziemska jest jako proch i cień... O, szanuj bogów, jeżeli chcesz, ażeby gorycz twoich błędów nie zatruła mi pobytu w szczęśliwej krainie Zachodu...

Głos umilkł, pan kazał przynieść światło. Jedne drzwi komnaty były zamknięte, przy drugich stała warta. Nikt obcy nie mógł tu wejść.

Gniew i niepokój szarpały serce faraona. Co to było?... Czy naprawdę przemawiał do niego cień

ojca, czy też ów głos był tylko nowem oszustwem kapłanów?

Lecz jeżeli kapłani mogą przemawiać do niego z odległości, bez względu na grube mury, w takim razie mogą i podsłuchiwać. A wówczas on, pan świata, jest, jak dzikie zwierzę, osaczony ze wszystkich stron...

Prawda, w pałacu królewskim podsłuchiwanie było rzeczą zwyczajną. Faraon jednak sądził, że przynajmniej ten gabinet jest wolny i że zuchwalstwo kapłanów zatrzymuje się u progu najwyższego władcy.

A jeżeli to był duch?...

Pan nie chciał jeść kolacji, lecz udał się na spoczynek. Zdawało mu się, że nie zaśnie, lecz zmęczenie wzięło górę nad rozdrażnieniem.

W kilka godzin obudziły go dzwonki i światło. Była już północ i kapłan-astrolog przyszedł złożyć panu raport o stanowisku ciał niebieskich. Faraon wysłuchał sprawozdania, a wkońcu rzekł:

— Czy nie mógłbyś, czcigodny proroku, od tej pory składać swoich raportów dostojnemu Semowi?... On jest przecie moim zastępcą w rzeczach, dotyczących religji...

Kapłan-astrolog bardzo zdziwił się obojętności pana dla rzeczy niebieskich.

— Wasza świątobliwowść — spytał — raczy zrzekać się wskazówek, jakie władcom dają gwiazdy?...

— Dają? — powtórzył faraon. — Zatem powiedz, jakie są ich obietnice dla mnie?

Astrolog widocznie spodziewał się tej kwestji, odparł bowiem bez namysłu:

— Horyzont chwilowo jest zaćmiony... Pan świata nie trafił jeszcze na drogę prawdy, która prowadzi do poznania woli bogów. Ale prędzej czy później znajdzie ją, a na niej długie życie i szczęśliwe, pełne chwały panowanie...

— Aha!... Dziękuję ci, mężu święty. Skoro już wiem, czego powinienem szukać, zastosuję się do wskazówek, a ciebie znowu proszę, abyś odtąd komunikował się z dostojnym Semem. On jest moim zastępcą i, jeżeli coś ciekawego wyczytasz kiedy w gwiazdach, opowie mi o tem z rana.

Kapłan opuścił sypialnię, potrząsając głową.

— Wybili mnie ze snu!... — rzekł pan z wyrazem niezadowolenia.

— Najczcigodniejsza królowa Nikotris — odezwał się nagle adjutant — godzinę temu rozkazała mi prosić waszą świątobliwość o posłuchanie...

— Teraz?... o północy?... — spytał pan.

— Właśnie mówiła, że o północy wasza świątobliwość obudzi się...

Faraon pomyślał i odpowiedział adjutantowi, że będzie czekał na królową w sali złotej. Sądził, że tam nikt nie podsłucha ich rozmowy.

Pan narzucił na siebie płaszcz, włożył niewiązane sandały i rozkazał dobrze oświetlić złotą salę. Potem wyszedł, zalecając służbie, aby mu nie towarzyszyła.

Matkę już zastał w sali, w szatach z grubego płótna na znak żałoby. Zobaczywszy faraona, czci-

godna pani chciała znowu upaść na kolana, ale syn podniósł ją i uściskał.

— Czy zdarzyło się coś ważnego, matko, że trudzisz się o tej godzinie? — spytał.

— Nie spałam... modliłam się... — odparła. — O synu mój, mądrze odgadłeś, że sprawa jest ważna!... Słyszałam boski głos twego ojca...

— Doprawdy?—rzekł faraon, czując, że gniew go napełnia.

— Nieśmiertelny twój ojciec — ciągnęła królowa — mówił mi, pełen smutku, że wchodzisz na błędną drogę... Wyrzekasz się z pogardą arcykapłańskich święceń i źle traktujesz sługi boże.

„Któż zostanie przy Ramzesie — mówił twój boski ojciec — jeżeli zniechęci bogów i opuści go stan kapłański?... Powiedz mu... powiedz mu — powtarzał czcigodny cień — że tym sposobem zgubi Egipt, siebie i dynastję..."

— Oho! — zawołał faraon — więc już tak mi grożą, zaraz w pierwszym dniu panowania?... Moja matko, pies najgłośniej szczeka, kiedy się boi, więc i pogróżki są złą wróżbą, ale tylko dla kapłanów!

— Ależ to twój ojciec mówi... — powtórzyła stroskana pani.

— Nieśmiertelny ojciec mój — odparł faraon— i święty dziad Amenhotep, jako czyste duchy, znają moje serce i widzą opłakany stan Egiptu. A ponieważ serce moje chce podźwignąć państwo przez ukrócenie nadużyć, oni więc nie mogliby przeszkadzać mi do spełnienia zamiarów...

— Więc ty nie wierzysz, że duch ojca daje ci rady? — spytała, coraz bardziej przerażona.

— Nie wiem. Ale mam prawo przypuszczać, że te głosy duchów, rozlegające się w różnych kątach naszego pałacu, są jakimś figlem kapłańskim. Tylko kapłani mogą lękać się mnie, nigdy bogowie i duchy... Więc nie duchy straszą nas, matko...

Królowa zadumała się, i było widać, że słowa syna robią na niej wrażenie. Widziała ona wiele cudów w swem życiu i niektóre jej samej wydawały się podejrzanemi.

— W takim razie — rzekła z westchnieniem— nie jesteś ostrożny, mój synu!... Po południu był u mnie Herhor, bardzo niezadowolony z posłuchania u ciebie... Mówił, że chcesz usunąć kapłanów ze dworu.

— A oni mi naco?... Czy ażeby moja kuchnia i piwnica miały duże rozchody?... Czy może nato, ażeby słuchali, co mówię i patrzyli, co robię?...

— Cały kraj wzburzy się, gdy kapłani ogłoszą, że jesteś bezbożnikiem... — wtrąciła pani.

— Kraj już się burzy, ale z winy kapłanów — odparł faraon. — A i o pobożności egipskiego ludu zaczynam mieć inne wyobrażenie... Gdybyś, matko, wiedziała, ile w Dolnym Egipcie jest procesów o znieważanie bogów, a w Górnym — o okradanie zmarłych, przekonałabyś się, że dla naszego ludu sprawy kapłańskie już przestały być świętemi.

— To wpływ cudzoziemców, którzy zalewają Egipt — zawołała pani. — Zwłaszcza Fenicjanie...

— Wszystko jedno, czyj wpływ; dość, że

Egipt już nie uważa ani posągów, ani kapłanów za istoty nadludzkie... A gdybyś jeszcze, matko, posłuchała szlachty, oficerów, żołnierzy, zrozumiałabyś, że nadszedł czas postawienia władzy królewskiej na miejscu kapłańskiej, jeżeli wszelka władza nie ma upaść w tym kraju.

— Egipt jest twój — westchnęła królowa. — Mądrość twoja jest nadzwyczajna, więc czyń jak chcesz... Ale postępuj ostrożnie... O, ostrożnie!... Skorpjon, nawet zabity, jeszcze może ranić nieostrożnego zwycięzcę...

Uściskali się, i pan wrócił do swej sypialni. Ale tym razem naprawdę nie mógł zasnąć.

Już jasno wiedział, że między nim i kapłanami rozpoczęła się walka, a raczej coś wstrętnego, co nawet nie zasługiwało na nazwę walki i z czem on, wódz, w pierwszej chwili nie umiał sobie poradzić.

Bo gdzie tu jest nieprzyjaciel?... Przeciw komu ma wystąpić jego wierne wojsko?... Czy przeciw kapłanom, którzy upadają przed nim na ziemię? Czy przeciw gwiazdom, które mówią, że faraon nie wszedł jeszcze na drogę prawdy? Co i kogo tu zwalczać?...

Może owe głosy duchów, rozlegające się wśród pomroki? Czy własną matkę, która, przerażona, błaga go, ażeby nie rozpędzał kapłanów?...

Faraon wił się na swem łożu w poczuciu bezsilności. Nagle przyszła mu myśl: „Co mnie obchodzi nieprzyjaciel, który rozłazi się jak błoto w garści?... Niech sobie gadają w pustych salach, niech gniewają się na moją bezbożność...

Ja będę wydawał rozkazy, a kto ośmieli się nie spełnić ich, ten jest moim wrogiem i przeciw temu zwrócę policję, sąd i wojsko...“

ROZDZIAŁ IV.

Tak tedy w miesiącu Hator, po 34-ch latach panowania, umarł faraon Mer-amen-Ramzes XII-y, władca dwu światów, pan wieczności, rozdawca życia i wszelakiej uciechy.

Umarł, ponieważ czuł, że ciało jego staje się mdłe i nieużyteczne. Umarł, ponieważ tęsknił do wiekuistej ojczyzny, a rządy ziemskiego państwa pragnął powierzyć młodszym rękom. Umarł wreszcie, bo tak chciał, bo taką była jego wola. Boski duch odleciał, niby jastrząb, który, długo krążąc nad ziemią, wkońcu rozpływa się w błękitnych przestworach.

Jak jego życie było pobytem nieśmiertelnej istoty w krainie znikomości, tak i śmierć była tylko jednym z momentów nadludzkiego istnienia.

Pan obudził się o wschodzie słońca i, wsparty na dwu prorokach, otoczony chórem kapłanów, udał się do kaplicy Ozirisa. Tam, jak zwykle, wskrzesił bóstwo, umył je i ubrał, złożył ofiarę i podniósł ręce do modlitwy.

Przez ten czas kapłani śpiewali:

Chór I. „Cześć tobie, który wznosisz się na horyzoncie i przebiegasz niebo...

Chór II. Gościńcem twej świętości jest po-

myślność tych, na których oblicza padają twe promienie...

Chór I. Mógłżebym iść, jako ty idziesz, bez zatrzymywania się, o słońce!...

Chór II. Wielki wędrowcze przestrzeni, który nie masz pana i dla którego setki miljonów lat są okamgnieniem...

Chór I. Ty zachodzisz, ale trwasz. Mnożysz godziny, dni i noce i trwasz sam, według praw twoich własnych...

Chór II. Oświetlasz ziemię, ofiarowując własnemi rękoma samego siebie. kiedy pod postacią Ra wschodzisz na widnokręgu.

Chór I. O gwiazdo, wynurzająca się, wielka przez swą światłość, ty sama kształtujesz swoje członki...

Chór II. I nieurodzony przez nikogo, rodzisz sam siebie na horyzoncie".

A w tem miejscu odezwał się faraon:

„O promieniejący na niebie! Pozwól, ażebym wstąpił do wieczności, połączył się ze czcigodnemi i doskonałemi cieniami wyższej krainy. Niechaj razem z niemi oglądam twoje blaski z rana i wieczorem, kiedy łączysz się z twoją matką Nut. A gdy zwrócisz ku zachodowi twe oblicze, niech moje ręce składają się do modlitwy na cześć usypiającego za górami życia" *).

Tak, z podniesionemi rękoma mówił pan, oto-

*) Hymn autentyczny.

czony chmurą kadzideł. Nagle umilkł i rzucił się wtył, w ramiona asystujących kapłanów.

Już nie żył.

Wieść o śmierci faraona, jak błyskawica obiegła pałac. Słudzy opuścili swoje zajęcia, dozorcy przestali czuwać nad niewolnikami, zaalarmowano gwardję i obsadzono wszystkie wejścia.

Na głównym dziedzińcu począł zbierać się tłum: kucharzy, piwnicznych, masztalerzy, kobiet jego świątobliwości i ich dzieci. Jedni zapytywali: czy to prawda? inni dziwili się, że jeszcze słońce świeci na niebie, a wszyscy razem krzyczeli w niebogłosy:

„O panie!... o nasz ojcze!... o ukochany!... Czy to może być, ażebyś już odchodził od nas?... O tak, już idzie do Abydos!... Na zachód, na zachód, do ziemi sprawiedliwych!... Miejsce, które ukochałeś, jęczy i płacze po tobie!...“ *).

Straszny wrzask rozlegał się po wszystkich dziedzińcach, po całym parku. Odbijał się od gór wschodnich, na skrzydłach wiatru przeleciał Nil i zatrwożył miasto Memfis.

Tymczasem kapłani, wśród modłów, usadowili ciało zmarłego w bogatej, zamkniętej lektyce. Ośmiu stanęło przy drągach, czterej wzięli do rąk wachlarze ze strusich piór, inni kadzidła i gotowali się do wyjścia.

Na tę chwilę przybiegła królowa Nikotris, a zobaczywszy zwłoki już w lektyce, rzuciła się do nóg zmarłego.

*) Autentyczne.

— „O mężu mój! o bracie mój! o ukochany mój! — wołała, zanosząc się od płaczu. — O ukochany, zostań z nami, zostań w twoim domu, nie oddalaj się od tego miejsca na ziemi, w którem przebywasz..“

— „W pokoju, w pokoju, na Zachód — śpiewali kapłani — o wielki władco, idź w pokoju na Zachód...“

— „Niestety! — mówiła królowa — śpieszysz do przewozu, aby przeprawić się na drugi brzeg! O kapłani, o prorocy, nie śpieszcie się, zostawcie go; bo przecież wy wrócicie do domów, ale on pójdzie do kraju wieczności...“

— „W pokoju, w pokoju, na Zachód!... — śpiewał chór kapłański. — Jeżeli podoba się Bogu, kiedy dzień wieczności nadejdzie, ujrzymy cię znowu, o władco, bo oto idziesz do kraju, który łączy między sobą wszystkich ludzi“ *).

Na znak, dany przez dostojnego Herhora, służebnice oderwały panią od nóg faraona i gwałtem odprowadziły do jej komnat.

Lektyka, niesiona przez kapłanów, ruszyła, a w niej władca, ubrany i otoczony, jak za życia. Na prawo i na lewo, przed nim i za nim szli: generałowie, skarbnicy, sędziowie, wielcy pisarze, nosiciel topora i łuku, a nadewszystko — tłum kapłanów różnego stopnia.

Na podwórzu służba upadła na twarz, jęcząc

*) Autentyczne.

i płacząc, ale wojsko sprezentowało broń i odezwały się trąby, jakby na powitanie żyjącego króla.

I istotnie, pan, jak żywy, niesiony był do przewozu. A gdy dosięgnięto Nilu, kapłani ustawili lektykę na złocistym statku, pod purpurowym baldachimem, jak za życia.

Tu lektykę zasypano kwiatami, naprzeciw niej ustawiono posąg Anubisa, i — statek królewski ruszył ku drugiemu brzegowi Nilu, żegnany płaczem służby i dworskich kobiet.

O dwie godziny od pałacu, za Nilem, za kanałem, za urodzajnemi polami i gajami palm, między Memfisem a „Płaskowzgórzem Mumji", leżała oryginalna dzielnica. Wszystkie jej budowle były poświęcone zmarłym, a zamieszkane tylko przez kolchitów i paraszytów, którzy balsamowali zwłoki.

Dzielnica ta była niby przedsionkiem właściwego cmentarza, mostem, który łączył żyjące społeczeństwo z miejscem wiecznego spoczynku. Tu przywożono nieboszczyków i robiono z nich mumje; tu rodziny układały się z kapłanami o cenę pogrzebu. Tu przygotowywano święte księgi i opaski, trumny, sprzęty, naczynia i posągi dla zmarłych.

Dzielnicę tę, oddaloną od Memfisu o parę tysięcy kroków, otaczał długi mur, tu i ówdzie opatrzony bramami. Orszak, niosący zwłoki faraona, zatrzymał się przed bramą najwspanialszą, a jeden z kapłanów zapukał.

— Kto tam? — spytano ze środka.

— Oziris Mer-amen-Ramzes, pan dwu świa-

tów, przychodzi do was i żąda, abyście przygotowali go do wiekuistej podróży — odparł kapłan.

— Czy podobna, ażeby zagasło słońce Egiptu?... Ażeby umarł ten, który sam był oddechem i życiem?...

— Taką była jego wola — odpowiedział kapłan. — Przyjmijcież tedy pana z należytą czcią i wszystkie usługi oddajcie mu, jak się godzi, ażeby nie spotkały was kary w doczesnem i przyszłem życiu.

— Uczynimy, jak mówicie — rzekł głos ze środka.

Teraz kapłani zostawili lektykę pod bramą i śpiesznie odeszli, ażeby nie padło na nich nieczyste tchnienie zwłok, nagromadzonych w tem miejscu. Zostali tylko urzędnicy cywilni pod przewodnictwem najwyższego sędziego i skarbnika.

Po niemałej chwili czekania, brama otworzyła się i wyszło z niej kilkunastu ludzi. Mieli kapłańskie szaty i zasłonione oblicza.

Na ich widok sędzia odezwał się:

— Oddajemy wam ciało pana naszego i waszego. Czyńcie z niem to, co nakazują przepisy religijne, i niczego nie zaniedbajcie, ażeby ten wielki zmarły nie doznał z winy waszej niepokoju na tamtym świecie.

Skarbnik zaś dodał:

— Użyjcie złota, srebra, malachitu, jaspisu, szmaragdów, turkusów i najosobliwszych wonności dla tego oto pana, aby mu nic nie brakło i aby wszystko miał w jak najlepszym gatunku. To mó-

wię wam ja, skarbnik. A gdyby znalazł się niegodziwiec, który, zamiast szlachetnych metalów, chciałby podstawić nędzne falsyfikaty, a zamiast drogich kamieni — szkło fenickie, niech pamięta, że będzie miał odrąbane ręce i wyjęte oczy.

— Stanie się, jak żądacie — odpowiedział jeden z zasłonionych kapłanów.

Poczem inni podnieśli lektykę i weszli z nią w głąb dzielnicy zmarłych, śpiewając:

— „Idziesz w pokoju do Abydos!... Obyś doszedł w pokoju do Zachodu tebańskiego!... Na Zachód, na Zachód, do ziemi sprawiedliwych!...“

Brama zamknęła się, a najwyższy sędzia, skarbnik i towarzyszący im urzędnicy zawrócili się do przewozu i pałacu.

Przez ten czas zakapturzeni kapłani odnieśli lektykę do ogromnego budynku, gdzie balsamowano tylko królewskie zwłoki, oraz tych najwyższych dostojników, którzy pozyskali wyjątkową łaskę faraona. Zatrzymali się w przedsionku, gdzie stała złota łódź na kółkach, i zaczęli wydobywać nieboszczyka z lektyki.

— Patrzcie! — zawołał jeden z zakapturzonych — nie sąż to złodzieje?... Faraon przecie umarł pod kaplicą Ozirisa, więc musiał być w paradnym stroju... A tu — o!... Zamiast złotych bransolet — mosiężne, łańcuch także mosiężny, a w pierścieniach fałszywe klejnoty...

— Prawda — odparł inny. — Ciekawym, kto go tak oporządził: kapłani, czy pisarze?

— Z pewnością kapłani... O bodaj wam po-

schły ręce, gałgany!... I taki łotr, jeden z drugim, śmie nas upominać, ażebyśmy dawali nieboszczykowi wszystko w najlepszym gatunku...

— To nie oni żądali, tylko skarbnik...

— Wszyscy są złodzieje...

Tak rozmawiając, balsamiści zdjęli z nieboszczyka odzież królewską, włożyli nań tkany złotem szlafrok i przenieśli zwłoki do łodzi.

— Bogom niech będą dzięki — mówił któryś z zasłonionych — że już mamy nowego pana. Ten z kapłaństwem zrobi porządek... Co wzięli rękoma, zwrócą gębą...

— Uuu!... mówią, że to będzie ostry władca— wtrącił inny. — Przyjaźni się z Fenicjanami, chętnie przestaje z Pentuerem, który przecie nie jest rodowity kapłan, tylko z takich biedaków, jak my... A wojsko, powiadają, że dałoby się spalić i wytopić za nowego faraona...

— I jeszcze w tych dniach sławnie pobił Libijczyków...

— Gdzież on jest, ten nowy faraon?... — odezwał się inny. — W pustyni!... Otóż lękam się, ażeby, zanim wróci do Memfis, nie spotkało go nieszczęście...

— Co mu kto zrobi, kiedy ma wojsko za sobą! Niech nie doczekam uczciwego pogrzebu, jeżeli młody pan nie zrobi z kapłaństwem tak jak bawół z pszenicą...

— Oj ty głupi! — wtrącił milczący dotychczas balsamista. — Faraon podoła kapłanom!...

— Czemużby nie?...

— A czy widziałeś kiedy, ażeby lew poszarpał piramidę?...

— Także gadanie!...

— Albo bawół roztrącił ją?

— Rozumie się, że nie roztrąci.

— A wicher obali piramidę?

— Co on dzisiaj wziął na wypytywanie?...

— No, więc ja ci mówię, że prędzej lew, bawół czy wicher przewróci piramidę, aniżeli faraon pokona stan kapłański... Choćby ten faraon był lwem, bawołem i wichrem w jednej osobie...

— Hej tam, wy! — zawołano zgóry. — Gotów nieboszczyk?...

— Już... już... tylko mu szczęka opada — odpowiedziano z przysionka.

— Wszystko jedno... dawać go tu prędzej, bo Izyda za godzinę musi iść do miasta...

Po chwili złota łódź, razem z nieboszczykiem, zapomocą sznurów była podniesiona wgórę na balkon wewnętrzny.

Z przysionka wchodziło się do wielkiej sali, pomalowanej na kolor niebieski i ozdobionej żółtemi gwiazdami. Przez całą długość sali, do jednej ze ścian był przyczepiony niby ganek, w formie łuku, którego końce wznosiły się na piętro, środek na półtora piętra wysoko.

Sala wyobrażała sklepienie niebieskie, ganek drogę słońca na niebie, zmarły zaś faraon miał być Ozirisem, czyli słońcem, które posuwa się od wschodu ku zachodowi.

Na dole sali stał tłum kapłanów i kapłanek,

którzy, oczekując na uroczystość, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

— Gotowe!... — zawołano z balkonu.

Rozmowy umilkły. W górze rozległ się trzykrotny dźwięk śpiżowej blachy i — na balkonie ukazała się złocista łódź słońca, w której jechał nieboszczyk.

Na dole zabrzmiał hymn na cześć słońca:

„Oto ukazuje się w obłoku, aby oddzielić niebo od ziemi, a później je połączyć...

„Nieustannie ukryty w każdej rzeczy, on jeden żyjący, w którym wiekuiście istnieją wszystkie rzeczy...“

Łódź stopniowo posuwała się wgórę łuku, wreszcie stanęła na najwyższym szczycie.

Wówczas na dolnym krańcu łuku ukazała się kapłanka, przebrana za boginię Izydę, z synem Horusem, i również wolno zaczęła wchodzić pod górę. Był to obraz księżyca, który posuwa się za słońcem.

Teraz łódź ze szczytu łuku zaczęła opuszczać się ku zachodowi, a na dole znowu odezwał się chór

„Bóg wcielony we wszystkie rzeczy, duch Szu we wszystkich bogach. On jest ciałem żyjącego człowieka, twórcą drzewa, które nosi owoce, on jest sprawcą użyźniających wylewów. Bez niego nic nie żyje w ziemskim okręgu“ *).

Łódź znikła na zachodnim końcu balkonu, Izyda z Horusem stanęli na szczycie łuku. Wówczas d

*) Hymn autentyczny.

łodzi przybiegła gromada kapłanów; wydobyli zwłoki faraona i położyli je na marmurowym stole, niby Ozirisa na spoczynek po dziennym trudzie.

Teraz do nieboszczyka zbliżył się paraszyta, przebrany za bożka Tyfona. Na głowie miał okropną maskę i rudą kudłatą perukę, na plecach skórę dzika, a w ręku — kamienny nóż etjopski.

Nożem tym zaczął prędko odrzynać podeszwy nieboszczykowi.

— Co robisz śpiącemu, bracie Tyfonie? — zapytała go z balkonu Izyda.

— Oskrobuję nogi memu bratu Ozirisowi, aby ziemskim pyłem nie zanieczyścił nieba — odpowiedział paraszyta, przebrany za Tyfona.

Oderznąwszy podeszwy, paraszyta porwał zgięty drut, zanurzył go w nosie zmarłego i zaczął wydobywać mózg. Następnie rozciął mu brzuch i tym otworem szybko wyciągnął wnętrzności, serce i płuca.

Przez ten czas pomocnicy Tyfona przynieśli cztery wielkie urny, ozdobione głowami bogów: Hape, Emset, Duamutf i Quebhsneuf, i w każdy z tych dzbanów złożyli jakiś wewnętrzny organ zmarłego.

— A co tam robisz, bracie Tyfonie? — zapytała po raz drugi Izyda.

— Oczyszczam brata mego, Ozirisa, z rzeczy ziemskich, ażeby stał się piękniejszym — odpowiedział paraszyta.

Obok marmurowego stołu znajdowała się sadzawka wody, nasyconej sodą. Paraszyci, oczyściw-

szy zwłoki, rzucili je następnie w sadzawkę, gdzie miały moknąć przez 70 dni.

Tymczasem Izyda, przeszedłszy cały balkon, zbliżyła się do komnaty, w której paraszyta otworzył i oczyścił królewskie zwłoki. Spojrzała na marmurowy stół, a widząc, że był pusty, zapytała przestraszona:

— Gdzie mój brat?... gdzie mój boski małżonek?...

Wtem ryknął grzmot, odezwały się trąby i śpiżowe blachy, a paraszyta, przebrany za Tyfona, wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Piękna Izydo, która pospołu z gwiazdami rozweselasz noce, niema już twego małżonka!... Już nigdy promieniejący Oziris nie usiądzie na złocistej łodzi, już nigdy słońce nie ukaże się na firmamencie... Ja to uczyniłem, ja, Set, i ukryłem go tak głęboko, że go żaden z bogów, ani wszyscy razem nie odnajdą!...

Na te słowa bogini rozdarła szaty, zaczęła jęczeć i rwać sobie włosy. Znowu odezwały się trąby, grzmoty i dzwony, wśród kapłanów i kapłanek wszczął się szmer, potem krzyk, klątwy — i nagle wszyscy rzucili się na Tyfona, wołając:

— Przeklęty duchu ciemności!... Który podniecasz wichry pustynne, burzysz morze, zaćmiewasz światło dzienne!... Obyś zapadł w otchłań, z której sam ojciec bogów nie potrafiłby cię uwolnić... Przeklęty!... przeklęty Set!... Niech imię twoje będzie postrachem i obrzydliwością!...

Tak przeklinając, wszyscy rzucili się na Tyfona

z pięściami i kijami, a rudowłosy bożek począł uciekać i wkońcu wybiegł z sali.

Trzy nowe dźwięki śpiżowej blachy i — uroczystość skończyła się.

— No, dosyć! — zawołał najstarszy kapłan do gromady, która już naprawdę zaczęła się bić między sobą. — Ty, Izydo, możesz iść do miasta, a reszta do innych nieboszczyków, którzy czekają na nas... Nie zaniedbujcie zwyczajnych zmarłych, bo niewiadomo, jak nam za tego zapłacą...

— Z pewnością niewiele! — wtrącił balsamista. — Mówią, że w skarbie niema nic, a Fenicjanie grożą, że przestaną pożyczać, jeżeli nie otrzymają nowych praw...

— Bodaj śmierć wytępiła tych waszych Fenicjan!... Niezadługo człowiek będzie musiał żebrać u nich o placek jęczmienny, tak już wszystko zagarnęli...

— Ale jeżeli oni nie dadzą faraonowi pieniędzy, za pogrzeb nic nie dostaniemy...

Stopniowo rozmowy ucichły i obecni opuścili niebieską salę. Tylko przy jeziorku, gdzie mokły zwłoki faraona, została warta.

Cała ta uroczystość, odtwarzająca legendę o zabiciu Ozirisa (słońce) przez Tyfona (bożek nocy i występku), służyła do tego, ażeby rozciąć i oczyścić zwłoki faraona, i tym sposobem przygotować je do właściwego balsamowania.

Przez 70 dni leżał nieboszczyk w wodzie, nasyconej sodą, zdaje się na pamiątkę, że zły Tyfon utopił ciało brata w Sodowych Jeziorach. Przez

wszystkie te dni, rano i w wieczór, kapłanka, przebrana za Izydę, przychodziła do niebieskiej sali. Tam, jęcząc i rwąc sobie włosy, wypytywała obecnych: czy kto nie widział boskiego jej małżonka i brata?

Po upływie tego czasu żałoby, zjawił się w sali Horus, syn i następca Ozirisa ze swoją świtą i — oni dopiero spostrzegli wannę z wodą.

— Możeby tu poszukać zwłok mego ojca i brata? — spytał Horus.

Jakoż poszukali, znaleźli i, wśród ogromnej radości kapłanów, przy dźwiękach muzyki wydobyli ciało faraona z umacniającej kąpieli.

Ciało to włożono do kamiennej rury, przez którą kilka dni przepływało gorące powietrze, i po wysuszeniu, oddano balsamistom.

Teraz zaczęły się ceremonje najważniejsze, które nad nieboszczykiem dokonywali najwyżsi kapłani dzielnicy zmarłych.

Ciało nieboszczyka, zwrócone głową do południa, obmywano poświęconą wodą, a jego wnętrze winem palmowem. Na posadzce, osypanej popiołem, zasiadały płaczki i, szarpiąc sobie włosy, drapiąc twarze, opłakiwały zmarłego. Dokoła śmiertelnego łoża zgromadzili się kapłani przebrani za bożków. Więc naga Izis w koronie faraonów, młodzieńczy Horus, Anubis z głową szakala, Tot z głową ptasią a tabliczkami w ręku, i wielu innych.

Pod dozorem tego czcigodnego grona, specjaliści zaczęli napełniać wnętrze zmarłego silnie pachnącemi ziołami, trocinami i nawet wlewać tam wonne żywice, wszystko wśród modłów. Potem,

zamiast jego własnych, włożyli mu oczy szklane, oprawione w bronz.

Następnie całe ciało obsypano proszkiem sody.

Teraz przystąpił inny kapłan i wyłożył obecnym, że ciało zmarłego jest ciałem Ozirisa i jego własności są własnościami Ozirisa. „Czarodziejskie własności jego lewej skroni są własnościami skroni boga Tumu, a jego prawe oko jest okiem boga Tumu, którego promienie przebijają ciemność. Jego lewe oko jest okiem Horusa, które tępi wszystkie stworzenia żyjące; warga górna to Izis, a warga dolna — Nefthys. Szyja zmarłego jest boginią, ręce są boskiemi duszami, palce niebieskiemi wężami, synami bogini Selkit. Boki jego to dwa pióra Amona, grzbiet jest kością pacierzową Sibu, zaś brzuch jest bogiem Nue“ *).

Inny kapłan mówi:

„Dano mi usta do mówienia, nogi do chodzenia, ręce, abym obalał nieprzyjaciół moich. Zmartwychwstaję, istnieję, otwieram niebo; robię to, co mi nakazano w Memfis“ **).

A tymczasem na szyi zmarłego wieszają wizerunek chrząszcza skarabeusza, zrobiony z drogiego kamienia, na którym jest napis:

„O serce moje, serce, którem otrzymał od matki, które miałem, kiedym był na ziemi, o serce, nie powstań przeciw mnie i nie daj złego świadectwa w dzień sądu“ ***).

*) Maspero.
**) Autentyczne.
***) Autentyczne.

Teraz każdą rękę i nogę, każdy palec zmarłego owijają kapłani taśmami, na których wypisane są modlitwy i zaklęcia. Taśmy te podklejają się gumą i balsamami. Na piersiach zaś i na szyi składa się całe rękopisy Księgi Zmarłych z następnemi medytacjami, które nad nieboszczykiem głośno odmawiają kapłani:

„Jestem ten, któremu żaden bóg nie stawia przeszkód.

Kto to jest?...

On jest Tum na swej tarczy, on jest Ra na swej tarczy, która wznosi się na wschodzie nieba.

Jestem Wczoraj i znam Jutro.

Kto to jest?

Wczoraj — jest to Oziris, Jutro — jest to Ra, w tym dniu, kiedy zniweczy nieprzyjaciół Pana, który jest nad wszystkiem, i kiedy poświęci syną swego Horusa. Innemi słowy: w dniu, kiedy trumnę Ozirisa spotka jego ojciec Ra. On zwalczy bogów na rozkaz Ozirisa, pana góry Amenti.

Co to jest?

Amenti jest to stworzenie dusz bogów, na rozkaz Ozirisa, pana góry Amenti. Innemi słowy: Amenti jest to podniecenie, wzbudzone przez Ra; każdy bóg, który tam przybywa, stacza walkę. Znam wielkiego boga, który tam mieszka.

Ja jestem z mego kraju, przychodzę z mojego miasta, niszczę złe, usuwam niedobre, oddalam brud od siebie. Dostaję się do kraju mieszkańców na niebie, wstępuję przez potężną bramę.

O wy, towarzysze, podajcie mi rękę, gdyż będę jednym z Was!" *).

Gdy każdy członek zmarłego jest już owinięty modlitewnemi taśmami i zaopatrzony w amulety, gdy posiada już dostateczny zasób medytacyj, które pozwolą mu orjentować się w krainie bogów, należy pomyśleć o dokumencie, któryby otworzył wrota do owej krainy.

Albowiem między mogiłą i niebem czeka zmarłego czterdziestu dwóch straszliwych sędziów, którzy, pod prezydencją Ozirisa, badają jego ziemskie życie. Dopiero gdy serce nieboszczyka, ważone na wadze sprawiedliwości, okaże się równem bogini prawdy, gdy bóg Dutes, zapisujący na tabliczkach czyny zmarłego, uważa je za dobre, dopiero wówczas Horus bierze duszę za rękę i prowadzi ją przed tron Ozirisa.

Otóż, ażeby zmarły mógł usprawiedliwić się przed sądem, należy jego mumję owinąć w papirus, na którym jest wypisana — spowiedź powszechna. Podczas spowijania w ten dokument, kapłani mówią dobitnie i wyraźnie, aby zmarły niczego nie zapomniał:

„Władcy prawdy, przynoszę wam samą prawdę.

Nie zrobiłem złego w sposób zdradziecki żadnemu człowiekowi. Nie uczyniłem nieszczęśliwym nikogo z moich bliźnich... Nie dopuściłem się sprośności ani zelżywego słowa w domu prawdy. Nie

*) Księga Zmarłych.

miałem zażyłości ze złem. Nie czyniłem złego. Jako zwierzchnik, nie nakazywałem swoim podwładnym pracować ponad siły. Nikt z mojej winy nie stał się lękliwym, ubogim, cierpiącym, ani nieszczęśliwym. Nie czyniłem nic takiego, czemby pogardzali bogowie. Nie dręczyłem niewolnika. Nie morzyłem go głodem. Nie wyciskałem mu łez. Nie zabiłem. Nie kazałem zabijać zdradziecko. Nie kłamałem. Nie rabowałem majątku świątyń. Nie zmniejszałem dochodów, poświęconych bogom. Nie zabierałem chleba ani opasek mumjom. Nie popełniłem grzechu z kapłanem mego okręgu. Nie zabierałem mu, ani zmniejszałem majętności. Nie używałem fałszywej wagi. Nie oderwałem niemowlęcia od piersi jego karmicielki. Nie dopuszczałem się bestjalstwa. Nie chwytałem w sieci ptaków, poświęconych bogom. Nie szkodziłem przyborowi wody. Nie odwracałem biegu kanałów. Nie gasiłem ognia w porze niewłaściwej. Nie okradałem bogów z ofiar, które wybrali. Jestem czysty... Jestem czysty... Jestem czysty" *).

Gdy nieboszczyk już umiał, dzięki Księdze Zmarłych, radzić sobie w krainie wiekuistej, a przedewszystkiem — gdy wiedział, jak usprawiedliwić się przed sądem czterdziestu dwóch bogów, wówczas kapłani zaopatrywali go jeszcze w przedmowę do tej księgi i—ustnie tłumaczyli mu jej niezmierną doniosłość.

---

*) Rozdział 75-ty *Księgi Zmarłych.* Jest to jeden z najwznioślejszych dokumentów, jakie zostawiła starożytność.

W tym celu balsamiści, otaczający świeżą mumję faraona, odsuwali się, a przychodził arcykapłan tej dzielnicy i szeptał zmarłemu do ucha:

„Wiedz o tem, że posiadając tę księgę, będziesz należał do żyjących i pozyskasz wielkie znaczenie między bogami. Wiedz o tem, że, dzięki jej, nikt nie ośmieli się sprzeciwiać tobie. Sami bogowie zbliżą się do ciebie i uściskają cię, albowiem — będziesz należał do ich grona.

Wiedz o tem, że ta księga da ci poznać: co było na początku. Żaden człowiek jej nie głosił, żadne oko nie widziało, żadne ucho nie słyszało jej. Księga ta jest samą prawdą, ale nikt i nigdy jej nie znał. Niechże ona będzie widzianą tylko przez ciebie i tego, który cię w nią zaopatrzył. Nie rób do niej komentarzy, jakie mogłaby ci nasunąć twoja pamięć albo wyobraźnia. Pisze się ona całkowicie w sali, gdzie balsamują zmarłych. Jest to wielka tajemnica, której nie zna żaden pospolity człowiek, żaden w świecie.

Książka ta będzie twym pokarmem w niższej krainie duchów, dostarczy twej duszy środków pobytu na ziemi, da jej życie wieczne i sprawi, że nikt nie będzie miał władzy nad tobą“ *).

Zwłoki królewskie ubrano w kosztowne szaty, w złotą maskę na twarz, w pierścienie i bransolety na ręku, które złożono nakrzyż. Pod głowę dano mu z kości słoniowej podpórkę, na jakiej zwykli byli sypiać Egipcjanie. Wreszcie zamknięto ciało w 3-ch

*) *Księga Zmarłych.* Rozdz. 148.

trumnach: papierowej, okrytej napisami, cedrowej złoconej i — marmurowej. Kształt dwu pierwszych odpowiadał dokładnie formie ciała zmarłego; nawet rzeźbiona twarz była podobna, tylko uśmiechnięta.

Po trzech miesiącach pobytu w dzielnicy zmarłych, mumja faraona była gotowa do uroczystego pogrzebu, więc — odniesiono ją napowrót do królewskiego pałacu.

ROZDZIAŁ V.

Przez siedemdziesiąt dni, w ciągu których czcigodne zwłoki mokły w wodzie nasyconej sodą, Egipt obchodził żałobę.

Świątynie były zamknięte, nie odprawiano procesyj. Wszelka muzyka umilkła, nie urządzano uczt, tancerki zamieniły się na płaczki i, zamiast tańcować, rwały sobie włosy, co również przynosiło im dochód.

Nie pijano wina, nie jadano mięsa. Najwięksi dostojnicy chodzili w grubych szatach, boso. Nikt nie golił się (z wyjątkiem kapłanów), najgorliwsi zaś nawet nie myli się, lecz namazywali błotem twarze, a włosy obsypywali popiołem.

Od morza Śródziemnego do pierwszej katarakty na Nilu, od libijskiej pustyni do półwyspu Synai, panowała cisza i smutek. Zgasło słońce Egiptu, odszedł na Zachód i opuścił sługi swoje pan, który dawał radość i życie.

W wyższych towarzystwach najmodniejszemi

były rozmowy o powszechnym żalu, który udzielił się nawet naturze.

— Czy nie zauważyłeś — mówił dostojnik do dostojnika — że dni są krótsze i ciemniejsze?

— Nie śmiałem zwierzyć się z tego przed tobą — odparł drugi — ale tak jest w rzeczy samej. Spostrzegłem nawet, że mniej gwiazd świeci podczas nocy i że pełnia trwała krócej, a nów dłużej, niż zwykle.

— Pasterze mówią, że bydło na pastwisku nie chce jeść, tylko ryczy...

— A ja słyszałem od myśliwych, że zapłakane lwy nie rzucają się na sarny, bo nie jedzą mięsa.

— Okropny czas!... Przyjdź do mnie dziś wieczorem, a wypijemy po szklance żałobnego płynu, który wymyślił mój piwniczny.

— Wiem, pewnie masz czarne piwo sydońskie?...

— Niech bogowie bronią, ażebyśmy w tym czasie używali trunków rozweselających! Płyn, który wynalazł mój piwniczny, nie jest piwem... Porównałbym go raczej do wina, nasyconego piżmem i wonnemi ziołami.

— Bardzo stosowny napój, gdy pan nasz przebywa w dzielnicy zmarłych, nad którą unosi się woń piżma i ziół balsamicznych.

Tak przez siedemdziesiąt dni martwili się dygnitarze.

Pierwsze drgnienie radości przebiegło Egipt wówczas, gdy z dzielnicy zmarłych dano znać, że ciało władcy wydobyto z kąpieli sodowej i że balsamiści i kapłani już spełniają nad niem obrządki.

W tym dniu po raz pierwszy ostrzyżono włosy, usunięto błoto z twarzy, a kto miał ochotę, umył się. I w rzeczy samej, już nie było powodu do martwienia się: Horus bowiem znalazł zwłoki Ozirisa. Władca Egiptu, dzięki sztuce balsamistów, odzyskiwał życie, a dzięki modłom kapłanów i Księdze Zmarłych stawał się równy bogom.

Od tej pory nieboszczyk faraon Mer-amen-Ramzes urzędownie nazywał się „Ozirisem"; nieurzędownie bowiem nazywano go tak natychmiast po śmierci.

Wrodzona wesołość ludu egipskiego zaczęła brać górę nad żałobą, szczególnie wśród wojska, rzemieślników i chłopów. Radość ta przybierała niekiedy nieprzystojne formy pomiędzy ludem prostym.

Niewiadomo bowiem skąd, zaczęły krążyć pogłoski, że nowy faraon, którego cały lud już kochał instynktownie, że młody pan chce zająć się poprawieniem doli chłopów, robotników, a nawet niewolników.

Z tego powodu zdarzało się (rzecz niesłychana), że murarze, stolarze i garncarze, zamiast pić spokojnie i rozmawiać o swoim fachu lub interesach rodzinnych, ośmielali się w szynkowniach nietylko narzekać na podatki, ale nawet sarkać na władzę kapłanów. Chłopi zaś, zamiast czas wolny od roboty poświęcać modlitwom i pamięci przodków, mówili między sobą: jakby to było dobrze, gdyby każdy z nich posiadał kilka zagonów gruntu na własność i mógł odpoczywać co siódmy dzień!

O wojsku, a szczególnie o cudzoziemskich pułkach, niema co wspominać. Ludzie ci wyobrażali sobie, że są najznakomitszą klasą w Egipcie, a jeżeli nie są, to wnet będą, po jakiejś tam szczęśliwej wojnie, która ma wybuchnąć.

Zato nomarchowie, szlachta siedząca w wiejskich majątkach, a nadewszystko arcykapłani różnych świątyń, uroczyście obchodzili żałobę po zmarłym panu, bez względu, że można już było cieszyć się, gdyż faraon został Ozirisem.

Ściśle rzeczy biorąc, nowy władca dotychczas nikomu nie zrobił krzywdy, więc przyczyną smutku dostojników były tylko pogłoski, te same, które radowały lud prosty. Nomarchowie i szlachta cierpli na myśl, że ich chłop może próżnować przez pięćdziesiąt dni w roku, a co gorsza — posiadać na własność ziemię, choćby tylko w rozmiarach, wystarczających na zbudowanie grobu. Kapłani bledli i zaciskali zęby, patrząc na gospodarstwo Ramzesa XIII-go i sposób, w jaki ich traktował.

Rzeczywiście w pałacu królewskim zaszły ogromne zmiany.

Faraon mieszkanie swoje przeniósł do jednego z gmachów skrzydłowych, w którym prawie wszystkie pokoje zajęli generałowie. W suterenach pomieścił żołnierzy greckich, na piętrze gwardję, w pokojach, znajdujących się wzdłuż muru — Etjopów. Wartę dokoła pałacyku trzymali Azjaci, a przy komnatach jego świątobliwości kwaterował ten szwadron, którego żołnierze towarzyszyli panu w czasie pościgu za Tehenną, przez pustynię.

Co gorsza — jego świątobliwość, pomimo tak niedawnego buntu Libijczyków, przywrócił im swoją łaskę, żadnego nie skazał na karę, owszem — obdarzał ich zaufaniem.

Prawda, że korpus kapłański, który był w głównym pałacu, został w nim i odprawiał obrządki religijne pod przewodnictwem dostojnego Sema. Ale ponieważ kapłani nie towarzyszyli faraonowi przy śniadaniu, obiedzie i kolacji, więc ich żywność stała się bardzo niewykwintną.

Napróżno święci mężowie przypominali, że muszą karmić przedstawicieli dziewiętnastu dynastyj i mnóstwo bogów. Skarbnik, zmiarkowawszy intencje faraona, odpowiadał kapłanom, że dla bogów i przodków wystarczą kwiaty i wonności, a że sami prorocy, jak nakazuje moralność, powinni jadać jęczmienne placki i popijać wodą lub piwem. Dla poparcia swoich grubjańskich teoryj skarbnik powoływał się na przykład arcykapłana Sema, który żył jako pokutnik, a co gorsza, mówił im, że jego świątobliwość, wraz z generałami, prowadzi żołnierską kuchnię.

Wobec tego kapłani pałacowi w milczeniu poczęli zastanawiać się: czy nielepiej zrobią, gdy opuszczą skąpy dom królewski, a przeniosą się do własnych schronień obok świątyń, gdzie będą mieli lżejsze obowiązki i głód nie będzie im skręcał wnętrzności?

I może uczyniliby tak natychmiast, gdyby najdostojniejsi Herhor i Mefres nie rozkazali im wytrwać na miejscu.

Ale i położenie Herhora przy nowym panu nie mogło nazywać się pomyślnem. Doniedawna wszechwładny minister, który prawie nie opuszczał pokojów królewskich, siedział dziś samotny w swoim pałacyku i nieraz nie widywał nowego faraona przez całe dekady. Był on jeszcze ministrem wojny, ale już prawie nie wydawał rozkazów. Wszystkie bowiem interesa wojskowe faraon załatwiał sam. Sam czytał raporty generałów, sam rozstrzygał wątpliwe kwestje, a jego adjutanci brali z ministerjum wojny potrzebne dokumenty.

Jego dostojność Herhor, jeżeli kiedy był wezwany przez władcę, to chyba poto, ażeby usłyszeć wymówkę.

Niemniej wszyscy dostojnicy przyznawali, że nowy faraon bardzo pracuje.

Ramzes XIII wstawał przed wschodem słońca, kąpał się i spalał kadzidło przed posągiem Ozirisa. Natychmiast potem słuchał raportów: najwyższego sędziego, najwyższego pisarza stodół i obór w całym kraju, najwyższego skarbnika, wreszcie — naczelnika swoich pałaców. Ten ostatni cierpiał najwięcej: nie było bowiem dnia, ażeby pan nie mówił mu, że utrzymanie dworu za dużo kosztuje i że jest w nim za wiele osób.

Istotnie, mieszkało w pałacu królewskim kilkaset kobiet zmarłego faraona z odpowiednią ilością dzieci i służby. Ciągle upominany naczelnik dworu z dnia na dzień wypędzał po kilkanaście osób, a innym ograniczał wydatki. Skutkiem tego, po upływie miesiąca, wszystkie damy dworu z krzykiem i pła-

czem pobiegły do mieszkania królowej Nikotris, błagając o ratunek.

Jakoż czcigodna pani natychmiast udała się do władcy i, upadłszy na twarz, prosiła go, aby ulitował się nad kobietami swego ojca i nie pozwolił im umierać z niedostatku.

Faraon wysłuchał jej ze zmarszczonem czołem i rozkazał naczelnikowi dworu, ażeby nie posuwano dalej oszczędności. Zarazem jednak powiedział najczcigodniejszej pani, że, po pogrzebie ojca, kobiety będą usunięte z pałacu i rozesłane po folwarkach.

Nasz dwór — mówił — kosztuje około trzydziestu tysięcy talentów rocznie, czyli — o połowę więcej, aniżeli całe wojsko. Takiej sumy nie mogę wydawać bez zrujnowania siebie i państwa.

— Czyń jak chcesz — odparła królowa. — Egipt jest twój. Lękam się jednak, że rozpędzeni ludzie dworscy staną się twymi wrogami.

Na to pan, milcząc, wziął matkę za rękę, poprowadził ją do okna i wskazał las włóczni mustrującej się na dziedzińcu piechoty.

Ten czyn faraona wywołał nieoczekiwany skutek. Oczy królowej, przed chwilą zalane łzami, błysnęły dumą. Nagle pochyliła się i pocałowała syna w rękę, mówiąc wzruszonym głosem:

— Zaprawdę, jesteś synem Izydy i Ozirisa, i dobrze uczyniłam, odstępując cię bogini... Nareszcie Egipt ma władcę!...

Od tej pory czcigodna pani nigdy i w żadnej

sprawie nie wstawiała się do syna. A gdy ją proszono o protekcję, odpowiadała:

— Jestem sługą jego świątobliwości i radzę wam spełniać rozkazy pana bez oporu. Wszystko bowiem, co on robi, pochodzi z natchnienia bogów. A któż oprze się bogom?...

Po śniadaniu faraon zajmował się sprawami ministerjum wojny i skarbowością, a około trzeciej po południu, otoczony wielką świtą, wyjeżdżał do wojsk, obozujących pod Memfisem i przypatrywał się mustrze.

Rzeczywiście największe zmiany zaszły w sprawach wojskowych państwa.

W ciągu niespełna dwu miesięcy jego świątobliwość uformował pięć nowych pułków, a raczej wskrzesił te, które zwinięto za poprzedniego panowania. Usunął oficerów, oddających się pijaństwu i kosterstwu, tudzież takich, którzy udręczali żołnierzy.

Do biur ministerjum wojny, gdzie pracowali sami kapłani, wprowadził swoich najzdolniejszych adjutantów, którzy bardzo prędko opanowali ważne dokumenty, dotyczące armji. Kazał zrobić spis wszystkich mężczyzn w państwie, którzy należeli do stanu wojskowego, lecz od kilkunastu lat nie pełniali żadnych obowiązków, tylko gospodarowali. Otworzył dwie nowe szkoły oficerskie dla dzieci od dwunastu lat i odnowił już zaniedbany zwyczaj, ażeby młodzież wojskowa, dopiero po odbyciu trzygodzinnego marszu, w linjach i kolumnach, otrzymywała śniadanie.

Wreszcie żadnemu oddziałowi wojska nie wolno było mieszkać po wsiach, lecz w koszarach lub w obozie. Każdy pułk miał wyznaczony plac na ćwiczenia, na którym po całych dniach rzucano kamienie z procy, albo strzelano z łuku do tarcz.

Wyszło też polecenie do rodzin stanu wojskowego, aby mężczyźni ich wprawiali się w rzucanie pocisków, pod kierunkiem oficerów i dziesiętników armji regularnej. Rozkaz wykonano natychmiast, skutkiem czego Egipt, już w dwa miesiące po śmierci Ramzesa XII wyglądał jak obóz.

Albowiem nawet wiejskie i miejskie dzieci, które dotychczas bawiły się w pisarzów i kapłanów, teraz naśladując starszych, zaczęły bawić się w wojsko. Więc na każdym placu i w każdym ogrodzie od rana do wieczora, świstały kamienie i pocisk z łuków, a sądy zawalone były skargami o uszkodzenia cielesne.

I stało się, że Egipt był jakby odmieniony i że pomimo żałoby, panował w nim wielki ruch a wszystko za sprawą nowego władcy.

Sam zaś faraon rósł w dumę, widząc, że całe państwo stosuje się do jego królewskiej woli.

Przyszła jednak chwila, że i on się zasępił.

W tym samym dniu, kiedy balsamiści wydobyli ciało Ramzesa XII z sodowej kąpieli, wielki skarbnik, składając zwykły raport, rzekł do faraona:

— Nie wiem, co począć... Mamy bowiem w skarbie dwa tysiące talentów, a na pogrzeb zmarłego pana trzeba co najmniej tysiąc...

— Jakto dwa tysiące?... — zdziwił się władca. — Kiedym obejmował rządy, mówiłeś, że mamy dwadzieścia tysięcy...

— Wydaliśmy osiemnaście...

— We dwa miesiące?...

— Mieliśmy ogromne rozchody...

— Prawda — odparł faraon — ależ codzień wpływają podatki...

— Podatki — rzekł skarbnik — nie wiem dlaczego, znowu zmniejszyły się i nie napływają w takiej ilości, jak rachowałem. Ale i one rozeszły się... Racz wasza świątobliwość pamiętać, że mamy pięć nowych pułków. Więc około ośmiu tysięcy ludzi porzuciło swoje zajęcia i żyją na koszt państwa...

Faraon zamyślił się.

— Musimy — odpowiedział — zaciągnąć nową pożyczkę. Porozumiej się z Herhorem i Mefresem, aby nam dały świątynie.

— Mówiłem o tem... świątynie nic nam nie dadzą.

— Obrazili się prorocy!... — uśmiechnął się faraon. — W takim razie musimy wezwać pogan... Przyślij do mnie Dagona.

Nad wieczorem przyszedł bankier fenicki. Upadł na ziemię przed panem i ofiarował mu złoty puhar, wysadzany klejnotami.

— Teraz już mogę umrzeć!... — zawołał Dagon — kiedy mój najłaskawszy władca zasiadł na tronie...

— Zanim jednak umrzesz — rzekł do klęczą-

cego faraon — wystaraj mi się o kilka tysięcy talentów.

Fenicjanin struchlał, czy może tylko udawał wielkie zakłopotanie.

— Niech wasza świątobliwość każe mi lepiej szukać pereł w Nilu — odparł — gdyż zginę odrazu i pan mój nie posądzi mnie o złe chęci... Ale taką sumę znaleźć dzisiaj!...

Ramzes XIII zdziwił się.

— Jakto? — spytał — więc Fenicjanie nie mają dla mnie pieniędzy?...

— Krew i życie nasze i dzieci naszych oddamy waszej świątobliwości — rzekł Dagon. — Ale pieniądze... Skąd my weźmiemy pieniędzy?...

Dawniej świątynie udzielały nam pożyczek na piętnaście lub dwadzieścia procentów rocznie. Lecz od czasu, gdy wasza świątobliwość, jeszcze jako następca tronu, był w świątyni Hator, tam, pod Pi-Bast, kapłani zupełnie odmówili nam kredytu...

Oni, gdyby mogli, dziś wygnaliby nas z Egiptu, a jeszcze chętniej wytępiliby... Ach, co my cierpimy z ich łaski... Chłopi robią jak chcą i kiedy chcą... na podatek oddają, co im z nosa spadnie... Gdy którego uderzyć, buntują się, a gdy nieszczęśliwy Fenicjanin pójdzie o pomoc do sądu, albo przegrywa sprawy, albo musi się strasznie opłacać...

Godziny nasze na tej ziemi są policzone!... — mówił z płaczem Dagon.

Faraon sposępniał.

— Zajmę się ja temi sprawami — odparł — i sądy będą wymierzały wam sprawiedliwość. Tym-

czasem jednak potrzebuję około pięciu tysięcy talentów...

— Skąd weźmiemy, panie?... — jęczał Dagon. — Wskaż nam wasza świątobliwość, kupców, a sprzedamy im wszystkie nasze ruchomości i nieruchomości, byle spełnić twoje rozkazy...

— Lecz gdzie są ci kupcy?... Chyba kapłani, którzy otaksują nasze majątki za bezcen i — jeszcze nie zapłacą gotowizną.

— Poszlijcie do Tyru, Sydonu... — wtrącił pan. — Przecież każde z tych miast mogłoby pożyczyć nie pięć, ale sto tysięcy talentów...

— Tyr i Sydon!... — powtórzył Dagon. — Dziś cała Fenicja gromadzi złoto i klejnoty, ażeby opłacić się Asyryjczykom... Kręcą się już po naszym kraju wysłańcy króla Asara i mówią, że bylebyśmy składali co rok hojny okup, to król i satrapowie nietylko nie będą nas ciemiężyli, ale jeszcze nastręczą nam większe zarobki, niż te, jakie mamy dziś z łaski waszej świątobliwości i Egiptu...

Władca pobladł i zacisnął zęby. Fenicjanin spostrzegł się i dodał prędko:

— Wreszcie, co ja mam zabierać waszej świątobliwości czas mojem głupiem gadaniem?... Jest tu, w Memfisie, książę Hiram... On może lepiej objaśni wszystko memu panu, bo to mędrzec i członek najwyższej rady naszych miast...

Ramzes ożywił się.

— A dawajże mi tu prędzej Hirama — odparł. — Bo ty, Dagonie, rozmawiasz ze mną nie jak bankier, ale jak pogrzebowa płaczka.

Fenicjanin jeszcze raz uderzył czołem w posadzkę i spytał:

— Czy dostojny Hiram nie mógłby zaraz tu przyjść?... Prawda, że już późno... Ale on tak boi się kapłanów, że wolałby o nocnej porze złożyć hołd waszej świątobliwości...

Faraon przygryzł usta, ale zgodził się na ten projekt. Wysłał nawet z bankierem Tutmozisa, aby ten przyprowadził Hirama do pałacu tajemnemi wejściami.

ROZDZIAŁ VI.

Około dziesiątej wieczór stanął przed panem Hiram, odziany w ciemną szatę memfijskiego przekupnia.

— Czegóż się tak skradasz wasza dostojność?... — zapytał go niemile dotknięty faraon. — Czyliż mój pałac jest więzieniem, albo domem trędowatych?...

— Ach, władco nasz! — westchnął stary Fenicjanin. — Od chwili, gdy zostałeś panem Egiptu, zbrodniarzami są ci, którzy ośmielają się widywać ciebie i nie zdawać sprawy z tego, o czem raczysz mówić...

— Przed kimże to musicie powtarzać moje słowa?...— spytał pan.

Hiram podniósł oczy i ręce do góry.

— Wasza świątobliwość znasz swoich wrogów!... — odparł.

— Mniejsza o nich — rzekł faraon. — Wasza

dostojność wiesz, poco cię wezwałem? Chcę pożyczyć kilka tysięcy talentów...

Hiram syknął i tak zachwiał się na nogach, że pan pozwolił mu usiąść w swojej obecności, co było najwyższym zaszczytem.

Rozsiadłszy się wygodnie i odpocząwszy, Hiram rzekł:

— Poco wasza świątobliwość ma pożyczać, kiedy może mieć duże skarby?...

— Wiem, gdy zdobędę Niniwę — przerwał faraon. — To dalekie czasy, a pieniądze potrzebne mi są dziś...

— Ja nie mówię o wojnie — odparł Hiram. — Ja mówię o takiej sprawie, która natychmiast przyniesie skarbowi duże sumy i—stały roczny dochód...

— Jakim sposobem?

— Niech wasza świątobliwość pozwoli nam i pomoże wykopać kanał, któryby połączył morze Śródziemne z morzem Czerwonem...

Faraon zerwał się z fotelu.

— Żartujesz, stary człowieku?...—zawołał. — Któż taką pracę wykona i kto chciałby narazić Egipt?... Przecie morze zalałoby nas...

— Jakie morze?... Bo chyba ani Czerwone, ani Śródziemne — spokojnie odparł Hiram. — Ja wiem, że egipscy kapłani-inżynierowie badali ten interes i wyrachowali, że to jest bardzo dobry interes, najlepszy w świecie... Tylko... oni sami wolą go zrobić, a raczej nie chcą, ażeby zrobił to faraon.

— Gdzie masz dowody? — spytał Ramzes.

— Ja nie mam dowodów, ale ja przyszlę wa-

szej świątobliwości takiego kapłana, który całą sprawę objaśni planami i rachunkiem...

— Kto jest ten kapłan?...

Hiram zamyślił się i rzekł po chwili:

— Czy mam obietnicę waszej świątobliwości, że o nim nikt nie będzie wiedział, oprócz nas?... On wam, panie mój, większe odda usługi, aniżeli ja sam... On zna dużo tajemnic i... dużo niegodziwości kapłańskich...

— Przyrzekam — odparł faraon.

— Ten kapłan jest to Samentu... On jest wielkim mędrcem, tylko... potrzebuje pieniędzy i jest bardzo ambitny... A ponieważ arcykapłani poniżają go, więc on mi powiedział, że gdy wasza świątobliwość zechce, to on... to on obali stan kapłański... Bo on wie dużo sekretów... O dużo!...

Ramzes głęboko zamyślił się. Zrozumiał, że ten kapłan jest wielkim zdrajcą, ale i oceniał, jak ważne może mu oddać usługi.

— Owszem — rzekł faraon — pomyślę o tym Samentu. A teraz, na chwilę przypuśćmy, że można zbudować taki kanał: cóż ja będę miał z niego?

Hiram podniósł lewą rękę i na jej palcach zaczął rachować:

— Przedewszystkiem — mówił — Fenicja odda waszej świątobliwości pięć tysięcy talentów zaległych danin...

Po drugie — Fenicja zapłaci waszej świątobliwości za prawo wykonywania robót...

Po trzecie — gdy zaczną się roboty, będziemy płacili tysiąc talentów rocznego podatku i jeszcze—

tyle talentów, ile Egipt dostarczy nam dziesiątków robotników.

Po czwarte — za każdego inżyniera egipskiego damy waszej świątobliwości talent na rok...

Po piąte, gdy skończą się roboty, wasza świątobliwość odda nam kanał w dzierżawę na 100 lat, a my będziemy płacili zato po tysiąc talentów rocznie.

— Czy to są małe zyski?... — spytał Hiram.

— A teraz, a dziś — rzekł faraon — dalibyście mi owe pięć tysięcy haraczu?...

— Jeżeli dziś będzie zawarta umowa, damy dziesięć tysięcy i jeszcze dołożymy ze trzy tysiące, jako podatek za trzy lata zgóry...

Ramzes XIII-ty zamyślił się. Nieraz już Fenicjanie proponowali władcom Egiptu budowę tego kanału, lecz zawsze trafiali na nieugięty opór kapłanów. Egipscy mędrcy tłumaczyli faraonom, że kanał ten narazi państwo na zalew wód od strony morza Śródziemnego i Czerwonego.

Ale znowu Hiram twierdził, że wypadek podobny nie nastąpi, o czem wiedzą kapłani!...

— Obiecujecie — odezwał się faraon po długiej chwili — obiecujecie płacić po tysiąc talentów rocznie przez sto lat. Mówicie, że ów kanał, wygrzebany w piaskach, jest najlepszym w świecie interesem. Ja tego nie rozumiem, i przyznam się. Hiramie, podejrzewam...

Fenicjaninowi zapłonęły oczy.

— Panie — odparł — powiem ci wszystko, ale zaklinam cię na twoją koronę... na cień twego

ojca... ażebyś przed nikim nie odsłonił tej tajemnicy... Jest to największa tajemnica kapłanów chaldejskich i egipskich, a nawet Fenicji... Od niej zależy przyszłość świata!...

— No, no, Hiramie!...—odparł faraon z uśmiechem.

— Tobie, królu — ciągnął Fenicjanin — dali bogowie mądrość, energję i szlachetność, więc tyś nasz... Ty jeden z władców ziemskich możesz być wtajemniczony, bo ty jeden potrafisz wykonywać wielkie rzeczy... To też zdobędziesz taką potęgę, jakiej jeszcze nie dosięgnął żaden człowiek...

Faraon odczuł w sercu słodycz dumy, ale opanował się.

— Ty mnie nie chwal — rzekł — za to, czego jeszcze nie zrobiłem, ale mi powiedz: jakie korzyści spłyną na Fenicję i na moje państwo z wykopania kanału?

Hiram poprawił się na fotelu i zaczął mówić zniżonym głosem:

— Wiedz o tem, panie nasz, że na wschód, południe i północ od Asyrji i Babilonu niema ani pustyni, ani bagien zamieszkanych przez dziwne potwory, ale są olbrzymie.... olbrzymie kraje i państwa... Kraje to tak wielkie, że piechota waszej świątobliwości, słynna z marszów, musiałaby prawie dwa lata iść wciąż ku wschodowi, zanim dosięgłaby granic...

Ramzes podniósł brwi wgórę, jak człowiek, który pozwala komuś kłamać, ale wie o kłamstwie. Hiram lekko wzruszył ramionami i prawił:

— Na wschód i na południe od Babilonu, nad wielkiem morzem, mieszka ze sto miljonów ludzi, którzy mają potężnych królów, kapłanów mędrszych, niż egipscy, stare księgi, biegłych rzemieślników . Ludy te umieją wyrabiać nietylko tkaniny, sprzęty i naczynia, równie piękne, jak Egipcjanie, ale od niepamiętnych czasów mają podziemne i nadziemne świątynie — większe, wspanialsze i bogatsze, aniżeli Egipt...

— Mów dalej... mów!... — wtrącił pan. Ale z twarzy jego nie można było poznać: czy jest zaciekawiony opisem, czy oburzony kłamstwem?

— W krajach tych są perły, drogie kamienie, złoto, miedź... są najosobliwsze zboża, kwiaty i owoce... są wreszcie lasy, po których całe miesiące można błądzić między drzewami, grubszemi od waszych kolumn w świątyniach, wyższemi od palm... Ludność zaś tych okolic jest prosta i łagodna... I gdybyś wasza świątobliwość posłał tam na okrętach dwa swoje pułki, mógłbyś zdobyć obszar ziemi większy od całego Egiptu, bogatszy, niż skarbiec w Labiryncie...

Jutro, jeżeli wasza świątobliwość pozwoli, przyślę wam próbki tamtejszych tkanin, drzewa i bronzów... Przyszlę też dwa ziarnka tamtejszych cudownych balsamów, które, gdy połknie człowiek, otwierają się przed nim bramy wieczności i może doznać szczęścia, które jest udziałem samych tylko bogów...

— Bardzo proszę o próbki tkanin i wyrobów— wtrącił faraon. — Co zaś do balsamów... mniejsza

o nie!... Dosyć nacieszymy się wiecznością i bogami po śmierci...

— Zaś daleko, bardzo daleko, na wschód od Asyrji — mówił Hiram — leżą jeszcze większe kraje, mające ze dwieście miljonów ludności...

— Jak wam łatwo o miljony!... — uśmiechnął się pan.

Hiram położył rękę na sercu.

— Przysięgam — rzekł — na duchy przodków moich i na moją cześć, że mówię prawdę!...

Faraon poruszył się: zastanowiła go tak wielka przysięga.

— Mów... mów dalej... — rzekł.

— Otóż kraje te — ciągnął Fenicjanin — są bardzo dziwne. Zamieszkują je ludy o skośnych oczach i żółtej cerze. Ludy te mają pana, który nazywa się synem Nieba i rządzi niemi za pośrednictwem mędrców, którzy jednak nie są kapłanami i nie mają takiej władzy, jak w Egipcie...

A przytem ludy te są podobne do Egipcjan... Czczą zmarłych przodków i bardzo dbają o ich zwłoki. Używają pisma, które przypomina wasze, kapłańskie... Lecz — noszą długie szaty z tkanin wcale u nas nieznanych, mają sandały podobne do małych ławeczek, a głowy zakrywają śpiczastemi pudełkami... Także dachy ich domów są śpiczaste i zadarte na brzegach...

Te nadzwyczajne ludy mają zboże plenniejsze niż egipska pszenica, i robią z niego napitek mocniejszy, niż wino. Mają też roślinę, której liście dają tęgość członkom, wesołość umysłowi, a nawet po-

zwalają obchodzić się bez snu. Mają papier, który umieją ozdabiać różnokolorowemi obrazami, i mają glinę, która po wypaleniu przyświeca, jak szkło, a dźwięczy jak metal...

Jutro, gdy wasza świątobliwość pozwoli, przyślę próbki wyrobów tego ludu...

— Dziwy opowiadasz, Hiramie!... — rzekł faraon. — Nie widzę jednak związku między temi osobliwościami a kanałem, który chcecie kopać...

— Odpowiem krótko — odparł Fenicjanin. — Gdy będzie kanał, cała fenicka i egipska flota przepłynie na morze Czerwone, z niego dalej i — w ciągu paru miesięcy dosięgnie tych bogatych krajów, do których lądem prawie niepodobna się dostać.

A czy wasza świątobliwość — mówił z błyszczącemi oczyma — nie widzi skarbów, jakie tam znajdziemy?... Złota, kamieni, zbóż, drzewa?... Przysięgam ci, panie — ciągnął z uniesieniem — że wówczas o złoto będzie ci łatwiej, aniżeli dzisiaj o miedź, drzewo będzie tańsze od słomy, a niewolnik od krowy...

Pozwól tylko, panie, wykopać kanał i wynajmij nam z 50 tysięcy twoich żołnierzy...

Ramzes także się zapalił.

— 50 tysięcy żołnierzy — powtórzył. — A ileż dacie mi za to?...

— Mówiłem już waszej świątobliwości... Tysiąc talentów rocznie za prawo robót i pięć tysięcy za robotników, których sami będziemy karmili i wynagradzali...

— I zamęczycie mi ich robotą?...

— Niech bogowie bronią!...—zawołał Hiram.— To przecie żaden interes, gdy giną robotnicy... Żołnierze waszej świątobliwości nie będą więcej pracowali przy kanale, aniżeli dziś przy fortyfikacjach albo gościńcach... a jaka sława dla was, panie!... jakie dochody dla skarbu!... jaki pożytek dla Egiptu!... Najuboższy chłop może mieć drewnianą chałupę, kilkoro bydła, sprzęty i bodaj że niewolnika... Żaden faraon nie podniósł państwa tak wysoko i nie dokonał tak niezmiernego dzieła!

Bo czemże martwe i nieużyteczne piramidy będą wobec kanału, który ułatwi przewóz skarbów całego świata?...

— No — dodał faraon — i 50 tysięcy wojska na wschodniej granicy...

— Naturalnie!... — zawołał Hiram. — Wobec tej siły, której utrzymanie nie będzie nic kosztowało waszej świątobliwości, Asyrja nie ośmieli się wyciągnąć ręki ku Fenicji...

Plan był tak olśniewający i tyle obiecywał zysków, że Ramzes XIII uczuł się odurzonym. Lecz panował nad sobą.

— Hiramie — rzekł — piękne robisz obietnice... Tak piękne, że lękam się, czy za niemi nie ukrywasz jakichś mniej pomyślnych następstw. Dlatego muszę i sam głęboko zastanowić się i — naradzić z kapłanami.

— Oni nigdy dobrowolnie nie zgodzą się!...— zawołał Fenicjanin. — Choć... (niech bogowie wybaczą mi bluźnierstwo) jestem pewny, że gdyby dziś najwyższa władza w państwie przeszła w ręce

kapłanów, za parę miesięcy oni wezwaliby nas do tej budowy...

Ramzes spojrzał na niego z chłodną pogardą.

— Starcze — rzekł — mnie zostaw troskę o posłuszeństwo kapłanów, a sam złóż dowody, że to, co mówiłeś, jest prawdą. Byłbym bardzo lichym królem, gdybym nie potrafił usunąć przeszkód, wyrastających pomiędzy moją wolą a interesami państwa.

— Zaprawdę, jesteś wielkim władcą, panie nasz — szepnął Hiram, schylając się do ziemi.

Było już późno w nocy. Fenicjanin pożegnał faraona i razem z Tutmozisem opuścił pałac. Na drugi zaś dzień przysłał przez Dagona skrzynkę z próbkami bogactw nieznanych krajów.

Pan znalazł w niej posążki bogów, tkaniny i pierścienie indyjskie, małe kawałki opjum, a w drugiej przegrodzie — garstkę ryżu, listki herbaty, parę porcelanowych czarek ozdobionych malowidłami i — kilkanaście rysunków, wykonanych farbami i tuszem na papierze.

Obejrzał to z największą uwagą i przyznał, że podobne okazy były mu nieznane. Ani ryż, ani papier, ani wizerunki ludzi, którzy mieli śpiczaste kapelusze i skośne oczy.

Już nie wątpił o istnieniu jakiegoś nowego kraju, w którym wszystko było inne niż w Egipcie: góry, drzewa, domy, mosty, okręty...

„I taki kraj istnieje zapewne od wieków—myślał—nasi kapłani wiedzą o nim, znają jego bogactwa, lecz nic nie wspominają o nich... Oczywiście,

są to zdrajcy, którzy chcą ograniczyć władzę i zubożyć faraonów, aby następnie zepchnąć ich z wysokości tronu...

Ale... o przodkowie i następcy moi — mówił w duchu — was wzywam na świadectwo, że tym nikczemnościom kres położę. Podźwignę mądrość, ale wytępię obłudę i dam Egiptowi czasy wytchnienia..."

Myśląc tak, pan podniósł oczy i spostrzegł Dagona, oczekującego na rozkazy.

— Skrzynia twoja jest bardzo ciekawa—rzekł do bankiera—ale... ja nie tego chciałem od was.

Fenicjanin zbliżył się na palcach i, uklęknąwszy przed faraonem, — szepnął:

— Gdy wasza świątobliwość raczy podpisać umowę z dostojnym Hiramem, Tyr i Sydon u stóp waszych złożą wszystkie swoje skarby...

Ramzes zmarszczył brwi. Nie podobało mu się zuchwalstwo Fenicjan, którzy ośmielali się stawiać mu warunki. Odparł więc chłodno:

— Zastanowię się i dam Hiramowi odpowiedź. Możesz odejść, Dagonie.

Po wyjściu Fenicjanina, Ramzes znowu zamyślił się... W jego duszy zaczęła budzić się reakcja.

„Ci handlarze — mówił w sercu — uważają mnie za jednego ze swoich... ba!... śmią ukazywać mi zdaleka wór złota, aby wymusić traktat!... Nie wiem, czy który z faraonów dopuścił ich kiedy do podobnej poufałości?...

Muszę to zmienić. Ludzie, którzy upadają na twarze przed wysłannikami Asara, nie mogą mówić

do mnie: „Podpisz, a dostaniesz...“ Głupie szczury fenickie, które, zakradłszy się do królewskiego pałacu, uważają go za swój chlewik!...“

Im dłużej myślał, im dokładniej przypominał sobie zachowanie się Hirama i Dagona, tem silniejszy gniew go ogarniał.

„Jak oni śmią... jak oni śmią stawiać mi warunki?...“

— Hej!... Tutmozis... — zawołał.

Wnet stanął przed nim ulubieniec.

— Co rozkażesz, panie mój?

— Poślij którego z młodszych oficerów do Dagona, ażeby zawiadomił go, że przestaje być moim bankierem. Za głupi on jest na tak wysokie stanowisko...

— A komu wasza świątobliwość przeznaczysz ten zaszczyt?

— W tej chwili nie wiem... Trzeba będzie znaleźć kogo między egipskimi albo greckimi kupcami... W ostateczności — odwołamy się do... kapłanów.

Wiadomość ta obiegła wszystkie pałace królewskie i przed upływem godziny doleciała do Memfisu. Po całem mieście opowiadano, że Fenicjanie wpadli w niełaskę u faraona, a ku wieczorowi lud już zaczął rozbijać sklepy znienawidzonym cudzoziemcom.

Kapłani odetchnęli. Herhor złożył nawet wizytę świętemu Mefresowi i rzekł mu:

— Serce moje czuło, że pan nasz odwróci się od tych pogan, pijących krew ludu. Myślę, że należy okazać mu wdzięczność z naszej strony...

— I może otworzyć drzwi do naszych skarbców?... — spytał szorstko święty Mefres. — Nie śpiesz się, wasza dostojność... Odgadłem już tego młodzika i — biada nam — jeżeli raz pozwolimy mu wziąć górę nad sobą...

— A gdyby zerwał z Fenicjanami?...

— To sam na tem zyska, bo im nie spłaci długów — rzekł Mefres.

— Mojem zdaniem — odezwał się po namyśle Herhor — jest to chwila, w której możemy odzyskać łaskę młodego faraona. W gniewie zapalczywy, umie on jednak być wdzięcznym... Doświadczyłem tego...

— Co wyraz, to błąd!... — przerwał zacięty Mefres. — Bo naprzód książę ten nie jest jeszcze faraonem, gdyż nie koronował się w świątyni... Powtóre — nigdy nie będzie prawdziwym faraonem, gdyż pogardza arcykapłańskiemi święceniami...

A nareszcie — nie my potrzebujemy jego łaski, ale on łaski bogów, których na każdym kroku znieważa!...

Zadyszany z gniewu Mefres odpoczął i mówił dalej:

— Był miesiąc w świątyni Hator, słuchał najwyższej mądrości, i wnet potem wdał się z Fenicjanami. Ba!... odwiedzał bożnicę Astarty i stamtąd wziął kapłankę, co uchybia zasadom wszystkich religij...

Potem drwił publicznie z mojej pobożności... spiskował z takimi, jak sam — lekkoduchami i zapomocą Fenicjan wykradał państwowe tajemnice...

A gdy wszedł na tron, źle mówię: ledwo wszedł na pierwsze stopnie tronu, już zohydza kapłanów, wichrzy chłopstwo i żołdactwo i odnawia śluby ze swoimi przyjaciółmi Fenicjanami...

Czy, dostojny Herhorze, zapomniałbyś o tem wszystkiem?... A jeżeli pamiętasz, czy nie rozumiesz niebezpieczeństw, jakie grożą nam od tego młokosa?... Wszak on ma pod ręką wiosło nawy państwowej, która posuwa się między wirami i skałą. Kto mi zaręczy, że ten szaleniec, który wczoraj wezwał do siebie Fenicjan, a dziś — pokłócił się z nimi, nie spełni jutro czegoś, co narazi państwo na zgubę?...

— A więc... co?... — spytał Herhor, bystro patrząc mu w oczy.

— To, że nie mamy powodu okazywać mu wdzięczności, a naprawdę słabości. A ponieważ chce gwałtem pieniędzy, nie damy pieniędzy!...

— A... a potem co?... — pytał Herhor.

— Potem będzie sobie rządził państwem i powiększał armję bez pieniędzy — odparł rozdrażniony Mefres.

— A... a jeżeli jego wygłodzona armja zechce zrabować świątynie?... — wciąż pytał Herhor.

— Cha!... cha!... cha!... — wybuchnął śmiechem Mefres.

Nagle spoważniał i, kłaniając się, rzekł ironicznym tonem:

— To już należy do waszej dostojności... Człowiek, który przez tyle lat, jak wy, rządził państwem, winien był przygotować się na podobne niebezpieczeństwo.

— Przypuśćmy — mówił powoli Herhor — przypuśćmy, że ja znalazłbym środki przeciwko niebezpieczeństwom, które groziłyby państwu. Ale, czy wasza dostojność, który jesteś najstarszym arcykapłanem, potrafiłbyś zapobiec zniewadze stanu kapłańskiego i świątyń?...

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy.

— Pytasz: czybym potrafił? — rzekł Mefres. — Czy potrafię?... Ja nawet nie będę trafiał. Bogowie złożyli w moich rękach piorun, który zniszczy każdego świętokradcę.

— Psyt!... — szepnął Herhor. — Niechże się tak stanie...

— Za zgodą, czy bez zgody najwyższej rady kapłanów — dodał Mefres. — Kiedy czółno wywraca się, nie czas na rozprawianie z wioślarzami.

Rozeszli się obaj w posępnym nastroju. Zaś tego samego dnia wieczorem wezwał ich faraon.

Przyszli o naznaczonej porze, każdy oddzielnie. Złożyli głęboki ukłon panu, i każdy stanął w innym kącie, nie patrząc na drugiego.

„Czyby się poróżnili z sobą?... — pomyślał Ramzes. — Nic to nie szkodzi...“

W chwilę później wszedł święty Sem i prorok Pentuer. Wtedy Ramzes usiadł na wzniesieniu, wskazał czterem kapłanom niskie taburety naprzeciw siebie i rzekł:

— Święci ojcowie! Nie wzywałem was do tej pory na radę, ponieważ wszystkie moje rozkazy odnosiły się wyłącznie do spraw wojskowych...

— Miałeś prawo, wasza świątobliwość—wtrącił Herhor.

— Zrobiłem też, com mógł, w czasie tak niedługim, ażeby wzmocnić obronne siły państwa. Utworzyłem dwie nowe szkoły oficerskie i wskrzesiłem pięć zwiniętych pułków...

— Miałeś prawo, panie — odezwał się Mefres.

— O innych wojskowych ulepszeniach nie mówię, gdyż was, ludzi świętych, rzeczy te nie obchodzą...

— Masz słuszność, panie — rzekli razem Mefres i Herhor.

— Ale jest inna sprawa—mówił faraon, zadowolony potakiwaniem dwu dostojników, od których spodziewał się opozycji. — Zbliża się dzień pogrzebu boskiego ojca mego, lecz skarb nie posiada dostatecznych funduszów...

Mefres podniósł się z taburetu.

— Oziris-Mer-amen-Ramzes — rzekł — był sprawiedliwym panem, który ludowi swemu zapewnił wieloletni pokój, a bogom chwałę. Pozwól więc wasza świątobliwość, aby pogrzeb tego pobożnego faraona odbył się na koszt świątyń.

Ramzes XIII-ty zdziwił się i wzruszył hołdem, oddanym jego ojcu. Przez chwilę milczał, jakby nie mogąc znaleźć odpowiedzi, wreszcie odparł:

— Bardzo jestem wam wdzięczny za cześć okazaną równemu bogom ojcu memu. Zezwalam na taki pogrzeb i jeszcze raz — bardzo wam dziękuję...

Przerwał, wsparł głowę na ręku i rozmyślał,

jakby z sobą samym staczał walkę. Nagle podniósł głowę: twarz jego była ożywiona, oczy błyszczały.

— Jestem wzruszony—rzekł—dowodem waszej życzliwości, święci ojcowie. Jeżeli tak drogą jest wam pamięć mego ojca, więc chyba nie możecie być niechętni dla mnie...

— Czy wasza świątobliwość wątpi o tem?... wtrącił arcykapłan Sem.

— Mówisz prawdę — ciągnął faraon — niesłusznie was posądzałem o uprzedzenie do mnie... Ale chcę to naprawić, więc będę z wami szczerym...

— Niech bogowie błogosławią waszą świątobliwość... — rzekł Herhor.

— Będę szczerym. Boski ojciec mój, skutkiem wieku, choroby, a może i zajęć kapłańskich, nie mógł tyle sił i czasu poświęcić sprawom państwa, ile ja mogę. Ja jestem młody, zdrów, wolny, więc chcę i będę rządził sam. Jak wódz musi prowadzić swoją armję na własną odpowiedzialność i według własnego planu, tak ja będę kierował państwem. Oto jest moja wyraźna wola i od tego nie odstąpię.

Ale rozumiem, że choćbym był najdoświadczeńszy, nie obejdę się bez wiernych sług i mądrych doradców. I dlatego będę niekiedy zapytywał was o opinję w rozmaitych sprawach.

— Potoż jesteśmy najwyższą radą przy tronie waszej świątobliwości — wtrącił Herhor.

— Owszem—mówił wciąż ożywiony faraon—będę korzystał z waszych usług, nawet od tej chwili, zaraz...

— Rozkazuj, panie — rzekł Herhor.

— Chcę poprawić byt ludu egipskiego. Ale ponieważ w podobnych sprawach zbyt szybkie działanie może tylko przynieść szkody, więc na początek ofiaruję im rzecz drobną: po sześciu dniach pracy — siódmy dzień odpoczynku...

— Tak było przez ciąg panowania 18-tu dynastyj... Prawo to jest stare, jak sam Egipt — odezwał się Pentuer.

— Odpoczynek co siódmy dzień da pięćdziesiąt dni rocznie na każdego robotnika, czyli jego panu ujmie pięćdziesiąt drachm. A na miljony robotników państwo straci z dziesięć tysięcy talentów rocznie... — rzekł Mefres. — Myśmy to już rachowali w świątyniach!... — dodał.

— Tak jest — żywo odparł Pentuer — straty będą, ale tylko w pierwszym roku. Bo gdy lud wzmocni swoje siły wypoczynkami, w następnych latach odrobi wszystko z przewyżką...

— Prawdę mówisz — odpowiedział Mefres— w każdym jednak razie trzeba mieć dziesięć tysięcy talentów na ów pierwszy rok. Ja zaś myślę, że i dwadzieścia tysięcy talentów nie zawadziłoby...

— Masz słuszność, dostojny Mefresie—zabrał głos faraon.—Przy zmianach, jakie chcę zaprowadzić w mojem państwie, dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy talentów nie będzie sumą zbyt wielką.

Dlatego — dodał szybko — od was, święci mężowie, będę potrzebował pomocy...

— Każdy zamiar waszej świątobliwości gotowi jesteśmy popierać modłami i procesjami — rzekł Mefres.

— Owszem, módlcie się i zachęcajcie do tego naród. Ale prócz tego dajcie państwu trzydzieści tysięcy talentów— odpowiedział faraon.

Arcykapłani milczeli. Pan chwilę czekał, wkońcu zwrócił się do Herhora:

— Milczysz, wasza dostojność?

— Sam powiedziałeś, władco nasz, że skarb nie ma funduszu nawet na pogrzeb Ozirisa-Meramen-Ramzesa. Nie mogę więc nawet odgadnąć: skąd wzięlibyśmy trzydzieści tysięcy talentów?...

— A skarbiec Labiryntu?...

— To są skarby bogów, które możnaby naruszyć tylko w chwili największej potrzeby państwa — odparł Mefres.

Ramzes XIII zakipiał gniewem.

— Jeżeli nie chłopi — zawołał, uderzając pięścią w poręcz — więc ja potrzebuję tej sumy!...

— Wasza świątobliwość — odparł Mefres — może w ciągu roku zyskać więcej, niż trzydzieści tysięcy talentów, a Egipt dwa razy tyle...

— Jakim sposobem?...

— Bardzo prostym — mówił Mefres. — Każ, władco, wypędzić z państwa Fenicjan...

Zdawało się, że pan rzuci się na zuchwałego arcykapłana: zbladł, drżały mu usta i oczy wyszły z orbit. Lecz w jednej chwili pohamował się i rzekł napodziw spokojnym tonem:

— No, dosyć... Jeżeli tylko takich rad potraficie mi udzielać, obejdę się bez nich... Przecież Fenicjanie mają nasze podpisy, że im wiernie spłaci-

my zaciągnięte długi!... Czy nie przyszło ci to na myśl, Mefresie?...

— Daruj, wasza świątobliwość, ale w tej chwili zajmowały mnie inne myśli. Twoi przodkowie, panie, nie na papirusach, ale na bronzie i kamieniach rzeźbili, że dary, złożone przez nich bogom i świątyniom, należą i wiecznie będą należały do bogów i do świątyń.

— I do was — rzekł szyderczo faraon.

— O tyle do nas — odparł zuchwały arcykapłan — o ile państwo należy do ciebie, władco. Pilnujemy tych skarbów i pomnażamy je, ale tworzić ich — nie mamy prawa...

Dyszący gniewem pan opuścił zebranie i poszedł do swego gabinetu. Jego położenie przedstawiło mu się okrutnie jasno.

O nienawiści kapłanów do siebie już nie wątpił. To byli ci sami, oszołomieni pychą dostojnicy, którzy w roku zeszłym nie dali mu korpusu Menfi i dopiero zrobili go namiestnikiem, gdy zdawało im się, że spełnił akt pokory, usuwając się z pałacu. Ci sami, którzy kontrolowali każdy jego ruch, składali o nim raporty, ale jemu, następcy tronu, nie powiedzieli nawet o traktacie z Asyrją. Ci sami, co oszukali go w świątyni Hator, a nad Sodowemi Jeziorami wymordowali jeńców, którym on przyobiecał łaskę.

Faraon przypomniał sobie ukłony Herhora, spojrzenia Mefresa i ton głosu obydwu. Z pod pozorów uprzejmości co chwilę wynurzała się ich duma i lekceważenie jego... On potrzebuje pieniędzy, a oni

obiecują mu modlitwy, ba!... ośmielają się mówić, że nie jest wyłącznym władcą Egiptu.

Młody pan mimowoli uśmiechnął się; przyszły mu bowiem na myśl wynajęte pastuchy, którzy właścicielowi trzody mówią, że on nie ma prawa robić z nią tego, co chce!...

Lecz obok strony śmiesznej była tu strona groźna. W skarbie znajdowało się może tysiąc talentów, które według dotychczasowej normy wydatków mogły starczyć na siedem do dziesięciu dni. A co potem?... Jak zachowają się urzędnicy, służba, a przedewszystkiem — wojsko, nietylko nie pobierające żołdu, ale wprost głodne?...

Arcykapłani znali to położenie faraona; jeżeli nie śpieszą mu z pomocą, więc chcą go zgubić... I to zgubić w ciągu kilku dni, nawet przed pogrzebem ojca.

Ramzes przypomniał sobie pewien wypadek z dzieciństwa.

Był w szkole kapłańskiej, kiedy na święto bogini Mut, między innemi zabawami, sprowadzono najsławniejszego w Egipcie błazna.

Artysta ten udawał nieszczęśliwego bohatera. Gdy rozkazywał, nie słuchano go, na jego gniewy odpowiadano śmiechem; a gdy dla ukarania szyderców schwycił topór, topór złamał mu się w ręku.

Wkońcu wypuszczono na niego lwa, a gdy bezbronny bohater zaczął uciekać, okazało się, że nie goni go lew, ale świnia w lwiej skórze.

Uczniowie i nauczyciele śmiali się do łez z tych przygód; ale mały książę siedział posępny; jemu

żal było człowieka, który rwał się do rzeczy wielkich, lecz padał okryty szyderstwem.

Scena ta i uczucia, jakich doznał podówczas, dziś odżyły w pamięci faraona.

— Takim chcą mnie zrobić...—rzekł do siebie.

Ogarnęła go rozpacz, bo uczuł, że jednocześnie z wydaniem ostatniego talentu skończy się jego władza, a razem z nią i życie.

Tu jednak nastąpił nagły zwrot. Pan stanął na środku komnaty i rozmyślał:

„Co mnie może spotkać?... Tylko śmierć... Odejdę do moich sławnych przodków, do Ramzesa Wielkiego... A im przecież nie mogę powiedzieć, żem zginął, nie broniąc się... Po nieszczęściach życia ziemskiego spotkałaby mnie hańba wiekuista..."

Jak to?... on, zwycięzca z nad Sodowych Jezior, musiałby ustąpić przed garstką obłudników, z którymi jeden azjatycki pułk nie miałby wielkiego zajęcia?... Więc dlatego, że Mefres i Herhor chcą rządzić Egiptem i faraonem, jego wojska mają cierpieć głód, a miljon chłopów nie otrzymać łaski odpoczynku?...

Alboż nie jego przodkowie powznosili te świątynie?... Alboż nie oni wypełnili je łupami?... A kto wygrywał bitwy: kapłani, czy żołnierze?... Więc kto ma prawo do skarbów: kapłani, czy faraon i jego armja?

Młody pan wzruszył ramionami i wezwał do siebie Tutmozisa. Mimo późnej nocy, królewski ulubieniec zjawił się natychmiast.

— Czy wiesz? — rzekł faraon — kapłani odmówili mi pożyczki pomimo, że skarb jest pusty.

Tutmozis wyprostował się.

— Każesz wasza świątobliwość zaprowadzić ich do więzienia?... — odparł.

— Zrobiłbyś to?...

— Niema w Egipcie oficera, który zawahałby się spełnić rozkaz naszego pana i wodza.

— W takim razie... — mówił powoli faraon — w takim razie — nie trzeba więzić nikogo. Za wiele mam potęgi dla siebie, a pogardy dla nich. Padliny, którą człowiek spotkał na gościńcu, nie zamyka się w okutej skrzyni, tylko się ją obchodzi.

— Ale hienę sadza się do klatki — szepnął Tutmozis.

— Jeszcze za wcześnie — odparł Ramzes. — Muszę być łaskawym dla tych ludzi przynajmniej do pogrzebu ojca mego. Gdyż inaczej gotowi jego czcigodnej mumji zrobić jakie łotrostwo i zakłócić spokój duszy... A teraz, pójdź jutro do Hirama i powiedz, ażeby przysłał mi tego kapłana, o którym mówiliśmy.

— Tak się stanie. Muszę jednak wspomnieć waszej świątobliwości, że dzisiaj lud napadał domy memfijskich Fenicjan...

— Oho?... To było niepotrzebne.

— Zdaje mi się też — ciągnął Tutmozis — że od czasu, kiedy wasza świątobliwość kazałeś Pentuerowi zbadać położenie chłopów i robotników, kapłani podburzają nomarchów i szlachtę...

Mówią, panie, że chcesz zrujnować szlachtę dla chłopów...

— I szlachta wierzy temu?...

— Są tacy, którzy wierzą. Ale są i tacy, którzy wręcz odpowiadają, że jest to intryga kapłańska przeciw waszej świątobliwości.

— A gdybym naprawdę chciał poprawić dolę chłopów?... — spytał faraon.

— Uczynisz, panie, to, co ci się podoba—odparł Tutmozis.

— O, taką odpowiedź rozumiem! — zawołał wesoło Ramzes XIII-ty. — Bądź spokojny i powiedz szlachcie, że nietylko nic nie straci, spełniając moje rozkazy, ale jeszcze byt jej i znaczenie poprawi się. Bogactwa Egiptu muszą nareszcie być wydarte z rąk niegodnych, a oddane wiernym sługom.

Faraon pożegnał ulubieńca i zadowolony udał się na spoczynek. Jego chwilowa desperacja wydawała mu się teraz rzeczą godną śmiechu.

Nazajutrz, około południa zameldowano jego świątobliwości, że przyszła deputacja fenickich kupców.

— Czy może chcą skarżyć się za napad na ich domy? — spytał faraon.

— Nie — odparł adjutant — chcą złożyć hołd.

Istotnie kilkunastu Fenicjan, pod przewodnictwem Rabsuna, przyszli z darami. Gdy pan ukazał im się, upadli na ziemię, poczem Rabsun oświadczył, że starym obyczajem ośmielają się złożyć nikczemną ofiarę u stóp władcy, który im daje życie, a ich majątkom bezpieczeństwo.

Poczem składali na stołach złote misy, łańcuchy i puhary napełnione klejnotami. Zaś Rabsun położył na stopniach tronu tacę z papirusem, gdzie Fenicjanie zobowiązali się dać dla wojska wszelkich rzeczy potrzebnych za dwa tysiące talentów.

Był to dar znaczny: wszystko bowiem, co ofiarowali Fenicjanie — przedstawiało sumę trzech tysięcy talentów.

Pan odpowiedział wiernym kupcom bardzo łaskawie, obiecując im swoją opiekę. Pożegnali go uszczęśliwieni.

Ramzes XIII-ty odetchnął: bankructwo skarbu, a więc i konieczność użycia gwałtownych środków przeciw kapłanom odsunęła się na dalsze dziesięć dni.

Wieczorem, znowu pod opieką Tutmozisa, stanął w gabinecie jego świątobliwości dostojny Hiram. Tym razem nie skarżył się na zmęczenie, ale upadł na twarz i jękliwym głosem przeklinał głupiego Dagona.

— Dowiedziałem się — mówił — że ten parch śmiał przypomnieć waszej świątobliwości naszą umowę o kanał do morza Czerwonego... Niech on zmarnieje!... niech jego trąd stoczy!... niech jego dzieci zostaną świniopasami, a wnuki żydami...

Ty zaś, władco, tylko rozkazuj, a ile ma bogactw Fenicja, wszystkie złoży u stóp twoich bez żadnego kwitu i traktatu... Czy to my Asyryjczycy, albo... kapłani—dodał szeptem—ażeby nie wystarczyło nam jedno słowo tak potężnego mocarza?...

— A gdybym ja, Hiramie, naprawdę zażądał wielkiej sumy? — spytał faraon.

— Jakiej?...

— Naprzykład... trzydziestu tysięcy talentów...

— Czy natychmiast?

— Nie, w ciągu roku.

— Będzie ją miał wasza świątobliwość — odpowiedział bez namysłu Hiram.

Pan zdumiał się tej hojności.

— No, ale muszę wam dać zastaw...

— To tylko dla formy — odparł Fenicjanin — da nam wasza świątobliwość na zastaw kopalnie, ażeby nie obudzić podejrzeń kapłanów... Gdyby nie to, Fenicja cała odda się wam bez zastawów i kwitów...

— A kanał?... Czy mam traktat podpisać? — spytał faraon.

— Wcale nie. Wasza świątobliwość zawrze z nami traktat, kiedy sam zechce...

Ramzesowi zdawało się, że jest podniesiony wgórę. W tej chwili dopiero poznał słodycz królewskiej władzy i to — dzięki Fenicjanom!

— Hiramie! — rzekł, już nie panując nad sobą. — Dziś daję wam, Fenicjanom, pozwolenie na budowę kanału, który połączy morze Śródziemne z Czerwonem...

Starzec upadł do nóg faraona.

— Jesteś największym królem, jakiego widziano na ziemi! — zawołał.

— Do czasu nie wolno ci mówić o tem niko-

mu, bo wrogowie mojej sławy czuwają. Abyś jednak miał pewność, daję ci ten oto mój pierścień królewski...

Zdjął z palca pierścień, ozdobiony czarodziejskim kamieniem, na którym było wyryte imię Horusa i włożył go na palec Fenicjaninowi.

— Majątek całej Fenicji jest na twoje rozkazy! — powtarzał głęboko wzruszony Hiram. — Dokonasz panie dzieła, które będzie ogłaszało imię twoje, dopóki nie zagaśnie słońce...

Faraon uścisnął jego siwą głowę i kazał mu usiąść.

— A więc jesteśmy sprzymierzeńcami—rzekł po chwili pan — i mam nadzieję, że wyniknie stąd pomyślność dla Egiptu i dla Fenicji...

— Dla całego świata! — wtrącił Hiram.

— Powiedz mi jednak, książę, skąd masz taką ufność we mnie?...

— Znam szlachetny charakter waszej świątobliwości. Gdybyś, władco, nie był faraonem, po kilku latach zostałbyś najznakomitszym kupcem fenickim i naczelnikiem naszej rady...

— Przypuśćmy — odparł Ramzes. — Ależ ja, aby dotrzymać wam obietnic, muszę pierwej zgnieść kapłanów. Jest to walka, a skutek walki niepewny...

Hiram uśmiechnął się.

— Panie — rzekł — gdybyśmy byli tak nikczemni, żebyśmy cię opuścili dzisiaj, kiedy twój skarb jest pusty, a nieprzyjaciele hardzi, przegrałbyś walkę! Bo człowiek pozbawiony środków ła-

two traci odwagę, a od ubogiego króla odwraca się i jego armja, i poddani, i dygnitarze...

Ale jeżeli ty, panie, masz nasze złoto i naszych agentów, a swoje wojsko i generałów, to z kapłanami tyle będziesz miał kłopotu, ile słoń ze skorpjonem. Ledwie postawisz nogę na nich, a już będą rozmiażdżeni...

Wreszcie — to nie moja rzecz. W ogrodzie czeka arcykapłan Samentu, któremu wasza świątobliwość kazałeś przyjść. Ja się usuwam; teraz jego pora... Ale od dostarczania pieniędzy to ja się nie usuwam i do wysokości trzydziestu tysięcy talentów niech wasza świątobliwość rozkazuje...

Hiram znowu upadł na twarz i wyszedł, obiecując, że natychmiast przyśle Samentu.

W pół godziny zjawił się arcykapłan. Nie golił on rudej brody i kudłatych włosów, jak przystało na czciciela Seta; twarz miał surową, ale oczy pełne mądrości. Ukłonił się bez zbytniej pokory i spokojnie wytrzymał sięgające do głębi duszy spojrzenie faraona.

— Siądź — rzekł pan.

Arcykapłan usiadł na posadzce.

— Podobasz mi się — mówił Ramzes. — Masz postawę i fizjognomję Hyksosa, a oni są najwaleczniejszymi żołnierzami mojej armji.

Potem nagle zapytał:

— Ty powiedziałeś Hiramowi o traktacie naszych kapłanów z Asyryjczykami?...

— Ja — odparł Samentu, nie spuszczając oka.

— Byłeś uczestnikiem tej niegodziwości?

— Nie. Podsłuchałem tę umowę... W świątyniach, jak w pałacach waszej świątobliwości, mury są podziurawione kanałami, za pośrednictwem których nawet ze szczytu pylonów można słyszeć, co mówi się w podziemiach...

— A z podziemi można przemawiać do osób, mieszkających w górnych komnatach?... — wtrącił faraon.

— I udawać rady bogów — dodał poważnie kapłan.

Faraon uśmiechnął się. Więc przypuszczenie, że to nie duch ojca przemawiał do niego i do matki, tylko kapłani, było prawdziwe.

— Dlaczego powierzyłeś Fenicjanom wielką tajemnicę państwa? — zapytał Ramzes.

— Bo chciałem zapobiec haniebnemu traktatowi, który szkodził zarówno nam, jak i Fenicji!

— Mogłeś ostrzec kogo z dostojnych Egipcjan...

— Kogo?... — zapytał kapłan. — Czy takich, którzy wobec Herhora byli bezsilni, czy takich, którzy mnie oskarżyliby przed nim i narazili na śmierć w męczarniach?... Powiedziałem Hiramowi, bo on stykał się z naszymi dostojnikami, których ja nie widuję nigdy.

— A dlaczego Herhor i Mefres zawarli podobną umowę? — badał faraon.

— Są to, mojem zdaniem, ludzie słabej głowy, których nastraszył Beroes, wielki kapłan chaldejski. Powiedział im, że nad Egiptem przez dziesięć lat będą srożyły się złe losy, że gdybyśmy w ciągu

tego czasu rozpoczęli wojnę z Asyrją, zostalibyśmy pobici...

— I oni uwierzyli temu?

— Podobno Beroes pokazywał im cuda... Nawet wzniósł się nad ziemię... Niewątpliwie jest to rzecz dziwna; ale ja nigdy nie zrozumiem, dlaczego mielibyśmy zato stracić Fenicję, że Beroes umie latać nad ziemią?

— Więc i ty nie wierzysz w cuda?...

— Jak w jakie — odparł Samentu. — Zdaje się, że Beroes naprawdę wykonywa rzeczy niezwykłe, ale nasi kapłani tylko oszukują, zarówno lud, jak i władców.

— Nienawidzisz kapłańskiego stanu?

Samentu rozłożył ręce.

— Oni mnie także niecierpią, a co gorsza, poniewierają mną, niby z tej racji, że służę Setowi. Tymczasem co mi to za bogowie, którym zapomocą sznurków trzeba poruszać głowę i ręce?... Albo co mi to za kapłani, którzy, udając pobożnych i powściągliwych, mają po dziesięć kobiet, wydatkują po kilkanaście talentów rocznie, kradną ofiary składane na ołtarzach, i są mało co mędrsi od uczniów wyższej szkoły?

— Ale ty bierzesz datki od Fenicjan?

— Od kogóż mam brać?... Jedni Fenicjanie naprawdę czczą Seta i boją się, aby nie zatapiał im okrętów. U nas zaś szanują go tylko biedacy. Gdybym poprzestawał na ich ofiarach, umarłbym z głodu ja i moje dzieci.

Faraon pomyślał, że jednak ten kapłan nie jest

złym człowiekiem, choć zdradza tajemnice świątyń. A przytem wydaje się mądrym i mówi prawdę.

— Słyszałeś co — spytał znowu pan — o kanale, który ma połączyć morze Śródziemne z Czerwonem?

— Znam tę sprawę. Już od kilkuset lat nasi inżynierowie obrobili ten projekt.

— A dlaczego nie wykonano go dotychczas?

— Gdyż kapłani boją się, aby nie napłynęły do Egiptu ludy obce, które mogłyby podkopać naszą religję, a wraz z nią ich dochody.

— A czy prawda jest, co mówił Hiram o ludach, mieszkających na dalekim wschodzie?

— Najzupełniejsza. Oddawna wiemy o nich i niema dziesiątka lat, ażebyśmy z tamtych krajów nie otrzymali jakiegoś klejnotu, rysunku, czy wyrobu.

Faraon znowu zamyślił się i nagle spytał:

— Będziesz mi wiernie służył, gdy zrobię cię moim doradcą?...

— Służyć będę waszej świątobliwości na życie i śmierć. Ale... gdybym został doradcą tronu, oburzyliby się kapłani, którzy mnie nienawidzą.

— Nie sądzisz, że można ich obalić?...

— I bardzo łatwo! — odparł Samentu.

— Jakiż byłby twój plan, gdybym musiał pozbyć się ich?

— Należałoby opanować skarbiec Labiryntu — wykładał kapłan.

— Trafiłbyś do niego?

— Mam już wiele wskazówek, resztę znajdę, bo wiem gdzie szukać.

— Cóż dalej? — spytał faraon.

— Należałoby wytoczyć Herhorowi i Mefresowi proces o zdradę państwa, za tajemne stosunki z Asyrją...

— A dowody?...

— Znajdziemy je przy pomocy Fenicjan — odparł kapłan.

— Czy nie wynikłyby stąd jakie niebezpieczeństwa dla Egiptu?

— Żadnych. Czterysta lat temu faraon Amenhotep IV obalił władzę kapłanów, ustanowiwszy wiarę w jednego tylko bożka Re Harmachis. Rozumie się, że przy tej sposobności zabrał skarby ze świątyń innych bogów... Otóż wówczas, ani lud, ani wojsko, ani szlachta nie ujęli się za kapłanami... Cóż dopiero dziś, gdy dawna wiara bardzo osłabła!...

— Kto to pomagał Amenhotepowi? — zapytał faraon.

— Prosty kapłan Ey.

— Ale który po śmierci Amenhotepa IV-go został dziedzicem jego tronu—rzekł Ramzes, bystro patrząc w oczy kapłanowi.

Lecz Samentu odpowiedział spokojnie:

— Wypadek ten dowodzi, że Amenhotep był niedołężnym władcą, który więcej dbał o cześć Re, aniżeli o państwo.

— Zaprawdę, jesteś prawdziwym mędrcem!... — rzekł Ramzes.

— Do usług waszej świątobliwości.

— Mianuję cię moim doradcą — mówił faraon. — No, ale w takim razie nie możesz odwiedzać mnie pokryjomu, tylko zamieszkasz u mnie...

— Wybacz, panie, ale dopóki członkowie najwyższej rady nie osiądą w więzieniu za umawianie się z nieprzyjaciółmi państwa, moja obecność w pałacu przyniesie więcej szkody, aniżeli dobrego...

Będę więc służył i radził waszej świątobliwości, ale — potajemnie.

— I znajdziesz drogę do skarbca w Labiryncie?

— Mam nadzieję, że nim wrócisz, panie, z Tebów, uda mi się ta sprawa.

A gdy przeniesiemy skarby do waszego pałacu, gdy sąd potępi Herhora i Mefresa, których wasza świątobliwość może potem ułaskawić, wówczas za waszem pozwoleniem wystąpię jawnie... I przestanę być kapłanem Seta, który tylko ludzi odstrasza ode mnie...

— I myślisz, że wszystko dobrze pójdzie?...

— Życie stawiam!... — zawołał kapłan. — Lud kocha waszą świątobliwość, więc łatwo go podburzyć przeciw zdradzieckim dostojnikom... Wojsko jest wam posłuszne, jak żadnemu z faraonów od czasu Ramzesa Wielkiego... Więc któż się oprze?... A w dodatku wasza świątobliwość ma za sobą Fenicjan i pieniądze, największą siłę na świecie!...

Gdy Samentu żegnał faraona, pan zezwolił mu

ucałować swoje nogi i darował ciężki złoty łańcuch, tudzież bransoletę, ozdobioną szafirami.

Niekażdy dostojnik zdobywał podobne łaski w ciągu całych lat służby.

Odwiedziny i obietnice Samentu nową otuchą napełniły serce faraona.

Gdybyż udało się pozyskać skarb Labiryntu!... Za drobną jego część możnaby uwolnić szlachtę od fenickich długów, poprawić dolę chłopów i wykupić zastawione majątki dworskie.

A jakiemi budowlami wzbogaciłoby się państwo!...

Tak, fundusze Labiryntu mogły usunąć wszystkie kłopoty faraona. Bo i cóż z tego, że Fenicjanie ofiarowują mu wielką pożyczkę? Pożyczkę trzeba kiedyś spłacić wraz z procentami i, prędzej czy później, oddać w zastaw resztę królewskich majątków. Było to więc tylko odsunięciem ruiny, ale nie zapobieżeniem jej.

ROZDDZIAŁ VII.

W połowie miesiąca Famenut (styczeń) zaczęła się wiosna. Cały Egipt zielenił się wschodzącą pszenicą, na czarnych zaś płatach ziemi snuły się gromady chłopów, siejących łubin, bób, fasolę i jęczmień. W powietrzu unosił się zapach pomarańczowego kwiatu. Woda bardzo opadła i codzień odsłaniała nowe kawałki gruntów.

Przygotowania do pogrzebu Oziris-Mer-amen-Ramzesa były ukończone.

Czcigodna mumja króla była już zamknięta w białem pudle, którego górna część doskonale odtwarzała rysy nieboszczyka. Faraon zdawał się patrzeć emaljowemi oczyma, a boska twarz wyrażała smutek łagodny, nie za światem, który opuścił, lecz nad ludźmi, jeszcze skazanymi na utrapienia doczesnego żywota.

Na głowie wizerunek faraona miał czepiec egipski w białe i szafirowe pasy, na szyi sznury klejnotów, na piersiach obraz człowieka, klęczącego z rozkrzyżowanemi rękoma, na nogach wizerunki bożków, świętych ptaków i oczu, nie osadzonych w żadnej twarzy, lecz jakby wyglądających z przestrzeni.

Tak opakowane zwłoki króla spoczywały na kosztownem łożu, w małej cedrowej kaplicy, której ściany były pokryte napisami, opiewającemi żywot i czyny zmarłego. Nad zwłokami unosił się cudowny jastrząb z ludzką głową, a przy łożu dniem i nocą czuwał kapłan przebrany za Anubisa, bożka pogrzebu, z głową szakala.

Prócz tego przygotowano ciężki, bazaltowy sarkofag, który stanowił zewnętrzną trumnę mumji. Sarkofag miał także formy i rysy zmarłego faraona, był pokryty napisami i wizerunkami modlących się ludzi, świętych ptaków, tudzież skarabeuszów.

17-go Famenut mumję wraz z jej kaplicą i sarkofagiem przeniesiono z dzielnicy zmarłych do królewskiego pałacu i ustawiono w największej sali.

Salę tę wnet napełnili kapłani, śpiewający hymny żałobne, dworzanie i słudzy zmarłego króla,

a nadewszystko jego kobiety, które jęczały tak głośno, że ich krzyki słychać było aż na drugiej stronie Nilu.

— O panie!... o panie nasz!... — wołały — dlaczego nas opuszczasz?... Ty taki piękny, taki dobry?... Który tak chętnie rozmawiałeś z nami, teraz milczysz, i dlaczego?... Przecie lubiłeś nasze towarzystwo, a dziś tak daleko jesteś od nas?...

A przez ten czas kapłani śpiewali:

Chór I. „Ja jestem Tum, który jedynym jest...

Chór II. Jestem Re w pierwszym jego blasku...

Chór I. Jestem bogiem, który sam siebie stwarza...

Chór II. Który sam sobie daje imię, a nikt go nie wstrzyma między bogami...

Chór I. Znam imię wielkiego boga, który tam jest.

Chór II. Gdyż ja jestem wielki ptak Benu, który próbuje to, co jest“ *).

Po dwu dniach jęków i nabożeństw zajechał przed pałac wielki wóz w formie łodzi. Jej końce były ozdobione baraniemi głowami i wachlarzami z piór strusich, a nad kosztownym baldachimem unosił się orzeł i wąż ureus, symbol władzy faraona.

Na ten wóz włożono świątobliwą mumję, pomimo gwałtownego oporu kobiet dworskich. Jedne z nich czepiały się trumny, inne zaklinały kapła-

*) *Księga Zmarłych.*

nów, ażeby nie zabierali im dobrego pana, inne drapały sobie oblicza i targały włosy, a nawet biły ludzi, niosących zwłoki.

Krzyk był straszliwy.

Nareszcie wóz, przyjąwszy boskie ciało, ruszył wśród mnóstwa ludu, który zaległ ogromną przestrzeń od pałacu do Nilu. I tu byli ludzie pomazani błotem, podrapani, okryci żałobnemi płachtami, którzy zawodzili w niebogłosy. A obok nich, zgodnie z rytuałem żałobnym, na całej drodze były rozrzucone chóry.

Chór I. „Na Zachód, do mieszkania Ozirisa, na Zachód idziesz ty, który byłeś najpierwszym z ludzi, który nienawidziłeś fałszu.

Chór II. Na Zachód! Nie zakwitnie tu człowiek, który tak kochał prawdę i miał w obrzydzeniu kłamstwo.

Chór woźniców. Na Zachód, woły, które ciągniecie wóz żałobny, na Zachód!... Pan wasz idzie za wami.

Chór III. Na Zachód, na Zachód, do ziemi sprawiedliwych! Miejsce, które ukochałeś, jęczy i płacze po tobie.

Tłum ludu. Idź w pokoju do Abydos!... Idź w pokoju do Abydos!... Obyś doszedł w pokoju do Zachodu tebańskiego!...

Chór płaczek. O panie nasz, o panie nasz, kiedy ty odchodzisz na Zachód, sami bogowie płaczą.

Chór kapłanów. On jest szczęśliwy, naj-

szanowniejszy między ludźmi, ponieważ los pozwala mu odpocząć w grobie, który sam przygotował.

Chór woźniców. Na Zachód, woły, które ciągniecie wóz żałobny, na Zachód!... Pan wasz idzie za wami...

Tłum ludu. Idź w pokoju do Abydos... Idź w pokoju do Abydos, ku morzu Zachodniemu!" *).

Co paręset kroków stał oddział wojska, witający pana głuchym łoskotem bębnów i żegnający go przeraźliwym odgłosem trąb. Nie był to pogrzeb, ale marsz triumfalny do kraju bogów.

W pewnej odległości za wozem szedł Ramzes XIII, otoczony wielką świtą generałów, a za nim królowa Nikotris, oparta na dwu damach dworskich. Ani syn, ani matka nie płakali, ponieważ było im wiadomo (o czem nie wiedział lud prosty), że zmarły pan już znajduje się obok Ozirisa i z pobytu w ojczyźnie szczęśliwości jest tak zadowolony, że nie chciałby wrócić na ziemię.

Po parogodzinnym pochodzie, któremu towarzyszył nieustannie krzyk, zwłoki zatrzymały się nad brzegiem Nilu.

Tu zdjęto je z wozu w formie łodzi i przeniesiono na prawdziwy statek złocony, rzeźbiony, pokryty malowidłami, zaopatrzony w białe i purpurowe żagle.

Dworskie kobiety jeszcze raz próbowały odebrać mumję kapłanom; jeszcze raz odezwały się wszystkie chóry i wszystkie muzyki wojskowe. Po-

*) Autentyczne wyrażenia.

łem na statek, wiozący mumję królewską, weszła pani Nikotris i kilkunastu kapłanów, lud począł rzucać bukiety i wieńce i — zaszumiały wiosła...

Ramzes XII po raz ostatni opuścił swój pałac, dążąc Nilem do grobu w Tebach. Po drodze zaś, jako troskliwy władca, miał wstępować do wszystkich słynnych miejscowości, aby pożegnać się z niemi.

Podróż ciągnęła się bardzo długo. Do Tebów było ze sto mil, płynęło się wgórę rzeki, wzdłuż której mumja musiała odwiedzić kilkanaście świątyń i brać udział w uroczystych nabożeństwach.

W kilka dni po wyjeździe Ramzesa XII na wiekuisty spoczynek, wyruszył za nim Ramzes XIII, aby widokiem swoim wskrzesić martwe z żalu serca poddanych, przyjąć ich hołdy i złożyć ofiary bogom.

Za zmarłym panem odjechali, każdy na własnym statku, wszyscy arcykapłani, wielu starszych kapłanów, najbogatsi właściciele ziemscy i większa część nomarchów. To też nowy faraon myślał nie bez goryczy, że jego orszak będzie bardzo nieliczny.

Stało się jednak inaczej. Przy boku Ramzesa XIII znaleźli się wszyscy generałowie, bardzo wielu urzędników, mnóstwo drobnej szlachty i — całe niższe duchowieństwo, co bardziej nawet zdziwiło, niż ucieszyło faraona.

Był to dopiero początek. Gdy bowiem statek młodego pana wypłynął na Nil, wyjechała naprzeciw niego taka masa większych i mniejszych, ubo-

gich i bogatych czółen, że prawie zasłoniły wodę. Siedziały w nich nagie rodziny chłopów i rzemieślników, strojni kupcy, jaskrawi Fenicjanie, zwinni żeglarze greccy, a nawet Asyryjczycy i Chetowie.

Tłum ten już nie krzyczał, ale wył; nie cieszył się, ale szalał. Co chwila na statek królewski wdzierała się jakaś deputacja, aby ucałować pokład, którego dotykały nogi pańskie i złożyć dary: garstkę zboża, kawałek tkaniny, prosty gliniany dzbanek, parę ptaszków, a nadewszystko wiązankę kwiatów. To też zanim faraon ominął Memfis, jego statek trzeba było kilka razy opróżniać z podarunków, ażeby nie zatonął.

Młodsi kapłani mówili między sobą, że oprócz Ramzesa Wielkiego żaden faraon nie był witany z tak olbrzymim zapałem.

W podobny sposób odbyła się cała podróż od Memfisu do Tebów, a szał ludu zamiast słabnąć potęgował się. Chłopi rzucali swoje pola a rzemieślnicy warsztaty, aby nacieszyć się widokiem nowego władcy, o którego zamiarach już utworzyły się legendy. Spodziewano się ogromnych zmian, choć nikt nie wiedział jakich. To tylko było pewne, że surowość urzędników złagodniała, że Fenicjanie w mniej bezwzględny sposób wybierali podatki i że pokorny zazwyczaj lud egipski zaczął podnosić głowę wobec kapłanów.

— Niech tylko faraon pozwoli — mówiono w szynkowniach, na polach i na rynkach — a zaraz ład zrobimy ze świętymi mężami... Oni to są winni,

że płacimy wielkie podatki, że rany nigdy nie goją się na naszych plecach!...

O siedem mil na południe od Memfisu, leżał między rozgałęzieniami gór libijskich, kraj Piom, albo Fayum, dziwny tem, że stworzyły go ludzkie ręce.

Kiedyś w tem miejscu była pustynia zaklęśnięta i otoczona amfiteatrem gór nagich. Dopiero faraon Amenhemat na 3500 lat przed Chrystusem powziął zuchwały projekt zamienienia jej na żyzną okolicę.

W tym celu oddzielił od reszty wschodnią część zaklęśnięcia i otoczył ten kawałek potężną groblą. Miała ona wysokość piętrowego domu, grubości w podstawie około stu kroków i przeszło czterdzieści kilometrów długości.

Tym sposobem utworzono zbiornik, mogący pomieścić ze trzy miljardy metrów kubicznych, trzy kilometry sześcienne wody, której powierzchnia zajmowała około trzystu kilometrów kwadratowych. Rezerwuar ten służył do nawadniania czterechset tysięcy morgów gruntu, a oprócz tego, w czasach przyboru rzeki, wchłaniał w siebie nadmiar wody i znaczną część Egiptu zabezpieczał od nagłego zalewu.

To olbrzymie nagromadzenie wód nazywano jeziorem Moeris i zaliczano je do cudów świata. Dzięki jemu pustynna dolina zamieniła się na żyzny kraj Piom, gdzie żyło w dobrobycie około dwustu tysięcy mieszkańców. W prowincji tej, obok palm i pszenicy, hodowano najpiękniejsze róże,

z których olejek rozchodził się po całym Egipcie i za jego granicami.

Istnienie jeziora Moeris było związane z innym cudem pracy egipskich inżynierów, kanałem Józefa.

Kanał ten, szeroki na dwieście kroków, ciągnął się przez kilkadziesiąt mil na zachodniej stronie Nilu. Odległy od rzeki o dwie mile, służył do nawodniania gruntów, sąsiadujących z górami libijskiemi, i prowadził wodę do jeziora Moeris.

Dokoła kraju Piom wznosiło się kilka starych piramid i mnóstwo mniejszych grobów. Zaś na jego wschodniej granicy, wpobliżu Nilu stał słynny Labirynt (Lope--rohunt). Był on również zbudowany przez Amenhemata a miał formę olbrzymiej podkowy, która zajmowała kawał gruntu na tysiąc kroków długi i sześćset szeroki.

Gmach ten był największą skarbnicą Egiptu. W nim spoczywały mumje wielu sławnych faraonów, znakomitych kapłanów, wodzów, budowniczych. Tu również leżały zwłoki czczonych zwierząt, a przedewszystkiem krokodylów. Tu nareszcie chronił się nagromadzony w ciągu wieków majątek państwa egipskiego, o którym trudno mieć dziś pojęcie.

Labirynt nie był ani niedostępny z zewnątrz, ani zbyt pilnowany; strzegł go mały oddział wojsk kapłańskich i kilku kapłanów wypróbowanej uczciwości. Bezpieczeństwo skarbca polegało właściwie na tem, że z wyjątkiem owych kilku osób nikt nie wiedział, gdzie go szukać wśród Labiryntu, który

dzielił się na dwa piętra: nadziemne i podziemne i w każdem z nich liczył po tysiąc pięćset komnat!...

Każdy faraon, każdy arcykapłan, nareszcie każdy wielki skarbnik i najwyższy sędzia miał obowiązek natychmiast po objęciu urzędu własnemi oczyma obejrzeć majątek państwa. Lecz mimo to żaden z dostojników nietylko nie trafiłby tam, ale nawet nie mógł zmiarkować, gdzie leży skarbiec? W korpusie głównym, czy w którem ze skrzydeł, nad ziemią, czy pod ziemią.

Byli tacy, którym zdawało się, że skarbiec naprawdę mieści się pod ziemią, daleko za obrębem właściwego Labiryntu. Nie brakło zaś i takich, którzy sądzili, że skarbiec leży pod dnem jeziora, aby w razie potrzeby można go wodą zalać. Wreszcie żaden dostojnik państwa nie lubił zajmować się tą kwestją, wiedząc, że pokuszenie na majątek bogów pociąga za sobą zgubę świętokradcy.

Może zresztą niewtajemniczeni potrafiliby odkryć tam drogę, gdyby myśli ich nie paraliżowała obawa. Śmierć doczesna i wieczna groziła człowiekowi i jego rodzinie, który ośmieliłby się bezbożnym umysłem odsłaniać podobne tajniki.

Przybywszy w te strony, Ramzes XIII zwiedził przedewszystkiem prowincję Fayum. Wyglądała ona, jak wnętrze głębokiej misy, której dnem było jezioro, a brzegami wzgórza. Gdzie zwrócił oczy, wszędzie spotykał soczystą zieloność traw upstrzonych kwiatami, kępy palm, gaje fig i tamarindusów, wśród których od wschodu do zachodu

słońca rozlegał się śpiew ptaków i wesołe głosy ludzkie.

Był to bodaj że najszczęśliwszy kąt Egiptu.

Lud przyjął faraona z ogromnym zapałem. Jego i świtę zasypywano kwiatami, ofiarowano mu kilka dzbanków najkosztowniejszych perfum i za dziesięć talentów złota i drogich kamieni.

Dwa dni zabawił pan w rozkosznej okolicy, gdzie radość zdawała się wykwitać z drzew, pływać w powietrzu, przeglądać w wodzie jeziora. Lecz przypomniano mu, że musi zwiedzić Labirynt.

Opuścił Piom z westchnieniem i, jadąc, obzierał się z drogi. Wnet jednak uwagę jego pochłonął olbrzymi gmach szarej barwy, majestatycznie rozsiadający się na wzgórzu.

Przy bramie wiekopomnego Lope-rohunt'u powitała go gromadka kapłanów o ascetycznej powierzchowności, tudzież mały oddziałek wojska, w którym każdy żołnierz był zupełnie ogolony.

— Ci ludzie wyglądają, jak kapłani!... — zawołał Ramzes.

— Bo też każdy z nich odebrał niższe święcenia, a setnicy wyższe — odpowiedział arcykapłan gmachu.

Przypatrzywszy się uważniej fizjognomjom tych dziwnych żołnierzy, którzy nie jadali mięsa i żyli w celibacie, faraon dojrzał w nich bystrość i spokojną energję. Poznał też, że jego święta osoba żadnego wrażenia nie wywołuje w tem miejscu.

„Bardzom ciekawy, w jaki sposób trafi tutaj Samentu?"... — rzekł do siebie pan.

Zrozumiał, że tych ludzi nie można ani nastraszyć, ani przekupić. Taka biła od nich pewność siebie, jakby każdy miał do swego rozporządzenia niezwalczone pułki duchów.

„Zobaczymy — pomyślał — czy ulękną się tych bogobojnych mężów moi Grecy i Azjaci? Na szczęście są oni tak dzicy, że nawet nie poznają się na uroczystych minach"...

Na prośbę kapłanów, świta Ramzesa XIII-go została przed bramą, jakby pod dozorem żołnierzy z ogolonemi głowami.

— Czy i miecz mam tu zostawić? — zapytał faraon.

— Nic on nam nie zaszkodzi — odparł najwyższy dozorca.

Młody pan miał ochotę przynajmniej wypłazować pobożnego męża za taką odpowiedź. Ale pohamował się.

Przez ogromny dziedziniec, między dwoma szeregami sfinksów, faraon i kapłani weszli do głównego korpusu. Tu, w sieni bardzo obszernej, lecz nieco przyćmionej, było ośmioro drzwi, a dozorca zapytał:

— Któremi drzwiami wasza świątobliwość chce dostać się do skarbca?

— Temi, które doprowadzą nas najprędzej.

Każdy z pięciu kapłanów wziął dwa pęki pochodni, ale zapalił światło tylko jeden. Obok niego stanął najwyższy dozorca, trzymając w rękach duży sznur paciorków, na których wypisane były ja-

kieś znaki. Za nimi zaś szedł Ramzes, otoczony przez trzech pozostałych kapłanów.

Arcykapłan z paciorkami zwrócił się na prawo i wszedł do wielkiej sali, której ściany i kolumny były pokryte napisami i figurami. Stamtąd dostali się do ciasnego kurytarza, który prowadził pod górę i znaleźli się w innej sali, odznaczającej się wielką ilością drzwi. Tu usunęła się przed nimi tafla w podłodze, odsłaniając otwór, przez który zeszli na dół i — znowu przez ciasny kurytarz podążyli do komnaty, która nie miała żadnych drzwi.

Ale przewodnik dotknął jednego hieroglifu i— usunęła się przed nim ściana.

Ramzes chciał zdać sobie sprawę z kierunku, w jakim idą, lecz wnet splątała mu się uwaga. Widział tylko, że śpiesznie przechodzą duże sale, małe komnaty, ciasne kurytarze, że wdrapują się pod górę lub zbiegają na dół, że niektóre sale mają mnóstwo drzwi, a inne wcale ich nie posiadają. Zarazem spostrzegł, że przewodnik przy każdem nowem wejściu przesuwa jedno ziarnko swego długiego różańca, a niekiedy przy blasku pochodni porównywa znaki na paciorkach ze znakami na ścianach.

— Gdzież teraz jesteśmy — nagle zapytał faraon — w podziemiu czy na górze?...

— Jesteśmy w mocy bogów — odparł jego sąsiad.

Po kilku zakrętach i przejściach faraon znowu się odezwał:

— Ależ myśmy tu już byli, bodaj-że ze dwa razy!...

Kapłani milczeli, tylko niosący pochodnię oświetlił kolejno ściany, a Ramzes, przypatrzywszy się, wyznał w duchu, że chyba tu jeszcze nie byli.

W małej komnacie, bez drzwi, zniżono pochodnię, i faraon spostrzegł na ziemi wyschłe, czarne zwłoki, owinięte zbutwiałą szatą.

— To — rzekł dozorca gmachu — jest trup pewnego Fenicjanina, który za 16-ej dynastji próbował wedrzeć się do Labiryntu i doszedł aż tutaj.

— Zabito go? — spytał faraon.

— Umarł z głodu.

Szli już z pół godziny, gdy kapłan, niosący pochodnię, oświetlił framugę kurytarza, gdzie równie leżały wysuszone zwłoki.

— To — mówił dozorca — jest trup kapłana nubijskiego, który za czasów dziada waszej świątobliwości próbował tu wejść...

Faraon nie pytał, co się z nim stało. Miał wrażenie, że znajduje się w jakiejś głębi i że gmach przygniata go swym ciężarem. O zorjentowaniu się wśród setek kurytarzy, sal, komnat już nie myślał. A nawet nie pragnął wyjaśnić sobie, jakim cudem rozstępują się przed nim kamienne ściany lub zapadają posadzki.

„Samentu nic nie zrobi — mówił w duchu. — Albo zginie, jak ci dwaj, o których muszę mu nawet powiedzieć".

Takiego zgnębienia, takiego uczucia niemocy i nicości nigdy jeszcze nie doznał. Chwilami zdawało mu się, że kapłani zostawią go w jednej z ciasnych komnat, pozbawionych drzwi. Wówczas

ogarniała go rozpacz: sięgał do miecza i gotów był ich porąbać. Ale wnet przypomniał sobie, że bez ich pomocy nie wyjdzie stąd, i spuszczał głowę.

O, gdyby choć na chwilę zobaczyć światło dzienne!... Jakże straszną musi być śmierć między trzema tysiącami tych komnat, wypełnionych mrokiem lub ciemnością!...

Dusze bohaterskie miewają chwile głębokiego znękania, jakich nawet nie domyśla się człowiek zwykły.

Pochód trwał blisko godzinę, gdy nareszcie weszli do niskiej sali, wspartej na ośmiokątnych słupach. Trzej kapłani, otaczający faraona, rozpierzchli się, przyczem Ramzes spostrzegł, że jeden z nich przytulił się do kolumny i jakby znikł w jej wnętrzu.

Po chwili w jednej ze ścian odsłonił się wąski otwór, kapłani wrócili na swoje miejsca, a ich przewodnik kazał zapalić cztery pochodnie. Poczem wszyscy skierowali się do owego otworu i ostrożnie przecisnęli się przezeń.

— Oto są komory... — rzekł dozorca gmachu.

Kapłani szybko zapalili pochodnie przytwierdzone do kolumn i ścian i Ramzes zobaczył szereg ogromnych izb przepełnionych najrozmaitszemi wyrobami bezcennej wartości. W zbiorze tym każda dynastja, jeżeli nie każdy faraon, składała, co miała najosobliwszego i najdroższego.

Więc były wozy, czółna, łóżka, stoły, skrzynie i trony złote lub złotą blachą obite, tudzież inkrustowane kością słoniową, perłową masą i koloro-

wem drzewem tak ozdobnie, że drobiazgi te — artyści-rzemieślnicy wyrabiali przez dziesiątki lat. Były zbroje, tarcze i kołczany, lśniące od drogich kamieni. Były szczerozłote dzbany, misy i łyżki, kosztowne szaty i baldachimy.

Wszystko to, dzięki suchości i czystości powietrza, od wieków przechowywało się bez zmiany.

Między osobliwościami faraon zauważył srebrny model asyryjskiego pałacu, ofiarowany Ramzesowi XIII-temu przez Sargona. Arcykapłan, objaśniając faraonowi, który dar od kogo pochodzi, pilnie przypatrywał się jego fizjognomji. Ale zamiast podziwu dla skarbów dostrzegł niezadowolenie.

— Powiedz mi wasza dostojność — zapytał faraon nagle — jaka jest korzyść z tych skarbów, zamkniętych w ciemnicy?...

— Jest w nich wielka siła na wypadek, gdyby Egipt znalazł się w niebezpieczeństwie — odparł arcykapłan. — Za kilka tych hełmów, wozów, mieczów możemy kupić sobie życzliwość wszystkich asyryjskich satrapów. A może nie oparłby się i król Asar, gdybyśmy mu dostarczyli sprzętów do sali tronowej lub zbrojowni.

— Myślę, że oni woleliby zabrać wszystko mieczem od nas, aniżeli — trochę skarbów życzliwością dla nas — wtrącił pan.

— Niech spróbują!... — rzekł kapłan.

— Rozumiem... Macie widać sposoby zniszczenia skarbów. Ale w takim razie już nikt z nich nie skorzysta.

— Nie mój w tem rozum — odparł najwyż-

szy dozorca. — Pilnujemy, co nam oddano, i czynimy, jak kazano.

— Czy nie lepiej byłoby użyć cząstki tych skarbów na zasilenie kasy państwa i podźwignięcie Egiptu z niedoli, w jakiej jest dziś pogrążony? — spytał faraon.

— To nie zależy od nas.

Faraon zmarszczył brwi. Jakiś czas oglądał przedmioty bez wielkiego zresztą zapału, wreszcie znowu zapytał:

— Dobrze. Te kunsztowne wyroby przydać się mogą na zjednanie życzliwości asyryjskich dostojników. Ale, gdyby wybuchła wojna z Asyrją, czem wydobylibyśmy zboże, ludzi i broń od narodów, które nie znają się na osobliwościach?

— Otworzyć skarbiec!... — rzekł arcykapłan.

I tym razem kapłani rozbiegli się: dwaj znikli jakby we wnętrzu kolumn, a jeden po drabince wszedł na ścianę i coś robił około rzeźbionej figurki.

Znowu usunęły się ukryte drzwi i Ramzes wszedł do właściwego skarbca.

I to była rozległa komnata, przepełniona bezcennemi materjałami. Stały w niej gliniane beczki, pełne złotego piasku, bryły złota, ułożone jak cegły, i złote sztaby w wiązkach. Srebrne bryły, ustawione pod jedną ścianą, tworzyły niby mur, szeroki na parę łokci, wysoki do sufitu.

We framugach i na kamiennych stołach leżały drogie kamienie wszystkich barw: rubiny, topazy, szmaragdy, diamenty, wreszcie perły wielkości

orzechów, a nawet ptasich jaj. Za niejeden z tych klejnotów można było kupić miasto.

— Oto jest nasz majątek na wypadek nieszczęścia — rzekł kapłan dozorca.

— Na jakie wy nieszczęścia czekacie? — zapytał faraon. — Lud biędny, szlachta i dwór zadłużeni, armja do połowy zmniejszona, faraon nie ma pieniędzy... Czy kiedykolwiek Egipt znajdował się w gorszem położeniu?...

— Był w gorszem, kiedy go podbili Hyksosi.

— Za kilkanaście lat — odparł Ramzes — podbiją nas nawet Izraelici, jeżeli nie uprzedzą ich Libijczycy i Etjopowie. A wówczas te piękne kamienie, rozbite na okruchy, pójdą na przyozdobienie żydowskich i murzyńskich sandałów...

— Bądź spokojny, wasza świątobliwość. W razie potrzeby nietylko skarbiec, ale nawet Labirynt zniknie bez śladu, razem ze swymi dozorcami.

Ramzes ostatecznie zrozumiał, że ma przed sobą fanatyków, którzy myślą tylko o jednem: ażeby nikogo nie dopuścić do owładnięcia skarbem!

Faraon usiadł na stosie złotych cegieł i rzekł:

— Więc majątek ten zachowujecie na złe czasy Egiptu?

— Prawdę mówisz, świątobliwy panie.

— Dobrze. Ale kto was, dozorców, przekona, że takie czasy nadeszły, gdyby nadeszły?

— Do tego musi być zwołane nadzwyczajne zgromadzenie rodowitych Egipcjan, w którem zasiądzie: faraon, trzynastu kapłanów wyższego stop-

nia, trzynastu nomarchów, trzynastu szlachty, trzynastu oficerów i po trzynastu kupców, rzemieślników i chłopów.

— Więc takiemu zgromadzeniu oddalibyście skarby? — spytał faraon.

— Dalibyśmy sumę potrzebną, gdyby całe zgromadzenie, jak jeden mąż, uchwaliło, że Egipt jest w niebezpieczeństwie i...

— I co?...

— I gdyby posąg Amona w Tebach potwierdził tę uchwałę.

Ramzes spuścił głowę, ażeby ukryć wyraz wielkiego zadowolenia. Już miał plan.

„Zgromadzenie takie potrafię zebrać i skłonić je do jednomyślności... — mówił w sobie. — Również zdaje mi się, że boski posąg Amona potwierdzi uchwałę, gdy jego kapłanów otoczę moimi Azjatami".

— Dziękuję wam, pobożni mężowie — rzekł głośno — za pokazanie cennych rzeczy, których jednak wielka wartość nie przeszkadza mi być najuboższym z królów świata. A teraz proszę, ażebyście mnie wyprowadzili stąd krótszą i wygodniejszą drogą.

— Życzymy waszej świątobliwości — odparł dozorca — abyś drugie tyle bogactw dołożył Labiryntowi... Co się zaś tyczy drogi do wyjścia stąd, jest tylko jedna i tą musimy wracać.

Jeden z kapłanów podał Ramzesowi trochę daktyli, drugi flaszę wina, zaprawionego wzmacnia-

jącą substancją. Poczem faraon odzyskał siły i szedł wesoło.

— Dużobym dał — mówił, śmiejąc się — ażeby zrozumieć wszystkie zakręty tej dziwacznej drogi!...

Kapłan przewodniczący zatrzymał się.

— Zapewniam waszą świątobliwość—rzekł— że my sami nie rozumiemy, ani pamiętamy tej drogi, choć każdy z nas odbywał ją po kilkanaście razy...

— Więc jakim sposobem trafiacie tu?

— Korzystamy z pewnych wskazówek, lecz gdyby nam, bodaj w tej chwili, zginęła która, pomarlibyśmy tu z głodu...

Nareszcie wyszli do przysionka, a z niego na dziedziniec. Faraon zaczął obzierać się dokoła i kilka razy odetchnął.

— Za wszystkie skarby Labiryntu nie chciałbym ich pilnować! — zawołał. — Strach pada mi na piersi, gdy pomyślę, że można umrzeć w tych kamiennych ciemnicach...

— Ale można się i przywiązać do nich — odparł z uśmiechem arcykapłan.

Faraon podziękował każdemu ze swych przewodników i zakończył:

— Radbym udzielić wam jakiej łaski, żądajcie więc...

Ale kapłani słuchali obojętnie, a ich naczelnik rzekł:

— Wybacz mi, panie, zuchwalstwo, ale... czegóż moglibyśmy pragnąć?... Nasze figi i daktyle są

tak słodkie, jak z twego ogrodu, woda tak dobra, jak z twojej studni. Gdyby zaś ciągnęły nas bogactwa, czyliż nie mamy ich więcej, aniżeli wszyscy królowie?...

„Tych niczem nie przejednam — pomyślał faraon — ale... dam im uchwałę zgromadzenia i wyrok Amona".

ROZDZIAŁ VIII.

Opuściwszy Piom, faraon i jego orszak kilkanaście dni posuwali się na południe, wgórę Nilu, otoczeni chmurą łódek, pozdrawiani okrzykami, zasypywani kwiatami.

Po obu brzegach rzeki, na tle zielonych pól, ciągnęły się nieprzerwanym szeregiem gliniane chłopskie chaty, figowe gaje, bukiety palm. Co godzinę ukazywała się grupa białych domów jakiegoś miasteczka, albo większe miasto z kolorowemi budowlami, z ogromnemi pylonami świątyń.

Od zachodu ściana gór libijskich rysowała się niezbyt wyraźnie; zato od wschodu pasmo arabskie coraz bardziej zbliżało się do rzeki. I można było widzieć strome poszarpane skały barwy ciemnej, żółtej lub różowej, przypominające kształtami zwaliska fortec czy świątyń, zbudowanych przez olbrzymów.

Na środku Nilu spotykano wysepki, które jakby wczoraj wynurzyły się z pod wody, a już dziś zostały okryte bujną roślinnością i zamieszkane przez niezliczone stada ptaków. Kiedy nadpływał

burzliwy orszak faraona, wystraszone ptaki zrywały się i, krążąc nad statkami, łączyły swoje krzyki z potężnym głosem ludu. Nad tem wszystkiem unosiło się przeczyste niebo i światło tak pełne życia, że w jego powodzi czarna ziemia nabierała blasku, a kamienie barw tęczowych.

Schodził więc faraonowi czas wesoło. Z początku trochę drażniły go nieustanne krzyki, lecz później tak przywykł do nich, że już nie zwracał uwagi. Mógł odczytywać dokumenty, naradzać się, nawet spać.

O trzydzieści do czterdziestu mil od Piom, na lewym brzegu Nilu leżało duże miasto Siut, w którem Ramzes XIII parę dni odpoczął. Wypadało nawet zatrzymać się, gdyż mumja zmarłego króla jeszcze przebywała w Abydos, gdzie przy grobie Ozirisa odprawiano uroczyste modły.

Siut był jednem z bogatszych miast Górnego Egiptu. Tu wyrabiano słynne naczynia z białej i czarnej gliny i tkano płótna; tu było główne targowisko, na które przywożono towary z oaz, rozrzuconych w pustyni. Tu wreszcie była sławna świątynia Anubisa, bożka z głową szakala.

Drugiego dnia pobytu w tem miejscu zgłosił się do jego świątobliwości kapłan Pentuer, naczelnik komisji, badającej położenie ludu.

— Masz jakie nowiny? — zapytał pan.

— Mam te, że cały Egipt błogosławi waszą świątobliwość. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, są pełni otuchy i mówią, że wasze panowanie odrodzi państwo.

— Chcę — odparł faraon — ażeby moi poddani byli szczęśliwi, a lud odetchnął. Chcę, ażeby Egipt miał, jak niegdyś, osiem miljonów ludności i odzyskał grunta, które wydarła mu pustynia. Chcę, ażeby człowiek pracowity wypoczywał co siódmy dzień i ażeby każdy rolnik posiadał kawałek ziemi na własność...

Pentuer upadł na twarz przed dobrotliwym panem.

— Podnieś się — mówił Ramzes. — Powiem ci jednak, że miałem godziny ciężkiego smutku. Widzę bowiem niedolę mego ludu, pragnę go podźwignąć, a jednocześnie donoszą mi, że — skarb jest pusty. Sam zaś wiesz najlepiej, że, nie posiadając kilkudziesięciu tysięcy talentów gotowizną, nie mógłbym ważyć się na podobne ulepszenia.

Ale dziś jestem spokojny: mam środek na wydobycie potrzebnych funduszów z Labiryntu...

Pentuer spojrzał na władcę zdziwiony.

— Dozorca skarbu objaśnił mnie, co mam robić — ciągnął faraon. — Muszę zwołać ogólne zgromadzenie wszystkich stanów, po trzynastu ludzi z każdego stanu. A gdy oni oświadczą, że Egipt jest w potrzebie, Labirynt dostarczy mi skarbów...

Bogowie!—dodał—za parę... za jeden z tych klejnotów, które tam leżą, można dać ludowi pięćdziesiąt odpoczynków na rok!... Nigdy chyba nie zostaną one lepiej użytemi.

Pentuer potrząsnął głową.

— Panie — rzekł — sześć miljonów Egipcjan, a ja i moi przyjaciele przed innymi, zgodzimy się,

żebyś czerpał z tamtego skarbca. Ale... nie łudź się, wasza świątobliwość!... Bo stu najwyższych dostojników państwa oprze się temu, a wówczas Labirynt nic nie wyda...

— Więc oni chcą, ażebym chyba został żebrakiem przy której ze świątyń?... — wybuchnął faraon.

— Nie — odparł kapłan. — Oni lękać się będą, ażeby nie opróżnił się skarbiec raz napoczęty. Oni będą posądzali najwierniejsze sługi waszej świątobliwości o udział w zyskach, płynących z tego źródła... A wówczas zazdrość podszepnie im: dlaczego i wy nie mielibyście coś zyskać?... Nie niechęć do ciebie, panie, ale wzajemna nieufność, ale chciwość popchną ich do oporu.

Pan, wysłuchawszy tego, uspokoił się, a nawet uśmiechnął.

— Jeżeli tak jest, kochany Pentuerze, jak mówisz, to bądź spokojny — rzekł. — W tej chwili dokładnie zrozumiałem, w jakim celu Amon ustanowił władzę faraona i dał mu nadludzką potęgę. Dlatego widzisz, ażeby stu, choćby najdostojniejszych łotrów, nie mogło zgubić państwa.

Ramzes podniósł się z krzesła i dodał:

— Powiedz memu ludowi, niech pracuje i będzie cierpliwy... Powiedz wiernym mi kapłanom, ażeby służyli bogom i uprawiali mądrość, która jest słońcem świata. A owych podejrzanych dostojników mnie zostaw... Biada im, jeżeli rozgniewają moje serce!

— Panie — rzekł kapłan — jestem twoim wiernym sługą.

Ale gdy, pożegnawszy się, wychodził, na jego obliczu widać było troskę.

O piętnaście mil od Siutu, wgórę rzeki, dzikie skały arabskie prawie dotykają Nilu; natomiast góry libijskie odsunęły się od niego tak daleko, że tamtejsza dolina jest bodaj najszerszą w Egipcie.

W tem właśnie miejscu, tuż obok siebie stały dwa czcigodne miasta: Tinis i Abydos. Tam urodził się Menes, pierwszy faraon Egiptu; tam przed stu tysiącami lat złożono do grobu święte zwłoki bożka Ozirisa, którego w zdradziecki sposób zamordował brat Tyfon.

Tam wreszcie na pamiątkę owych wielkich wydarzeń wiekopomny faraon Seti zbudował świątynię, do której zbiegali się pielgrzymi z całego Egiptu. Każdy prawowierny musiał choć raz w życiu dotknąć czołem tej błogosławionej ziemi. Prawdziwie zaś szczęśliwym był ten, czyja mumja mogła odbyć podróż do Abydos i choć zdaleka zatrzymać się pod murami świątyni.

Mumja Ramzesa XII przemieszkała tam parę dni; był to bowiem władca, odznaczający się pobożnością. Nic też dziwnego, że i Ramzes XIII-ty rozpoczynał rządy od złożenia hołdu grobowi Ozirisa.

Świątynia Setiego nie należała do najstarszych ani najwspanialszych w Egipcie, lecz odznaczała się czystością egipskiego stylu. Jego świątobliwość

Ramzes XIII zwiedzał ją i złożył w niej ofiary w towarzystwie arcykapłana Sema.

Grunta, należące do świątyni, zajmowały przestrzeń stu pięćdziesięciu morgów, na których były rybne sadzawki, ogrody kwiatowe, owocowe i warzywne, wreszcie domy, a raczej pałacyki kapłanów. Wszędzie rosły palmy, figi, pomarańcze, topole, akacje, które tworzyły albo aleje, idące w kierunku głównych okolic świata, albo łany drzew, sadzonych regularnie i mających prawie jednakową wysokość.

Nawet świat roślinny, pod bacznem okiem kapłanów, nie rozwijał się według własnego popędu, tworząc nieprawidłowe, ale malownicze skupienia; nawet on szykował się według linij prostych, linij równoległych, albo skupiał się w geometryczne figury.

Palmy, tamarindusy, cyprysy i mirty — byli to żołnierze, uszykowani szeregami lub kolumnami. Trawa — był to dywan strzyżony i ozdobiony malowidłami z kwiatów, nie byle jakiej barwy, ale tej, która była potrzebna. Lud, zgóry przypatrując się gazonom świątyń, widział na nich kwitnące obrazy bogów lub świętych zwierząt; mędrzec znajdował aforyzmy, wypisane hieroglifami.

Środkową część ogrodów zajmował prostokąt na 900 metrów długi a 300 szeroki. Prostokąt ten był zamknięty niezbyt wysokim murem, który posiadał jedną bramę widoczną i kilkanaście ukrytych furtek. Przez bramę lud pobożny wchodził na dziedziniec, otaczający przybytek Ozirisa, wyłożo-

ny kamienną posadzką. Dopiero na środku dziedzińca stała świątynia: gmach prostokątny, o czterystu pięćdziesięciu krokach długości i stu pięćdziesięciu szerokości.

Od bramy ludowej do świątyni prowadziła aleja sfinksów ze lwiemi ciałami i ludzkiemi głowami. Stały one w dwu szeregach, po dziesięciu w każdym i patrzyły sobie w oczy. Między niemi przechodzić mogli tylko najwyżsi dostojnicy.

W końcu alei sfinksów, ciągle naprzeciw bramy ludowej, wznosiły się dwa obeliski, czyli cienkie a wysokie kolumny czworoboczne z granitu, na których wypisano historję faraona Seti.

Dopiero za obeliskami wznosiła się potężna brama świątyni, mająca z obu boków olbrzymie gmachy w kształcie piramid ściętych, zwanych p y l o n a m i. Były to jakby dwie wieże barczyste, na których ścianach znajdowały się malowidła, przedstawiające zwycięstwa Setiego albo ofiary, jakie składał bogom.

Tej bramy już nie wolno było przekraczać chłopom, tylko bogatemu mieszczaństwu i klasom uprzywilejowanym. Przez nią wchodziło się do p e r y s t y l u, czyli dziedzińca, otoczonego kurytarzem, wspartym na mnóstwie kolumn. Perystyl mógł pomieścić z dziesięć tysięcy pobożnych.

Z dziedzińca osoby stanu szlacheckiego mogły jeszcze wchodzić do pierwszej sali, h i p o s t y l u; miała ona sufit, oparty na dwu szeregach wysokich kolumn, i mogła pomieścić ze dwa tysiące uczestników nabożeństwa. Sala ta była ostatnim

kresem dla ludzi świeckich. Najwięksi dostojnicy, lecz tacy, którzy nie otrzymali święceń, mieli prawo modlić się tylko tutaj i z tego miejsca patrzeć na zasłonięty posąg boga, który wznosił się w sali „boskiego objawienia".

Za salą „objawienia" leżała komnata „stołów ofiarnych", gdzie kapłani składali bogom dary, przyniesione przez wiernych. Następną była komnata „odpoczynku", gdzie wypoczywał bożek, wracający lub idący na procesję, ostatnią — kaplica czyli sanktuarjum, gdzie bożek mieszkał.

Kaplica była zwykle bardzo mała i ciemna, niekiedy wyciosana z jednej sztuki kamienia. Ze wszystkich stron otaczały ją kapliczki równie małe, zapełnione szatami i sprzętami, naczyniami i klejnotami bożka, który w swem niedostępnem ukryciu spał, kąpał się, namaszczał perfumami, jadał i pijał, a zdaje się, że nawet przyjmował odwiedziny młodych i ładnych kobiet.

Do sanktuarjum wchodzi tylko arcykapłan i panujący faraon, o ile otrzymał święcenia. Zwykły śmiertelnik, dostawszy się tam, mógł stracić życie.

Ściany i kolumny każdej sali były pokryte napisami i malowidłami objaśniającemi. W kurytarzu, otaczającym dziedziniec (perystyl), były nazwiska i portrety wszystkich faraonów: od Menesa, pierwszego władcy Egiptu, do Ramzesa XII. W hipostylu, czyli sali szlacheckiej, przedstawiono w sposób poglądowy geografję i statystykę Egiptu, tudzież podbitych ludów. W sali „objawienia" znajdował się kalendarz i rezultaty obserwacyj astronomicz-

nych; w komnacie „stołów ofiarnych“ i „odpoczynku“ figurowały obrazy, dotyczące religijnych obrządków, a w sanktuarjum — przepisy o wywoływaniu istot zaziemskich i opanowaniu zjawisk natury.

Ten ostatni rodzaj wiedzy nadludzkiej zawierał się w tak powikłanych zdaniach, że nawet kapłani z czasów Ramzesa XII-go nie rozumieli ich. Dopiero Chaldejczyk Beroes miał wskrzesić obumierającą mądrość.

Odpocząwszy dwa dni w rządowym pałacu w Abydos, Ramzes XIII wybrał się do świątyni. Miał na sobie białą koszulę, złoty pancerz, fartuszek w pomarańczowe i niebieskie pasy, stalowy miecz przy boku i złoty hełm na głowie. Wsiadł na wóz, którego konie, przybrane w pióra strusie, prowadzili nomarchowie, i zwolna pojechał do domu Ozirisa otoczony świtą.

Gdziekolwiek spojrzał: na pola, na rzekę, na dachy domów, nawet na konary fig i tamarindusów, wszędzie tłoczyła się ciżba ludu i rozlegał się niemilknący okrzyk, podobny do ryku burzy.

Dojechawszy do świątyni, faraon zatrzymał konie i wysiadł przed bramą ludową, co bardzo podobało się pospólstwu, a ucieszyło kapłanów. Piechotą przeszedł aleje sfinksów i, powitany przez świętych mężów, spalił kadzidło przed posągami Seti, siedzącemi z obu stron bramy wielkiej.

W perystylu arcykapłan zwrócił uwagę jego świątobliwości na misterne portrety faraonów i wskazał miejsce, przeznaczone na jego wizerunek.

W hipostylu objaśnił mu znaczenie map geograficznych i statystycznych tablic. W komnacie „boskiego objawienia“ Ramzes ofiarował kadzidło olbrzymiemu posągowi Ozirisa, a arcykapłan wskazał mu słupy, poświęcone oddzielnym planetom: Merkuremu, Wenerze, Księżycowi, Marsowi, Jowiszowi i Saturnowi. Stały one dokoła posągu słonecznego bóstwa w liczbie siedmiu.

— Mówisz mi — spytał Ramzes — że jest sześć planet, a tymczasem widzę siedem słupów?...

— Ten siódmy przedstawia ziemię, która także jest planetą — szepnął arcykapłan.

Zdziwiony faraon zażądał objaśnień; ale mędrzec milczał, wskazując na migi, że dla dalszych objaśnień ma zapieczętowane usta.

W komnacie „stołów ofiarnych“ odezwała się cicha, lecz piękna muzyka, podczas której chór kapłanek wykonał uroczysty taniec. Faraon zdjął swój złoty hełm i pancerz wielkiej wartości i oboje oddał Ozirisowi, żądając, aby te dary zostały w boskim skarbcu i nie były odnoszone do Labiryntu.

Wzamian za hojność arcykapłan ofiarował władcy najpiękniejszą 15-letnią tancerkę, która wydawała się bardzo zadowoloną ze swego losu.

Gdy faraon znalazł się w sali „odpoczynku“, usiadł na tronie, a jego zastępca religijny, Sem, przy dźwiękach muzyki i wśród dymu kadzideł wszedł do sanktuarjum, ażeby wynieść stamtąd bożka.

W pół godziny przy ogłuszającym dźwięku dzwonków, ukazała się w mroku komnaty złota

łódź, okryta zasłonami, które niekiedy poruszały się, jakby za niemi siedziała żywa istota.

Kapłani upadli na twarz, a Ramzes pilniej wpatrzył się w przeźroczyste zasłony. Jedna uchyliła się i faraon ujrzał nadzwyczajnej piękności dziecko, które spojrzało na niego tak mądremi oczyma, że władca Egiptu uczuł nieomal trwogę.

— Oto jest Horus — szeptali kapłani — Horus, wschodzące słońce... Jest on synem i ojcem Ozirisa, i mężem swej matki, która jest jego siostrą.

Rozpoczęła się procesja, ale tylko po wewnętrznej świątyni. Naprzód szli harfiarze i tancerki, potem biały wół ze złotą tarczą między rogami. Dalej dwa chóry kapłanów i arcykapłani niosący bożka, potem znowu chóry i nareszcie faraon w lektyce, dźwiganej przez ośmiu kapłanów.

Gdy procesja obeszła wszystkie sale i kurytarze świątyni, bożek i Ramzes obaj wrócili do komnaty odpoczynku. Wówczas zasłony, okrywające łódź świętą, odchyliły się po raz drugi, i piękne dziecko uśmiechnęło się do faraona.

Poczem łódź i bożka Sem odniesiono do kaplicy.

„Możeby zostać arcykapłanem?“ — pomyślał władca, któremu dziecko tak się podobało, że rad był widywać je jak najczęściej.

Lecz gdy, wychodząc ze świątyni, zobaczył słońce i niezmierny tłum radującego się ludu, przyznał w duchu, że nic nie rozumie. Ani skąd wzięło się owo dziecko niepodobne do żadnego z egipskich,

ani skąd ta nadludzka mądrość w jego oczach, ani— co to wszystko oznacza?...

Nagle przyszedł mu na myśl jego zamordowany synek, który mógł być również pięknym, i władca Egiptu wobec stu tysięcy poddanych rozpłakał się.

— Nawrócony!... nawrócony faraon!... — mówili kapłani. — Ledwie wstąpił do przybytku Ozirisa, i oto poruszyło się jego serce!...

Tego samego dnia jeden ślepy i dwóch paralityków, modlących się za murem świątyni, odzyskało zdrowie. Więc rada kapłańska uchwaliła, ażeby dzień ten zaliczyć do rzędu cudownych i na zewnętrznej ścianie gmachu wymalować obraz, przedstawiający zapłakanego faraona i uzdrowione kaleki.

Dobrze popołudniu Ramzes wrócił do swego pałacu, aby wysłuchać raportów. Gdy zaś wszyscy dostojnicy opuścili gabinet pana, przyszedł Tutmozis, mówiąc:

— Kapłan Samentu pragnie złożyć hołd waszej świątobliwości.

— Dobrze, wprowadź go.

— On błaga cię, panie, ażebyś przyjął go w namiocie, wśród wojskowego obozu, i twierdzi, że mury pałacu lubią podsłuchiwać...

— Ciekawym, czego chce?... — rzekł faraon i zapowiedział dworzanom, że noc przepędzi w obozie.

Przed zachodem słońca pan odjechał z Tutmozisem do swoich wiernych wojsk i znalazł tam kró-

lewski namiot, przy którym z polecenia Tutmozisa wartę trzymali Azjaci.

Wieczorem przyszedł Samentu, odziany w płaszcz pielgrzyma i, ze czcią powitawszy jego świątobliwość, szepnął:

— Zdaje mi się, że przez całą drogę szedł za mną jakiś człowiek, który zatrzymał się nieopodal boskiego namiotu. Może to wysłannik arcykapłanów?...

Na rozkaz faraona wybiegł Tutmozis i rzeczywiście znalazł obcego oficera.

— Kto jesteś? — zapytał.

— Jestem Eunana, setnik pułku Izydy... Nieszczęśliwy Eunana, wasza dostojność nie pamięta mnie?... Więcej niż rok temu, na manewrach pod Pi-Bailos odkryłem święte skarabeusze...

— Ach to ty!... — przerwał Tutmozis. — Twój pułk przecież nie stoi w Abydos?

— Woda prawdy płynie z ust waszych. Stoimy w nędznej okolicy pod Mena, gdzie kapłani rozkazali nam poprawiać kanał, jak chłopom albo żydom...

— Skądżeś się tu wziął?

— Ubłagałem starszych o kilkudniowy odpoczynek — odparł Eunana — i jak spragniony jeleń do źródła pobiegłem tutaj, dzięki chyżości moich nóg.

— Więc czego chcesz?

— Chcę żebrać miłosierdzia u jego świątobliwości przeciw ogolonym łbom, którzy nie dają

mi awansu dlatego, że jestem tkliwy na cierpienia żołnierzy.

Tutmozis markotny wrócił do namiotu i powtórzył faraonowi rozmowę z Eunaną.

— Eunana?... — powtórzył pan. — Prawda, pamiętam go... Narobił nam kłopotu skarabeuszami, ale też i dostał 50 kijów z łaski Herhora. I mówisz, że skarży się na kapłanów?... Daj go tu!...

Faraon kazał odejść Samentowi do drugiego przedziału w namiocie, a swego ulubieńca wysłał po Eunanę.

Niebawem ukazał się nieszczęśliwy oficer. Upadł twarzą na ziemię, a potem, klęcząc i wzdychając, mówił:

— „Codzień modlę się do Re Harmachis przy jego wschodzie i zachodzie i do Amona, i Re, i Ptaha, i do innych bogów i bogiń. Obyś ty zdrów był, władco Egiptu! Obyś został przy życiu! Oby ci się dobrze wiodło, a ja żebym mógł choć blaski twoich pięt oglądać"... *).

— Czego on chce? — spytał faraon Tutmozisa, pierwszy raz przestrzegając etykiety.

— Jego świątobliwość raczy zapytywać: czego chcesz? — powtórzył Tutmozis.

Obłudny Eunana, wciąż klęcząc, zwrócił się do ulubieńca i prawił:

— Jesteś wasza dostojność uchem i okiem pana, który daje nam radość i życie, a więc odpowiem ci, jak na sądzie Ozirisa:

---

*) Autentyczne.

Służę w kapłańskim pułku boskiej Izydy dziesięć lat, walczyłem sześć lat na wschodnich kresach. Rówieśnicy moi zostali już pułkownikami, ale ja wciąż jestem tylko setnikiem, wciąż biorę kije z polecenia bogobojnych kapłanów.

I za co dzieje mi się taka krzywda?

„W dzień obracam serce moje do książek, a w nocy czytam; bo głupiec, który opuszcza książki tak prędko, jak uciekająca gazella, jest podłego umysłu, równy osłowi, który bierze cięgi, równy głuchemu, który nie słyszy i do którego trzeba mówić ręką. Mimo tę moją chęć do nauk, nie jestem zarozumiałym z własnej wiedzy, lecz radzę się wszystkich, bo od każdego czegoś nauczyć się można, a czcigodnych mędrców otaczam szacunkiem!...“

Faraon poruszył się niecierpliwie, lecz słuchał dalej, wiedząc, że Egipcjanin uważa gadulstwo za swój obowiązek i najwyższą cześć dla przełożonych.

— Oto jaki jestem—prawił Eunana.—„W obcym domu nie oglądam się za kobietami, czeladzi jeść daję, co należy, ale gdy o mnie chodzi, nie sprzeczam się przy podziale. Mam zawsze zadowoloną twarz, a wobec zwierzchników zachowuję się z szacunkiem i nie siądę, gdy starszy człowiek stoi. Nie jestem natrętny, a nieproszony, nie wchodzę do obcych domów. Co moje oko ujrzy, o tem milczę, bo wiem, że głuchymi jesteśmy dla tych, którzy wielu słów używają.

Mądrość uczy, że ciało człowieka podobne jest

do śpichrza, pełne rozmaitych odpowiedzi. Dlatego zawsze wybieram dobrą i mówię dobrą, a złą chowam zamkniętą w ciele mojem. Cudzych też oszczerstw nie powtarzam, a już co się tyczy poselstwa, zawsze spełniam je jak najlepiej..." *).

I co mam zato?... — kończył Eunana podniesionym głosem. — Cierpię głód, chodzę w łachmanach, a na grzbiecie leżeć nie mogę, tak jest zbity. Czytam w księgach, że stan kapłański wynagradzał męstwo i roztropność. Zaprawdę! musiało tak być kiedyś i już bardzo dawno. Bo dzisiejsi kapłani tyłem odwracają się od roztropnych, a męstwo i siłę wypędzają z oficerskich kości...

— Ja zasnę przy tym człowieku — rzekł faraon.

— Eunano — dodał Tutmozis — przekonałeś jego świątobliwość, że jesteś biegły w księgach, a teraz powiedz jak najkrócej: czego pragniesz?

— Strzała tak prędko nie dobiega celu, jak moja prośba doleci do boskich pięt jego świątobliwości — odparł Eunana. — Tak obmierzła mi służba u ogolonych łbów, taką goryczą kapłani napełnili moje serce, że — jeżeli nie będę przeniesiony do wojsk faraona, przebiję się własnym mieczem, przed którym nie raz i nie sto razy drżeli wrogowie Egiptu.

Wolę być dziesiętnikiem, wolę być prostym żołnierzem jego świątobliwości, aniżeli setnikiem w kapłańskich pułkach; świnia albo pies może im służyć, nie prawowierny Egipcjanin!...

*) Staroegipskie maksymy.

Ostatnie frazesy Eunana wypowiedział z takim wściekłym gniewem, że faraon rzekł po grecku do Tutmozisa:

— Weź go do gwardji. Oficer, który nie lubi kapłanów, może nam się przydać.

— Jego świątobliwość, pan obu światów, kazał przyjąć cię do swej gwardji — powtórzył Tutmozis.

— Zdrowie i życie moje należy do pana naszego Ramzesa... oby żył wiecznie! — zawołał Eunana i ucałował dywan, leżący pod królewskiemi stopami.

Gdy uszczęśliwiony Eunana cofał się tyłem z namiotu, co parę kroków padając na twarz i błogosławiąc władcę, faraon rzekł:

— W gardle łaskotało mnie jego gadulstwo... Muszę ja nauczyć żołnierzy i oficerów egipskich, aby wyrażali się krótko, nie zaś, jak uczeni pisarze.

— Bodajby on miał tylko tę jedną wadę!... — szepnął Tutmozis, na którym Eunana niemiłe zrobił wrażenie.

Pan wezwał do siebie Samentu.

— Bądź spokojny — powiedział do kapłana.— Ten oficer, który szedł za tobą, nie śledził cię. Jest on za głupi do spełnienia tego rodzaju zleceń... Ale może mieć ciężką rękę na wypadek potrzeby!...

No — dodał faraon — a teraz powiedz, co cię skłania do podobnej ostrożności?

— Prawie już znam drogę do skarbca w Labiryncie — odparł Samentu.

Pan potrząsnął głową.

— Ciężka to rzecz! — szepnął. — Godzinę biegałem po rozmaitych kurytarzach i salach, jak mysz, którą kot goni. I przyznam ci się, że nietylko nie rozumiem tej drogi, ale nawet nie wybrałbym się na nią sam. Śmierć na słońcu może być wesołą; ale śmierć w tych norach, gdzie kret zabłąkałby się! brr!...

— A jednak musimy znaleźć i opanować tę drogę — rzekł Samentu.

— A jeżeli dozorcy sami oddadzą nam potrzebną część skarbów?... — spytał faraon.

— Nie zrobią tego, dopóki żyje Mefres, Herhor i ich poplecznicy. Wierzaj mi, panie, że tym dostojnikom chodzi o to, ażeby owinęli cię w powijaki, jak niemowlę...

Faraon pobladł z gniewu.

— Obym ja nie zawinął ich w łańcuchy!... Jakim sposobem chcesz odkryć drogę?

— Tu, w Abydos, w grobie Ozirisa znalazłem cały plan drogi do skarbca — rzekł kapłan.

— A skąd wiedziałeś, że on tu jest?

— Objaśniły mnie o tem napisy w mojej świątyni Seta.

— Kiedyżeś znalazł plan?

— Gdy mumja wiecznie żyjąca ojca waszej świątobliwości była w świątyni Ozirisa — odparł Samentu. — Towarzyszyłem czcigodnym zwłokom i, będąc na nocnej służbie w Sali Odpoczynku, wszedłem do sanktuarjum.

— Tobie być generałem, nie arcykapła-

nem!... — zawołał, śmiejąc się, Ramzes. — I już rozumiesz drogę Labiryntu?...

— Rozumiem ją oddawna, teraz zebrałem wskazówki do kierowania się.

— Czy możesz mi to objaśnić?

— Owszem, nawet przy okazji pokażę waszej świątobliwości plan.

Droga ta — ciągnął Samentu — przechodzi w zygzak cztery razy przez cały Labirynt; zaczyna się na najwyższem piętrze, kończy się w najniższem podziemiu i posiada jeszcze mnóstwo innych zakrętów. Dlatego jest tak długa.

— A jakże trafisz z jednej sali do drugiej, gdzie jest mnóstwo drzwi?...

— Na każdych drzwiach, prowadzących do celu, znajduje się cząstka zdania:

„Biada zdrajcy, który usiłuje przeniknąć najwyższą tajemnicę państwa i wyciągnąć świętokradzką rękę na majątek bogów. Zwłoki jego będą jako padlina, a duch nie zazna spokoju, lecz będzie się tułał po miejscach ciemnych, szarpany przez własne grzechy...“

— I ciebie nie odstrasza ten napis?

— A waszą świątobliwość odstrasza widok libijskiej włóczni?... Groźby dobre są dla pospólstwa, nie dla mnie, który sam potrafiłbym napisać jeszcze groźniejsze przekleństwa...

Faraon zamyślił się.

— Masz słuszność — rzekł. — Włócznia nie zaszkodzi temu, kto potrafi ją odbić, a mylna droga nie obłąka mędrca, który zna słowo prawdy...

— Jakże jednak sprawisz, ażeby ustępowały przed tobą kamienie w ścianach, i ażeby kolumny zamieniały się na drzwi wchodowe?...

Samentu pogardliwie wzruszył ramionami.

— W mojej świątyni — odparł — są także niedostrzegalne wejścia, nawet trudniej otwierające się, aniżeli w Labiryncie. Kto zna słowo tajemnicy, wszędzie trafi, jak słusznie powiedziałeś, wasza świątobliwość.

Faraon oparł głowę na ręku i wciąż dumał.

— Żalby mi cię było — rzekł — gdybyś na tej drodze spotkał nieszczęście...

— W najgorszym wypadku spotkam śmierć, a czyliż ona nie grozi nawet faraonom?... Czy wreszcie wasza świątobliwość nie szedłeś śmiało nad Jeziora Sodowe, choć nie byłeś pewny, czy stamtąd powrócisz?...

— Nie myśl też, panie — ciągnął kapłan — że ja będę musiał przejść całą drogę, po której chodzą zwiedzający Labirynt. Znajdę bliższe punkty i w ciągu jednej modlitwy do Ozirisa dostanę się tam, gdzie ty, idąc, mogłeś odmówić ze trzydzieści modlitw...

— Alboż tam są inne wyjścia?

— Niezawodnie są, a ja muszę je znaleźć — odparł Samentu. — Nie wejdę przecież, jak wasza świątobliwość, w dzień, ani główną bramą.

— Więc jak?...

— Są w murze zewnętrznym niewidoczne furtki, które znam, a których mądrzy dozorcy Labiryntu nigdy nie pilnują... Na dziedzińcu warty

w nocy są nieliczne i tak ufają opiece bogów, czy trwodze pospólstwa, że najczęściej śpią... Prócz tego trzy razy między zachodem i wschodem słońca kapłani idą na modlitwę do świątyni, a ich żołnierze odbywają praktyki nabożne pod niebem. Zanim skończą jedno nabożeństwo, ja będę w gmachu.

— A jeżeli zabłądzisz?...

— Mam plan.

— A jeżeli plan jest fałszywy? — mówił faraon, nie mogąc ukryć troski.

— A jeżeli wasza świątobliwość nie pozyska skarbów Labiryntu?... Jeżeli Fenicjanie, rozmyśliwszy się, nie dadzą przyobiecanej pożyczki?... Jeżeli wojsko będzie głodne, a nadzieje pospólstwa zostaną zawiedzione?...

— Racz mi wierzyć, panie mój — ciągnął kapłan — że ja wśród kurytarzy Labiryntu będę bezpieczniejszy, aniżeli ty w twojem państwie...

— Ale ciemność... ciemność!... I mury, których nie można przebić, i głębia, i te setki dróg, gdzie człowiek musi się zabłąkać... Wierz mi, Samentu, że walka z ludźmi, to zabawka, ale szamotanie się z cieniem i nieświadomością, to straszna rzecz!...

Samentu się uśmiechnął.

— Wasza świątobliwość — odparł — nie zna mego życia... Kiedym miał lat dwadzieścia pięć, byłem kapłanem Ozirisa...

— Ty?... — zdziwił się Ramzes.

— Ja, i zaraz powiem, dlaczego przeszedłem do służby Seta. Wyprawiono mnie na półwysep Synai, aby tam wybudować małą kaplicę dla gór-

ników. Budowa ciągnęła się sześć lat, ja zaś, mając dużo wolnego czasu, włóczyłem się między górami i zwiedzałem tamtejsze pieczary.

Czego ja tam nie widziałem!...Kurytarze długie na kilka godzin; ciasne wejścia, przez które trzeba było pełzać na brzuchu; izby tak ogromne, że w każdej zmieściłaby się świątynia. Oglądałem podziemne rzeki i jeziora, gmachy z kryształów, jaskinie zupełnie ciemne, w których nie było widać własnej ręki, albo znowu tak widne, jakby w nich świeciło drugie słońce...

Ile razy zbłąkałem się w niezliczonych przejściach, ile razy zgasła mi pochodnia, ile razy stoczyłem się w niewidzialną przepaść!... Bywało, że po kilka dni spędzałem w podziemiach, karmiąc się prażonym jęczmieniem, liżąc wilgoć z mokrych skał, niepewny, czy wrócę na świat.

Zato nabrałem doświadczenia, wzrok zaostrzył mi się i nawet polubiłem te piekielne krainy. A dziś, gdy pomyślę o dziecinnych skrytkach Labiryntu, śmiać mi się chce... Gmachy ludzkie są kretowiskami wobec niezmiernych budowli, wzniesionych przez ciche i niewidzialne duchy ziemi.

Raz jednak spotkałem rzecz straszną, która wpłynęła na zmianę mego stanowiska.

Na zachód od kopalni Synai leży węzeł wąwozów i gór, wśród których często odzywają się podziemne grzmoty, ziemia drży, a niekiedy widać płomienie. Zaciekawiony, wybrałem się tam na czas dłuższy, szukałem i, dzięki niepozornej szczelinie, odkryłem cały łańcuch olbrzymich pieczar,

pod których sklepieniami mogłaby pomieścić się największa piramida.

Kiedy się tam błąkałem, doleciał mnie bardzo silny zapach zgnilizny, tak przykry, że chciałem uciec. Przemógłszy się jednak, wszedłem do pieczary, skąd pochodził, i zobaczyłem...

Racz wyobrazić sobie, panie, człowieka, który ma nogi i ręce o połowę krótsze, niż my, ale grube, niezgrabne i zakończone pazurami. Dodaj temu kształtowi szeroki, z boków spłaszczony ogon, na wierzchu powycinany, jak grzebień koguci; dodaj bardzo długą szyję, a na niej — psią głowę. Nareszcie ubierz tego potwora w zbroję, pokrytą na grzbiecie zagiętemi kolcami...

Teraz pomyśl, że figura ta stoi na nogach, rękoma i piersiami oparta o skałę...

— Coś bardzo brzydkiego—wtrącił faraon.— Zarazbym to zabił...

— To nie było brzydkie — mówił kapłan, wstrząsając się.—Bo pomyśl, panie, że ten potwór był wysoki, jak obelisk...

Ramzes XIII zrobił gest niezadowolenia.

— Samentu — rzekł — zdaje mi się, żeś twoje pieczary zwiedzał we śnie...

— Przysięgam ci, panie, na życie moich dzieci — zawołał kapłan — że mówię prawdę!... Tak jest, ten potwór w skórze gada, okryty kolczastą zbroją, gdyby leżał na ziemi, miałby wraz z ogonem z 50 kroków długości... Pomimo trwogi i odrazy, kilkakrotnie wracałem do jego jaskini i obejrzałem go jak najuważniej...

— Więc on żył?

— Nie. To już był trup, bardzo dawny, ale tak zachowany, jak nasze mumje... Utrzymała go wielka suchość powietrza, a może nieznane mi sole ziemi.

Było to moje ostatnie odkrycie — ciągnął Samentu. — Nie wchodziłem już do jaskiń, alem dużo rozmyślał. Oziris — mówiłem — tworzy wielkie istoty: lwy, słonie, konie... zaś Set rodzi węża, nietoperza, krokodyla... Potwór, którego spotkałem, jest na pewno tworem Seta; a ponieważ przerasta wszystko, co znamy pod słońcem, więc Set jest mocniejszym bogiem, aniżeli Oziris.

Wówczas nawróciłem się do Seta, a przyjechawszy do Egiptu, osiadłem w jego świątyni. Gdym zaś opowiedział kapłanom o mojem odkryciu, objaśnili mnie, że znają nierównie więcej takich potworów.

Samentu odpoczął i mówił dalej:

— Jeżeli kiedy wasza świątobliwość zechce odwiedzić naszą świątynię, pokażę wam w grobach dziwne i straszne istoty: gęsi z jaszczurczemi głowami a skrzydłami nietoperza, jaszczurki podobne do łabędzi, lecz większe od strusiów, krokodyla trzy razy dłuższego, aniżeli te, które mieszkają w Nilu, żabę wielkości psa...

Są to albo mumje, albo szkielety, znalezione w jaskiniach i przechowujące się w naszych grobach. Lud myśli, że my im cześć składamy, a tymczasem my tylko badamy ich budowę i chronimy od zepsucia.

— Uwierzę ci, gdy sam zobaczę — odparł faraon. — Ale powiedz mi, skąd mogłyby się wziąć podobne istoty w jaskiniach?...

— Panie mój — mówił kapłan — świat, na którym żyjemy, ulega wielkim zmianom. Już w samym Egipcie znajdujemy gruzy miast i świątyń głęboko ukryte w ziemi. Był czas, że miejsce Dolnego Egiptu zajmowała odnoga morska, a Nil płynął całą szerokością naszej doliny. Jeszcze dawniej tu, gdzie jest nasze państwo, było morze... Nasi przodkowie zamieszkiwali krainę, którą dziś zajęła pustynia zachodnia...

Jeszcze dawniej, przed dziesiątkami tysięcy lat, nie było ludzi takich, jak my, ale stworzenia podobne do małp, które jednak umiały budować szałasy, podtrzymywać ogień, walczyć maczugami i kamieniami. Wówczas nie było koni ani wołów, ale słonie, nosorożce i lwy — trzy lub cztery razy przechodziły wzrostem dzisiejsze zwierzęta, mające tę samą postać.

Lecz i olbrzymie słonie nie są najstarszemi potworami. Dawniej bowiem od nich żyły niezmierne gady: latające, pływające i chodzące. Przed gadami na tym świecie były tylko ślimaki i ryby, a przed niemi — same rośliny, ale takie, jakich dziś już niema...

— A jeszcze dawniej?... — spytał Ramzes.

— Jeszcze dawniej ziemia była pusta i próżna, a Duch Boży unosił się nad wodami.

— Coś słyszałem o tem — rzekł faraon — ale

nieprędzej uwierzę, aż mi pokażesz mumje potworów, jakie mają spoczywać w waszej świątyni.

— Za pozwoleniem waszej świątobliwości, dokończę, com zaczął — mówił Samentu. — Otóż kiedy w pieczarze Synai zobaczyłem owego ogromnego trupa, zdjął mnie strach, i przez parę lat nie byłbym poszedł do żadnej jaskini. Ale gdy kapłani Seta wytłumaczyli mi, skąd się wzięły tak dziwne istoty, trwoga moja znikła, a ciekawość wzmogła się. I dziś niema dla mnie milszej zabawy, jak błąkać się po podziemiach i szukać dróg wśród ciemności. Z tego powodu Labirynt nie sprawi mi więcej trudów, aniżeli przechadzka po królewskim ogrodzie.

— Samentu — rzekł pan — bardzo cenię twoją nadludzką odwagę i mądrość. Opowiedziałeś mi tyle ciekawych rzeczy, że, zaprawdę, sam nabrałem ochoty do oglądania jaskiń i kiedyś może popłynę razem z tobą do Synai.

Niemniej jednak obawiam się, czy poradzisz sobie z Labiryntem, i na wszelki wypadek zwołam zgromadzenie Egipcjan, aby upoważniło mnie do korzystania ze skarbca.

— To nigdy nie zawadzi — odparł kapłan. — Ale moja praca niemniej będzie potrzebną, bo Mefres i Herhor nie zgodzą się na wydanie skarbu.

— I masz pewność, że ci się uda?... — uporczywie zapytywał faraon.

— Jak Egipt Egiptem — przekonywał go Samentu — nie było człowieka, coby posiadał tyle

środków, co ja, do zwyciężenia w tej walce, która dla mnie nie jest nawet walką, ale zabawą.

Jednych straszy ciemność, którą ja lubię, a nawet widzę wśród niej. Inni nie potrafią kierować się pomiędzy licznemi komnatami i kurytarzami, ja robię to z łatwością. Jeszcze inni nie znają tajemnic otwierania drzwi utajonych, z czem ja jestem obeznany.

Gdybym nic więcej nie posiadał nad to, co wyliczyłem, już w ciągu miesiąca lub dwu odkryłbym drogi w Labiryncie. Ale ja mam jeszcze plan szczegółowy tych przejść i znam wyrazy, które przeprowadzą mnie z sali do sali. Co mi więc może przeszkodzić?...

— A jednak na dnie serca twego leży wątpliwość: zląkłeś się był oficera, który zdawał się iść za tobą...

Kapłan wzruszył ramionami.

— Ja niczego i nikogo nie lękam się — odparł spokojnie — tylko jestem ostrożny. Przewiduję wszystko i jestem nawet na to przygotowany, że mnie złapią...

— Straszne czekałyby cię męki!... — szepnął Ramzes.

— Żadne. Prosto z podziemiów Labiryntu otworzę sobie drzwi do krainy, gdzie panuje wieczne światło.

— I nie będziesz miał do mnie żalu?...

— Za co?... — spytał kapłan. — Dojdę do wielkiego celu: chcę w państwie zająć miejsce Herhora...

— Przysięgam, że je zajmiesz!...

— O ile nie zginę — odparł Samentu. — A że na szczyty gór wchodzi się nad przepaściami, że w tej wędrówce może się pośliznąć noga i spadnę, cóż to znaczy? Ty, panie, zajmiesz się losem moich dzieci.

— A więc idź — rzekł faraon. — Jesteś godzien być najprzedniejszym moim pomocnikiem,

ROZDZIAŁ IX.

Opuściwszy Abydos, Ramzes XIII-ty popłynął wciąż wgórę rzeki do miasta Tan-ta-ren (Dendera) i Kaneh, które leżały prawie naprzeciw siebie: jedno na wschodnim, drugie na zachodnim brzegu Nilu.

W Tan-ta-ren były dwa miejsca znakomite: sadzawka, w której hodowano krokodyle, i świątynia Hator, posiadająca wyższą szkołę. Tu uczono medycyny, pieśni pobożnych, sposobów odprawiania nabożeństw, wreszcie astronomji.

Faraon był tu i tam. Zirytował się, gdy mu kazano palić kadzidła przed świętemi krokodylami, które uważał za gady śmierdzące i głupie. A gdy jeden z nich w czasie ofiary, zanadto wysunąwszy się, chwycił pana zębami za szatę, Ramzes tak trzasnął go w łeb bronzową łyżką, że gad na chwilę zamknął oczy i rozstawił łapy; potem cofnął się i wlazł w wodę, jakby zrozumiawszy, że młody władca nawet ze strony bogów nie lubi poufałości.

— A może popełniłem świętokradztwo? — zapytał arcykapłana.

Dostojnik spojrzał z pod oka, czy kto nie podsłuchuje, i odparł:

— Gdybym wiedział, że wasza świątobliwość taką zrobisz mu ofiarę, podałbym wam maczugę, a nie kadzielnicę. Ten krokodyl, to najnieznośniejsze bydlę w całej świątyni... Raz porwał dziecko...

— I zjadł?...

— Rodzice byli kontenci!... — rzekł kapłan.

— Powiedz mi — spytał po namyśle faraon— jakim sposobem wy, ludzie mądrzy, możecie składać hołdy zwierzętom, które w dodatku, gdy niema widzów, okładacie kijami!...

Arcykapłan jeszcze raz obejrzał się, a widząc, że w bliskości niema nikogo, odpowiedział:

— Przecież chyba ty, władco, nie posądzisz wyznawców Jedynego Boga o wiarę w świętość zwierząt... To, co się robi, robi się dla motłochu... Byk Apis, którego niby czczą kapłani, jest najpiękniejszym bykiem w całym Egipcie i utrzymuje naszą rasę bydła. Ibisy i bociany oczyszczają z padliny nasze pola; dzięki kotom — myszy nie niszczą nam zapasów zboża, a dzięki krokodylom mamy dobrą wodę w Nilu, którą, bez ich pomocy, trulibyśmy się...

Tymczasem lekkomyślne i ciemne pospólstwo nie rozumie pożytku z tych zwierząt i wytępiłoby je w ciągu roku, gdybyśmy nie zabezpieczyli ich bytu ceremonjami religijnemi.

Oto sekret naszych świątyń, przeznaczonych

dla zwierząt, naszego nabożeństwa do nich. Okadzamy to, co lud powinien szanować, bo ma z tego pożytek.

W świątyni Hator faraon prędko przebiegł dziedzińce szkoły medycznej i bez wielkiego zapału wysłuchał wróżb, jakie stawiali mu astrologowie. Gdy zaś arcykapłan-astronom pokazał mu złotą tablicę, na której była wyrytowana mapa nieba, pan zapytał:

— Jak też często sprawdzają się wasze przepowiednie, które odczytujecie w gwiazdach?

— Czasem sprawdzają się.

— A gdybyście wróżyli ludziom z drzew, kamieni albo biegu wody, to także sprawdzałoby się?

Arcykapłan zakłopotał się.

— Wasza świątobliwość nie chciej uważać nas za oszustów. Przepowiadamy ludziom przyszłość, bo ona ich obchodzi i, coprawda, tyle rozumieją z astronomji.

— A wy co rozumiecie?

— Znamy — mówił kapłan — budowę sklepienia niebieskiego i ruchy gwiazd...

— Cóż z tego przyjdzie komu?...

— Niemałe usługi oddaliśmy Egiptowi. My wskazujemy główne kierunki, według których wznoszą się budowle i kopią kanały. Bez pomocy naszej nauki okręty, pływające po morzu, nie mogłyby oddalać się od brzegów. My wreszcie układamy kalendarz i obrachowujemy przyszłe zjawiska na niebie. Ot i teraz niedługo będziemy mieli zaćmienie...

Ale Ramzes już go nie słuchał; odwrócił się i wyszedł.

„Jak można — myślał faraon — budować świątynie dla tak dziecinnej zabawki i jeszcze rezultaty jej ryć na złotych tablicach?... święci mężowie już nie wiedzą, czego się chwytać z próżniactwa!...“

Krótko zabawiwszy w Tan-ta-ren, władca przeprawił się na drugą stronę Nilu, do miasta Kaneh.

Tam nie było sławnych świątyń, okadzanych krokodylów i złotych tablic z gwiazdami. Natomiast kwitnęło garncarstwo i handel. Stamtąd szły dwa trakty do portów morza Czerwonego: Koseir i Berenice, tudzież gościniec do gór porfirowych, skąd przywożono posągi i wielkie bryły budulca.

Kaneh roiło się też od Fenicjan, którzy z ogromnym zapałem przyjęli władcę i ofiarowali mu rozmaitych kosztowności za 10 talentów.

Mimo to, faraon ledwie jeden dzień zabawił w Kaneh; dano mu bowiem z Tebów znać, że czcigodna mumja Ramzesa XII-go już znajduje się w pałacu Luksor i czeka na pogrzeb.

W owej epoce Teby były miastem ogromnem i zajmowały około 12 kilometrów kwadratowych powierzchni. Posiadały one największą w Egipcie świątynię Amona, tudzież mnóstwo gmachów publicznych i prywatnych. Główne ulice były szerokie, proste i wyłożone kamiennemi płytami, brzegi Nilu obulwarowane, domy cztero- i pięcio-piętrowe.

Ponieważ każda świątynia i pałac miały ogromną bramę z pylonami, nazywano więc Teby

miastem „stubramowem". Właściwie były one miastem z jednej strony — bardzo przemysłowem i handlowem, z drugiej — jakby progiem do wieczności. Albowiem na zachodnim brzegu Nilu, w górach i między górami znajdowała się niezliczona ilość grobów kapłańskich, magnackich i królewskich.

Wspaniałość swoją Teby zawdzięczały dwom faraonom: Amenofisowi III-ciemu czyli Memnonowi, który zastał „miasto gliniane a zostawił kamienne", i Ramzesowi II-mu, który wykończył i uzupełnił gmachy, rozpoczęte przez Amenofisa.

Na wschodnim brzegu Nilu, w stronie południowej miasta była cała dzielnica ogromnych budowli królewskich: pałaców, willi, świątyń, na których gruzach dziś wznosi się miasteczko Luksor. W tej dzielnicy zwłoki faraona oczekiwały na ostateczne ceremonje.

Gdy przyjechał Ramzes XIII-ty, całe Teby wyległy na powitanie go; w domach zostali tylko starcy i kalecy, a w zaułkach złodzieje... Tu po raz pierwszy lud wyprzągł konie z królewskiego wozu i sam go ciągnął. Tu również po raz pierwszy faraon usłyszał okrzyki i złorzeczenia przeciw kapłanom, co go ucieszyło, tudzież wołania, aby każdy siódmy dzień był świętem, co zastanowiło władcę. Pragnął on dać taki podarunek pracującemu Egiptowi, ale nie myślał, że jego zamiary stały się już głośnemi, i naród oczekuje ich spełnienia.

Milowa podróż ciągnęła się parę godzin wśród zbitych tłumów. Wóz królewski bardzo często za-

trzymywał się między ciżbą i nieprędzej ruszał, aż gwardji jego świątobliwości udało się podnieść tych, którzy leżeli plackiem na ziemi.

Dobiwszy się wreszcie do pałacowych ogrodów, gdzie zajął jedną z mniejszych willi, faraon był tak zmęczony, że tego dnia nie zajmował się interesami państwa. Zaś na drugi dzień spalił kadzidła przed mumją ojca, która stała w królewskim gmachu głównym, i powiedział Herhorowi, że można zwłoki przeprowadzić do grobów.

Nie odbyło się to jednak natychmiast.

Z pałacu przewieziono zmarłego do świątyni Ramzesa, gdzie dobę odpoczywał. Następnie z ogromnym przepychem wprowadzono mumję do świątyni Amona-Ra.

Szczegóły obrzędu pogrzebowego były takie same, jak w Memfis, choć w nierównie większych proporcjach.

Pałace królewskie, które na prawym brzegu Nilu leżały w stronie południowej miasta, ze świątynią Amona-Ra, która znajdowała się w północnej jego części, łączyła jedyna w swoim rodzaju droga. Była to aleja długa na dwa kilometry, bardzo szeroka, wysadzona nietylko ogromnemi drzewami, ale jeszcze podwójnym rzędem sfinksów. Jedne z nich miały przy lwich ciałach głowy ludzkie, inne — głowy baranie. Posągów tych wzdłuż drogi stało kilkaset.

Po obu stronach alei cisnęły się nieprzebrane tłumy ludu z Teb i okolic; środkiem zaś gościńca posuwał się orszak pogrzebowy. Więc szły muzyki

rozmaitych pułków, oddziały płaczek, chóry śpiewaków, wszystkie cechy rzemieślnicze i kupieckie, deputacje kilkudziesięciu nomesów ze swojemi bogami i chorągwiami, deputacje kilkunastu narodów, utrzymujących stosunek z Egiptem... I znowu muzyka, płaczki i chóry kapłańskie.

I tym razem mumja królewska jechała w złotej łodzi, ale nierównie kosztowniejszej niż w Memfisie. Wóz, który ją dźwigał, zaprzężony w osiem par białych wołów, miał ze dwa piętra wysokości i prawie znikał pod stosami wieńców, bukietów, strusich piór i drogocennych tkanin. Otaczały go gęste kłęby dymu z kadzideł, co robiło wrażenie, iż Ramzes XII-ty ukazuje się swojemu narodowi już jako bóg, w obłokach.

Z pylonów wszystkich świątyń tebańskich odzywały się odgłosy, podobne do grzmotu, tudzież potężne a rzewne dźwięki blach śpiżowych.

Pomimo, że aleja sfinksów była wolna i szeroka, mimo, że pochód odbywał się pod kierunkiem egipskich generałów, a więc w największym porządku, niemniej na przejście owych dwu kilometrów, oddzielających pałace od gmachów Amona, orszak zużył trzy godziny.

Dopiero, gdy mumję Ramzesa XII-go wniesiono do świątyni, z pałacu, na złotym wozie, ciągnionym przez parę dzielnych koni, wyjechał Ramzes XIII-ty. Lud, stojący wzdłuż alei, który w czasie procesji zachowywał się spokojnie, na widok ukochanego władcy, wybuchnął tak ogromnym okrzy-

kiem, że w nim rozpłynęły się grzmoty i dźwięki ze szczytu świątyń.

Była chwila, że uniesione zapałem pospólstwo chciało wybiec na środek alei i otoczyć pana. Ale Ramzes jednym znakiem ręki powstrzymał żyjącą powódź i zapobiegł świętokradztwu.

W ciągu kilkunastu minut faraon przejechał gościniec i stanął przed olbrzymiemi pylonami najwspanialszej świątyni w Egipcie.

Jak Luksor był całą dzielnicą pałaców królewskich w południowej, tak Karnak był dzielnicą bogów w północnej stronie miasta. Głównem zaś ogniskiem Karnaku była świątynia Amona-Ra.

Sam ten gmach zajmował cztery morgi powierzchni, a otaczające go ogrody i stawy około czterdziestu morgów. Przed świątynią stały dwa pylony, wysokie na dziesięć piętr. Podwórze, otoczone wspartym na kolumnach kurytarzem, zajmowało blisko dwie morgi, zaś sala kolumnowa, w której gromadziły się stany uprzywilejowane, miała morgę rozległości. Nie był to już gmach, ale — okolica.

Owa sala, czy hipostyl, miała przeszło sto pięćdziesiąt kroków długości i siedemdziesiąt pięć szerokości, jej zaś sufit opierał się na stu trzydziestu czterech kolumnach. Z pomiędzy nich dwanaście środkowych słupów miało po piętnaście kroków obwodu i pięć do sześciu piętr wysokości!...

Posągi, rozmieszczone w świątyni, obok pylonów i nad świętym stawem, miały odpowiednie proporcje.

W olbrzymiej bramie czekał na faraona dostojny Herhor, arcykapłan tej świątyni. Otoczony całym sztabem kapłanów, Herhor powitał władcę prawie dumnie, a paląc przed nim kadzidło, nie patrzył na niego. Potem przez dziedziniec zaprowadził faraona do hipostylu i wydał rozkaz wpuszczenia deputacji w obręb świątyniowego muru.

Na środku hipostylu stała łódź z mumją zmarłego władcy, a po obu jej stronach, naprzeciw siebie — dwa jednakowo wysokie trony. Na jednym zasiadł Ramzes XIII-ty, otoczony przez generałów i nomarchów, na drugim — Herhor, otoczony przez kapłanów. Poczem arcykapłan Mefres podał Herhorowi infułę Amenhotepa, a młody faraon po raz drugi na głowie Herhora zobaczył złotego węża, symbol władzy królewskiej.

Ramzes pobladł z gniewu i pomyślał:

„Obym nie potrzebował zdjąć ci ureusza razem z twoją głową!...“

Ale milczał, wiedząc, że w tej największej świątyni egipskiej Herhor jest panem równym bogom i mocarzom, bodaj czy nie wyższym od samego faraona.

Przez ten czas, gdy lud napełniał dziedziniec, a za purpurową zasłoną, oddzielającą od śmiertelnych resztę świątyni, odezwały się arfy i ciche śpiewy, Ramzes przypatrywał się sali. Cały las potężnych kolumn, od góry do dołu okrytych malowidłami, tajemnicze oświetlenie, sufit, zawieszony gdzieś pod niebem, przytłaczające wywarły na nim wrażenie.

„Co to znaczy — myślał — wygrać bitwę nad Sodowemi Jeziorami?... Zbudować taki gmach, to jest dzieło!... A przecież oni go wznieśli...“

W tej chwili odczuł potęgę kapłańskiego stanu. Czyliż on, jego wojsko, a nawet cały lud potrafiłby obalić tę świątynię?... A jeżeli trudno poradzić sobie z gmachem, czy będzie łatwiej uporać się z jego budowniczymi?...

Z przykrych medytacyj wyrwał go głos arcykapłana Mefresa.

— Wasza świątobliwość — mówił starzec — ty najdostojniejszy powierniku bogów (tu skłonił się Herhorowi), wy nomarchowie, pisarze, rycerze i ludu pospolity! Najdostojniejszy arcykapłan tej świątyni, Herhor, wezwał was, abyśmy starym obyczajem osądzili ziemskie postępki zmarłego faraona i odmówili mu lub przyznali — prawo pogrzebu...

Gniew uderzył do głowy faraonowi. Niedość, że jego lekceważą w tem miejscu, ale jeszcze śmią rozprawiać o czynach ojca, decydować o pogrzebie!...

Ale uspokoił się. Była to tylko formalność, tak wreszcie stara, jak egipskie dynastje. Nie chodziło w niej naprawdę o sąd, ale o pochwałę dla zmarłego.

Na znak, dany przez Herhora, arcykapłani zasiedli na taboretach. Ale nomarchowie ani generałowie, otaczający tron Ramzesa, nie usiedli: dla nich bowiem nie było krzeseł.

Faraon zapamiętał i tę zniewagę; ale już tak

panował nad sobą, że nie można było poznać, czy dostrzegł lekceważenie swoich bliskich.

Tymczasem święty Mefres zastanawiał się nad życiem zmarłego pana.

— Ramzes XII-ty — mówił — nie popełnił żadnego z czterdziestu dwóch grzechów, więc sąd bogów wyda dla niego wyrok łaskawy. A że nadto mumja królewska, dzięki wyjątkowej troskliwości kapłanów, jest zaopatrzona we wszystkie amulety, modlitwy, przepisy i zaklęcia, zatem nie ulega kwestji, że zmarły faraon jest już w mieszkaniu bogów, zasiada obok Ozirisa i jest sam Ozirisem.

Boska natura Ramzesa XII-go objawiała się już w ziemskiem życiu. Panował przeszło trzydzieści lat, dał narodowi głęboki spokój i wybudował lub dokończył wielu świątyń. Prócz tego sam był arcykapłanem i najpobożniejszych kapłanów prześcigał pobożnością. W jego panowaniu pierwsze miejsce zajmowała cześć bogów i podźwignięcie świętego stanu kapłańskiego. Za co też kochały go moce niebieskie, a jeden z tebańskich bożków, Chonsu, na prośbę faraona raczył się udać do kraju Buchten i tam wypędził złego ducha z córki królewskiej.

Mefres odpoczął i znowu mówił dalej:

— Gdy dowiodłem wam, dostojnicy, że Ramzes XII-ty był bogiem, zapytacie, w jakim celu ta wyższa istota zstąpiła na ziemię egipską i kilkadziesiąt lat spędziła na niej?

Oto w tym celu, ażeby poprawić świat, który jest bardzo zepsuty skutkiem upadku wiary.

Kto bowiem dziś zajmuje się pobożnością, kto myśli o spełnianiu woli bogów?

Na dalekiej północy widzimy duży naród asyryjski, który wierzy tylko w siłę miecza, a zamiast mądrością i nabożeństwem, zajmuje się podbijaniem ludów. Bliżej nas siedzą Fenicjanie, dla których bogiem jest złoto, a nabożeństwem oszukiwanie i lichwa. Inne wreszcie ludy, jak Chetowie na wschodzie, Libijczycy na zachodzie, Etjopowie na południu i Grecy na morzu Śródziemnem, są to barbarzyńcy i rabusie. Zamiast pracować, kradną, a zamiast ćwiczyć się w mądrości, piją, grają w kości, albo wysypiają się, jak strudzone bydlęta.

Na świecie jest jeden tylko naród prawdziwie pobożny i mądry — egipski; lecz zobaczcie, co się i tutaj dzieje?

Skutkiem napływu cudzoziemców, pozbawionych wiary, religja u nas upadła. Szlachta i dostojnicy przy kubkach wina drwią z bogów i wiecznego życia, a lud obrzuca błotem święte posągi i nie składa ofiar świątyniom.

Miejsce pobożności zajął zbytek, mądrości — rozpusta. Każdy chce nosić ogromne peruki, namaszczać się osobliwemi woniami, posiadać tkane złotem koszule i fartuszki, stroić się w łańcuchy i bransolety, wysadzane drogiemi kamieniami. Placek pszenny już mu nie wystarcza: on chce ciastka z mlekiem i miodem; piwem myje nogi, zaś pragnienie gasi zagranicznemi winami.

Skutkiem tego cała szlachta jest zadłużona,

lud bity i przeciążony pracą, tu i ówdzie wybuchają bunty. Co mówię: tu i ówdzie?... Od pewnego czasu, jak długi i szeroki Egipt, dzięki tajemniczym burzycielom, słyszymy okrzyk:

„Dajcie nam co sześć dni odpoczynek!... Nie bijcie nas bez sądu!... Darujcie nam po zagonie ziemi na własność!...“

Jest to zapowiedź ruiny naszego państwa, przeciw której trzeba znaleźć ratunek. Ratunek zaś jest tylko w religji, która uczy nas, że lud powinien pracować, mężowie święci, jako znający wolę bogów, powinni mu wskazywać pracę, a faraon i jego dostojnicy winni czuwać, ażeby praca była rzetelnie spełniana.

Tego nas uczy religja; według tych zasad rządził państwem równy bogom Oziris-Ramzes XII-ty. My zaś, arcykapłani, uznając jego pobożność, ten napis wyryjemy mu na grobie i w świątyniach:

„Horus wół, Apis silny, który połączył korony królestwa, krogulec złoty, rządzący szablą, zwycięzca dziewięciu narodów, król wyższego i niższego Egiptu, władca dwu światów, syn słońca, Amen-mer-Ramessu, ukochany przez Amon-Ra, pan i władca Tebaidy, syn Amon-Ra, przybrany za syna przez Horusa, a spłodzony przez Hormacha, król Egiptu, władca Fenicji, panujący nad dziewięcioma narodami“ *).

Gdy wniosek ten zebrani zatwierdzili okrzy-

*) Nagrobek autentyczny.

kiem, wybiegły z poza zasłony tancerki i wykonały przed sarkofagiem święty taniec, a kapłani zapalili kadzidła. Poczem zdjęto mumję z łodzi i wniesiono do sanktuarjum Amona, dokąd Ramzes XIII-ty już nie miał prawa wchodzić.

Niebawem nabożeństwo skończyło się i zebrani opuścili świątynię.

Wracając do pałacu Luksor, młody faraon był tak pogrążony w myślach, że prawie nie dostrzegał niezmiernego tłumu i nie słyszał jego okrzyków.

„Nie mogę oszukiwać własnego serca — mówił do siebie Ramzes. — Arcykapłani lekceważą mnie, co nie spotkało dotychczas żadnego faraona; ba! nawet wskazują mi, w jaki sposób mogę odzyskać ich łaskę. Oni chcą rządzić państwem, a ja mam pilnować, ażeby wykonywano ich rozkazy...

Otóż będzie inaczej: ja rozkazuję, a wy musicie spełniać... I albo zginę, albo na waszych karkach oprę moją królewską nogę...“

Przez dwa dni, czcigodna mumja Ramzesa XII-go przebywała w świątyni Amona Ra, w miejscu tak boskiem, że, z wyjątkiem Herhora i Mefresa, nawet arcykapłani wchodzić tam nie mogli. Przed zmarłym świeciła się jedna tylko lampa, której płomień, podniecany cudownym sposobem, nigdy nie gasnął. Nad zmarłym unosił się symbol duszy, krogulec z ludzką głową. Czy to była machina, czy naprawdę żywa istota, nikt nie wiedział. To pewne, że kapłani, którzy mieli odwagę spojrzeć ukradkiem na zasłonę, widzieli, że istota owa wisiała w powie-

trzu bez podparcia, poruszając przytem ustami i oczyma.

Nastąpił dalszy ciąg pogrzebu, i łódź złota powiozła zmarłego już na drugą stronę Nilu. Pierwej jednak, otoczona ogromnym orszakiem: kapłanów, płaczek, wojska i śpiewu, przejechała główną ulicę Tebów.

Była to chyba najpiękniejsza ulica w egipskiem państwie: szeroka, gładka, wysadzona drzewami. Cztero-, a nawet pięcio-piętrowe domy jej, od góry do dołu były wyłożone mozaiką, lub pokryte kolorowemi płaskorzeźbami. Co wyglądało tak, jakby na owych budowlach zawieszono olbrzymie, barwne dywany, lub zasłonięto je kolosalnemi obrazami, które przedstawiały pracę kupców, rzemieślników, żeglarzy, tudzież dalekie kraje i ludy.

Słowem, była to nie ulica, a raczej niezmierna galerja obrazów, barbarzyńskich pod względem rysunków, jaskrawych pod względem kolorów.

Orszak pogrzebowy posuwał się około dwu kilometrów z północy na południe. Mniej więcej we środku miasta zatrzymał się, a potem skręcił na zachód ku Nilowi.

W tem miejscu wśród rzeki znajdowała się duża wyspa, do której prowadził most, zbudowany na czółnach. Ażeby uniknąć wypadku, generałowie, komenderujący procesją, jeszcze raz uszykowali orszak, ustawili po czterech ludzi w szeregu i nakazali im posuwać się bardzo wolno, unikając rytmicznych stąpań. W tym celu muzyki, idące na czele gromady, grały pieśni, każda w innym takcie.

Po paru godzinach procesja przeszła pierwszy most, potem wyspę, potem drugi most i — znalazła się na lewym, zachodnim brzegu Nilu.

Jeżeli wschodnią połowę Tebów można nazwać miastem bogów i królów, to zachodnia była dzielnicą pamiątkowych świątyń i grobów.

Orszak posuwał się od Nilu w stronę gór, drogą środkową. Na południe od tej drogi stała świątynia, upamiętniająca zwycięstwa Ramzesa III-go, której ściany były pokryte wizerunkami ludów podbitych: Chetów, Amorejczyków, Filistynów, Etjopów, Arabów, Libijczyków. Trochę poniżej wznosiły się dwa kolosalne posągi Amenhotepa II-go, których wysokość, mimo siedzącej postawy, odpowiadała pięciu piętrom. Jedna z tych statui odznaczała się cudowną własnością: gdy padły promienie wschodzącego słońca, posąg wydawał dźwięki, niby arfa, której struny zrywają.

Jeszcze bliżej drogi, wciąż na lewo od niej, stało Ramesemu, niezbyt wielka, ale piękna świątynia Ramzesa II-go. Jej przysionku pilnowały posągi stojące, z królewskiemi insygniami w rękach. Na dziedzińcu zaś wznosił się również posąg Ramzesa II-go, wysoki na cztery piętra.

Droga szła wciąż łagodnie pod górę i coraz wyraźniej widać było bardziej spadziste wzgórza, podziurawione, jak gąbka: były to groby egipskich dostojników. Przy wejściu do nich, między stromemi skałami, leżała bardzo oryginalna świątynia królowej Hatasu. Budynek ten miał 450 kroków długo-

ści. Z dziedzińca, otoczonego murem, wchodziło się po schodach na dziedziniec, otoczony kolumnami, pod którym była świątynia podziemna. Z dziedzińca zaś kolumnowego wchodziło się znowu po schodach do świątyni już wykutej w skale, pod którą były znowu podziemia.

Tym sposobem świątynia miała dwie kondygnacje: niższą i wyższą, z których jeszcze każda dzieliła się na górną i dolną. Schody były ogromne, opatrzone zamiast poręczy — dwoma rzędami sfinksów; wejścia na każde schody pilnowały po dwa siedzące posągi.

Od świątyni Hatasu zaczynał się ponury wąwóz, który od grobów dygnitarzy prowadził do grobów królewskich. Zaś między dwiema temi dzielnicami, znajduje się wykuty w skale grób arcykapłana Retemenofa; komnaty i kurytarze, tworzące go, zajmowały około dwu morgów podziemnej powierzchni.

Droga w wąwozie staje się tak stromą, że wołom ciągnącym muszą pomagać ludzie i popychać łódź żałobną. Orszak posuwa się, jakby po gzemsie, wykutym z boku skały, wreszcie zatrzymuje się na obszernym placu o kilkanaście piętr nad dnem wąwozu.

Tu znajdują się drzwi, prowadzące do podziemnego grobu, który budował sobie faraon przez 30 lat panowania. Grób ten, to cały pałac z komnatami dla pana, rodziny i służby, z jadalnią, sypialnią i łazienką, z kaplicami, poświęconemi różnym bo-

gom, a nareszcie — ze studnią, na której dnie znajduje się mały pokoik, gdzie na wieki spocznie mumja faraona.

Przy blasku jaskrawych pochodni, widać ściany wszystkich komnat, pokryte modlitwami i obrazami, które odtwarzają wszystkie zajęcia i rozrywki zmarłego: polowania, budowę świątyń i kanałów, triumfalne przejazdy, uroczystości odprawiane na cześć bogów, walki wojsk z nieprzyjaciółmi, pracę...

Niedość na tem: pokoje bowiem nietylko są zastawione sprzętami, naczyniami, wozami i bronią, kwiatami, mięsem, ciastem i winem, ale jeszcze znajduje się w nich mnóstwo posągów. Są to liczne wizerunki Ramzesa XII-go, jego kapłanów, ministrów, kobiet, żołnierzy i niewolników. Pan bowiem i na tamtym świecie nie może obejść się bez kosztownych sprzętów, wykwintnego jadła i wiernej służby.

Gdy wóz żałobny zatrzymał się u wejścia do grobu, kapłani wyjęli mumję królewską z sarkofagu i postawili ją na ziemi, opartą plecami o skałę. Wówczas Ramzes XIII-ty spalił przed zwłokami ojca kadzidło, a królowa Nikotris, objąwszy mumję za szyję, poczęła mówić z płaczem:

— „Jam jest siostra twoja, żona twoja Nikotris, nie opuszczaj mnie, o wielki! Czy istotnie pragniesz, mój dobry ojcze, abym się oddaliła? A jeżeli ja odejdę, zostaniesz sam, i czy ktokolwiek będzie z tobą?...“ *)

*) Autentyczne.

W tej chwili arcykapłan Herhor spalił kadzidło przed mumją, a Mefres rozlał wino i rzekł:

— „Twemu sobowtórowi ofiarujemy to, Ozirisie-Mer-amen-Ramzesie, władco górnego i dolnego Egiptu, którego głos jest sprawiedliwy przed wielkim bogiem!“

Potem odezwały się płaczki i chóry kapłanów:

Chór I-szy. „Skarżcie się, skarżcie, płaczcie, płaczcie, bez ustanku płaczcie, tak głośno, jak tylko możecie...

Płaczki. O dostojny podróżniku, który kierujesz swe kroki do ziemi wieczności, jakże prędko wydzierają nam ciebie!...

Chór II-gi. Jakże pięknem jest, co mu się dzieje! Ponieważ on bardzo kochał Chonsu z Teb, więc bóg pozwolił mu osiągnąć zachód, w świecie pokoleń sług jego.

Płaczki. O ty, którego otaczało tylu sług, będziesz teraz w ziemi, która nakazuje samotność... Ty, który miałeś cienkie szaty i lubiłeś czystą bieliznę, leżysz teraz we wczorajszej odzieży!...

Chór I-szy. W pokoju, w pokoju na Zachód, o panie nasz, idź w pokoju... Ujrzymy cię znowu, gdy dzień wieczności nadejdzie, albowiem idziesz do kraju, który łączy z sobą wszystkich ludzi“ *).

Zaczęły się ostateczne ceremonje.

---

*) Autentyczne.

Przyprowadzono wołu i antylopę, które powinien zabić Ramzes XIII-ty, ale zabił jego zastępca wobec bogów, arcykapłan Sem. Niżsi kapłani szybko oprawili zwierzęta, poczem Herhor i Mefres, wziąwszy udźce ich, kolejno przykładali je do ust mumji. Ale mumja jeść nie chciała, była bowiem jeszcze nie ożywiona, a usta jej zamknięte.

Aby usunąć tę przeszkodę, Mefres obmył ją świętą wodą i okadził wonnościami i ałunem, mówiąc:

— „Oto stoi mój ojciec, oto stoi Oziris-Mer-amen-Ramzes. Ja jestem twoim synem, jestem Horusem, przychodzę do ciebie, aby cię oczyścić i zrobić żywym... Składam napowrót twoje kości, spajam, co było przecięte, gdyż jestem Horus, mściciel ojca mojego... Zasiadasz na tronie Re, który z Nut pochodzi, które rodzi Re każdego poranku, który rodzi Mer-amen-Ramzesa codziennie tak, jak Re“ *).

Mówiąc tak, arcykapłan dotykał amuletami ust, piersi, rąk i nóg mumji.

Teraz znów odezwały się chóry.

Chór I-szy. „Oziris Mer-amen-Ramzes będzie odtąd jadał i pijał wszystko, co jedzą i piją bogowie. Zasiada na ich miejscu, jest zdrów i silny, jak oni...

Chór II-gi. Ma władzę we wszystkich członkach swoich; nienawistnem mu jest, gdy, będąc głodnym, jeść nie może, i gdy jest spragnionym, a pić nie może.

*) Autentyczne.

Chór I-szy. O bogowie, użyczcie Ozirisowi-Mer-amen-Ramzesowi tysiące tysięcy kruż wina, tysiące szat, chlebów i wołów...

Chór II-gi. O wy, żyjący na ziemi, którzy tędy przechodzić będziecie, jeżeli wam życie miłe, a śmierć obrzydła, jeżeli pragniecie, ażeby dostojeństwa wasze przeszły na wasze potomstwo, odmawiajcie tę modlitwę, za pochowanym tu nieboszczykiem...

Mefres. O wy wielcy, wy prorocy, wy książęta, pisarze i faraonowie, wy inni ludzie, którzy za miljon lat po mnie przyjdziecie, gdyby kto z was na miejscu mego nazwiska położył swoje, Bóg go skarze zniszczeniem jego osoby na tej ziemi..." *).

Po tem zaklęciu kapłani zapalili pochodnię, wzięli mumję królewską i znowu włożyli ją do skrzyni, a ze skrzynią do kamiennego sarkofagu, który w ogólnych zarysach miał ludzką formę. Następnie, pomimo krzyku, rozpaczy i oporu płaczek, zanieśli ogromny ten ciężar do grobu.

Minąwszy, przy świetle pochodni, kilka kurytarzy i komnat, zatrzymali się w jednej, gdzie była studnia. W otwór ten spuścili sarkofag i sami weszli za nim do podziemi dolnych. Tam ustawili sarkofag w ciasnym pokoiku i szybko zamurowali otwór tak, że najwprawniejsze oko nie odkryłoby wejścia do grobu. Następnie wrócili na górę i z równą starannością zamurowali wejście do studni.

---

*) Autentyczne.

Wszystko to wykonali sami kapłani, bez świadków, a wykonali tak dokładnie, że mumja Ramzesa XII-go po dziś dzień spoczywa w swem tajemniczem mieszkaniu, zarówno bezpieczna od złodziejów, jak i od nowożytnej ciekawości. W ciągu 29-ciu wieków wiele mogił królewskich zgwałcono; ale ta została nietkniętą.

Przez ten czas, gdy jedna grupa kapłanów ukrywała zwłoki pobożnego faraona, inna grupa, oświetliwszy podziemne komnaty, zaprosiła żyjących na ucztę.

Weszli do sali jadalnej: Ramzes XIII-ty, królowa Nikotris i Sem, tudzież kilkunastu cywilnych i wojskowych dostojników. Na środku komnaty stały stoły zapełnione potrawami, winem i kwiatami, a pod ścianą siedział wykuty z porfiru posąg zmarłego pana. Zdawał on się patrzeć na obecnych i z melancholijnym uśmiechem zapraszać ich, aby jedli.

Uczta zaczęła się świętym tańcem, któremu towarzyszył śpiew jednej z najwyższych kapłanek:

„Używajcie dni szczęścia, bo życie trwa tylko jedną chwilę... Używajcie szczęścia, bo gdy wejdziecie do grobu, spoczniecie tam na wieki, na całą długość każdego dnia!...“ *).

Po kapłance wystąpił prorok i przy akompanjamencie arf mówił śpiewającym głosem:

„Świat jest ciągłą zmianą i ciągłem odnawia-

*) Autentyczne.

niem. Mądry to układ losu, godne podziwu postanowienie Ozirisa, że w miarę, jak ciało z ubiegłych czasów ulega zniszczeniu i ginie, zostają po niem inne ciała...

Faraonowie, ci bogowie, którzy byli przed nami, spoczywają w swych piramidach; mumje i sobowtóry ich zostały. Choć pałace, które zbudowali, nie znajdują się już na dawnych miejscach, niema ich wcale...

Nie rozpaczaj więc, ale oddaj się swoim żądzom i szczęściu, i nie zużywaj twego serca, aż przyjdzie dla ciebie dzień, kiedy błagać będziesz, a Oziris, bóg, którego serce już nie bije, nie zechce wysłuchać próśb i błagań...

Żale całego świata nie wrócą szczęścia człowiekowi, który leży w mogile; używaj dni szczęścia i nie bądź leniwym w radości. Zaprawdę, niema człowieka, któryby mógł zabrać z sobą dobro swoje na tamten świat — zaprawdę, niema człowieka, któryby tam poszedł i wrócił!..." *).

Uczta skończyła się, i dostojne zebranie, jeszcze raz okadziwszy posąg zmarłego, zabrało się zpowrotem do Tebów. W świątyni grobowej zostali tylko kapłani, aby regularnie składać panu ofiary, tudzież straż, pilnująca grobu przeciw świętokradzkim pokuszeniom złodziejów.

Odtąd Ramzes XII-ty został sam w swej tajemnej komnacie. Przez małe a ukryte w skale

*) Autentyczne.

okienko, ledwie wdzierał się do niego mrok; zamiast piór strusich, nad panem szeleściły skrzydła ogromnych nietoperzy; zamiast muzyki, rozlegały się w nocnej porze jękliwe wycia hien i kiedy niekiedy potężny głos lwa, który ze swej pustyni pozdrawiał faraona w grobie.

ROZDZIAŁ X.

Po pogrzebie faraona Egipt wrócił do zwykłego trybu życia, a Ramzes XIII-ty do spraw państwowych.

Nowy władca w miesiącu Epifji (kwiecień, maj) zwiedził miasta, położone za Tebami, wzdłuż Nilu. Był więc w Sni, mieście bardzo przemysłowem i handlowem, gdzie znajdowała się świątynia Knepha, czyli „duszy świata". Zwiedził Edfu, którego świątynia, o 10-cio piętrowych pylonach, posiadała ogromną bibljotekę papirusów, a na ścianach miała wypisaną i wymalowaną jakby encyklopedję ówczesnej geografji, astronomji i teologji. Wstąpił do łomów kamienia w Chennu; w Nubji czyli Kom Ombo złożył ofiary Horusowi, bogu światła, i Sebekowi, który jest duchem ciemności. Był na wyspie Ab, która między czarnemi skałami wyglądała jak szmaragd, rodziła najlepsze daktyle i nazywała się stolicą słoniów; tam bowiem koncentrował się handel kością słoniową. Wstąpił wreszcie do miasta Sunnu, położonego przy pierwszej katarakcie Nilowej i zwiedził olbrzymie kopalnie grani-

tu, tudzież sienitu, w których łupano skały zapomocą klinów, napojonych wodą, i wyciosywano obeliski na dziewięć piętr wysokie.

Gdziekolwiek ukazał się nowy pan Egiptu, poddani witali go z szalonym zapałem. Nawet pracujący w kopalniach przestępcy, których ciało było pokryte niezagojonemi ranami, nawet ci zaznali szczęścia: faraon bowiem na trzy dni kazał uwolnić ich od roboty.

Ramzes XIII-ty mógł być zadowolony i dumny: żaden bowiem faraon nawet w czasie triumfalnego wjazdu nie był przyjmowany tak, jak on w swojej pokojowej przejażdżce. To też nomarchowie, pisarze i arcykapłani, widząc bezgraniczne przywiązanie ludu do nowego faraona, ugięli się przed jego władzą i między sobą szeptali:

— Pospólstwo jest, jak stado byków, a my jak roztropne i gospodarne mrówki. Czcijmy więc nowego pana, abyśmy cieszyli się zdrowiem i chronili nasze domy od zniszczenia...

Tym sposobem opozycja dostojników, jeszcze przed kilku miesiącami bardzo silna, dziś umilkła i ustąpiła miejsca nieograniczonej pokorze. Cała arystokracja, całe kapłaństwo upadło na twarz przed Ramzesem XIII-tym; tylko Mefres i Herhor pozostali nieugięci.

To też, kiedy faraon wrócił z Sunnu do Tebów, zaraz pierwszego dnia wielki skarbnik przyniósł mu niepomyślne wiadomości.

— Wszystkie świątynie — rzekł — odmówiły skarbowi kredytu i najpokorniej błagają waszą

świątobliwość, aby w ciągu dwu lat rozkazał wypłacić pożyczone od nich sumy...

— Rozumiem — odparł władca — to robota świętego Mefresa!... Ileż jesteśmy im winni?

— Z pięćdziesiąt tysięcy talentów.

— Pięćdziesiąt tysięcy talentów mamy spłacić w ciągu dwu lat!... — powtórzył faraon. — No, a co jeszcze?...

— Podatki wpływają bardzo opieszale — mówił skarbnik. — Od trzech miesięcy dostajemy zaledwie czwartą część tego, co nam się należy...

— Cóż się to stało?...

Skarbnik był zakłopotany.

— Słyszałem — rzekł — iż jacyś ludzie tłumaczą chłopom, że za panowania waszej świątobliwości mogą nie płacić podatków...

— O ho! ho! — zawołał, śmiejąc się, Ramzes — owi jacyś ludzie wydają mi się bardzo podobnymi do dostojnego Herhora... Cóż to, chce on mnie zamorzyć głodem?...

— Czemże pokrywacie wydatki bieżące? — spytał.

— Z rozkazu Hirama pożyczają nam Fenicjanie — odpowiedział skarbnik. — Wzięliśmy już ośm tysięcy talentów...

— A kwity dajecie im?

— I kwity, i zastawy... — westchnął skarbnik. — Oni mówią, że to prosta formalność; niemniej osiedlają się na folwarkach waszej świątobliwości i zabierają chłopom, co się da...

Upojony przyjęciem ze strony ludu i pokorą

magnatów, faraon już nawet nie gniewał się na Herhora i Mefresa. Czas gniewów minął, nadeszła chwila działania, i Ramzes tego samego dnia ułożył plan.

Nazajutrz wezwał ludzi najbardziej zaufanych: arcykapłana Sema, proroka Pentuera, ulubieńca Tutmozisa i Fenicjanina Hirama. A gdy zebrali się, rzekł:

— Zapewne wiecie, że świątynie zażądały, abym zwrócił im fundusze, które pożyczył od nich mój wiecznie żyjący ojciec. Każdy dług jest świętym, ten zaś, który należy się bogom, radbym spłacić najpierwej. Ale skarb mój jest pusty, bo nawet podatki nieregularnie wpływają...

Z tego powodu uważam, że państwo jest w niebezpieczeństwie i — jestem zmuszony zwrócić się po fundusze do skarbów, przechowywanych w Labiryncie...

Dwaj kapłani niespokojnie się poruszyli.

— Wiem — ciągnął faraon — że według naszych świętych praw, mój dekret nie wystarczy do otworzenia nam piwnic Labiryntu. Lecz kapłani tamtejsi objaśnili mnie: co powinienem zrobić? Oto—muszę zwołać przedstawicieli wszystkich stanów Egiptu, po 13 ludzi z każdego stanu i uzyskać od nich potwierdzenie mojej woli...

Faraon w tem miejscu uśmiechnął się i zakończył:

— Dziś wezwałem was, abyście mi pomogli zwołać to zgromadzenie stanów i oto co wam rozkazuję:

Ty, dostojny Semie, wybierzesz mi 13 kapłanów i 13 nomarchów... Ty, pobożny Pentuerze, sprowadzisz z różnych nomesów 13 rolników i 13 rzemieślników... Tutmozis dostarczy 13 oficerów i 13 szlachty, a książę Hiram zajmie się tem, ażebym miał 13 kupców.

Życzę sobie, ażeby zgromadzenie to jak najprędzej zebrało się w moim pałacu w Memfis i, nie tracąc czasu na próżnem gadaniu, uznało, że Labirynt powinien dostarczyć funduszów memu skarbowi...

— Ośmielę się przypomnieć waszej świątobliwości — wtrącił arcykapłan Sem — że na tem zgromadzeniu muszą być: dostojny Herhor i dostojny Mefres, i że służy im prawo, a nawet mają obowiązek sprzeciwiać się naruszeniu skarbca w Labiryncie.

— Owszem, zgadzam się na to najzupełniej...— żywo odparł faraon. — Oni powiedzą swoje powody, ja moje. Zaś zgromadzenie osądzi: czy może istnieć państwo bez pieniędzy, i czy jest rozsądnie dusić skarby w piwnicach, podczas gdy rządowi grozi nędza?

— Kilkoma szafirami, z tych, jakie leżą w Labiryncie, możnaby spłacić wszystkie długi fenickie!... — rzekł Hiram. — Ja zaś idę między kupców i wnet dostarczę nie 13-tu, ale 13 tysięcy takich, którzy będą głosowali na rozkazy waszej świątobliwości...

To powiedziawszy, Fenicjanin upadł na ziemię i pożegnał władcę.

Gdy Hiram wyszedł, arcykapłan Sem odezwał się:

— Nie wiem, czy dobrze stało się, że na tej naradzie był cudzoziemiec?...

— Musiał być!... — zawołał faraon. — Bo on nietylko ma wielki wpływ na naszych kupców, ale co ważniejsza, on dziś dostarcza nam pieniędzy... Chciałem go przekonać, że myślę o jego należnościach i mam środki do ich pokrycia...

Nastało milczenie, z którego skorzystał Pentuer, mówiąc:

— Jeżeli wasza świątobliwość pozwoli, ja zaraz wyjadę, ażeby zająć się zgromadzeniem rolników i rzemieślników. Wszyscy oni będą głosowali za naszym panem, ale z pośród mnóstwa trzeba wybrać najmędrszych.

Pożegnał faraona i wyszedł.

— A ty, Tutmozisie?... — spytał Ramzes.

— Panie mój — rzekł ulubieniec — jestem tak pewny twojej szlachty i wojska, że zamiast mówić o nich, ośmielę się zanieść do ciebie moją własną prośbę...

— Chcesz pieniędzy?

— Wcale nie. Chcę się żenić...

— Ty... — zawołał faraon. — Któraż kobieta zasłużyła u bogów na podobne szczęście?

— Jest to piękna Hebron, córka najdostojniejszego nomarchy tebańskiego — Antefa... — odparł, śmiejąc się, Tutmozis. — Jeżeli wasza świątobliwość raczysz oświadczyć mnie tej czcigodnej rodzinie...

Chciałem powiedzieć, że moja miłość dla was zwiększy się, ale dam spokój, bo skłamałbym...

Faraon poklepał go po ramieniu.

— No... no!... tylko mnie nie zapewniaj o tem, czego jestem pewny — rzekł. — Pojadę jutro do Antefa i, przez bogi, zdaje mi się, że w ciągu kilku dni urządzę ci wesele. A teraz możesz iść do swojej Hebron...

Zostawszy z jednym tylko Semem, jego świątobliwość zapytał:

— Oblicze twoje jest ponure... Czy wątpisz, aby znalazło się 13 kapłanów, gotowych spełnić moje rozkazy...

— Jestem pewny — odpowiedział Sem — że prawie wszyscy kapłani i nomarchowie zrobią to, co będzie potrzebne dla szczęścia Egiptu i zadowolenia waszej świątobliwości... Racz jednak nie zapominać, panie, że gdy chodzi o skarbiec Labiryntu, ostateczną decyzję wyda Amon...

— Posąg Amona w Tebach...

— Tak.

Faraon pogardliwie machnął ręką.

— Amon — rzekł — to Herhor i Mefres... Że oni nie zgodzą się, o tem wiem; ale też nie myślę dla uporu dwu ludzi poświęcać państwa.

— Myli się wasza świątobliwość — odparł z powagą Sem. — Prawda, że bardzo często posągi bogów robią to, co chcą ich arcykapłani, ale... niezawsze!... W naszych świątyniach, panie, dzieją się niekiedy rzeczy nadzwyczajne i tajemnicze... Posągi bogów niekiedy same robią i mówią, co chcą...

— W takim razie jestem spokojny—przerwał mu faraon.—Bogowie znają stan państwa i czytają w mojem sercu... Chcę, ażeby Egipt był szczęśliwy, a ponieważ tylko do tego celu dążę, więc żaden mądry i dobry bóg nie może mi przeszkadzać.

— Oby sprawdziły się słowa waszej świątobliwości!... — szepnął arcykapłan.

— Ty jeszcze chcesz mi coś powiedzieć — rzekł Ramzes, widząc, że jego religijny zastępca ociąga się z pożegnaniem.

— Tak jest, panie. Mam obowiązek przypomnieć, że każdy faraon, zaraz po objęciu władzy i pogrzebaniu swego poprzednika, musi pomyśleć o wzniesieniu dwu budowli: grobu dla siebie i świątyni dla bogów.

— Otóż właśnie! — zawołał pan. — Nieraz już myślałem o tem, ale, nie mając pieniędzy, nie śpieszę się z wydawaniem rozkazów. Bo rozumiesz — dodał z ożywieniem — że jeżeli zbuduję coś, to coś wielkiego, coś, coby kazało Egiptowi nieprędko zapomnieć o mnie...

— Chcesz mieć wasza świątobliwość piramidę?...

— Nie. Nie zbuduję przecie większej piramidy, niż Cheopsa, ani większej świątyni, aniżeli Amona w Tebach. Moje państwo jest za słabe do wykonywania dzieł ogromnych... Muszę więc zrobić coś zupełnie nowego, gdyż powiem ci, że nasze budowle już mnie nudzą. Wszystkie są podobne, jak ludzie między sobą, a różnią się jedna od drugiej chy-

ba tylko wymiarami, jak człowiek dorosły od dziecka.

— Więc?... — zapytał zdziwiony arcykapłan.

— Mówiłem z Grekiem Dionem, który jest u nas najznakomitszym architektem, i on pochwalił mój plan — ciągnął faraon. — Otóż na grób dla siebie chcę zbudować wieżę okrągłą, ze schodami zewnętrznemi, taką, jak była w Babelu... Wzniosę też świątynię nie dla Ozirisa lub Izydy, ale dla Jedynego Boga, w którego wierzą wszyscy: Egipcjanie, Chaldejczycy, Fenicjanie i żydzi... Chcę zaś, aby świątynia ta była podobna do pałacu króla Asara, którego model Sargon przywiózł mojemu ojcu...

Arcykapłan potrząsnął głową.

— Wielkie to są zamiary, panie mój—odparł—ale wykonać ich nie można... Wieże babilońskie, z powodu swojej formy, są nietrwałe i łatwo się przewracają; tymczasem nasze gmachy muszą przetrwać wieki. Świątyni Jedynemu Bogu stawiać nie można, gdyż On nie potrzebuje ani odzieży, ani jadła, ani napoju, a cały świat jest Jego mieszkaniem. Gdzież więc świątynia, któraby Go pomieściła? Gdzie kapłan, który ośmieliłby się składać Mu ofiary?...

— Ha, więc zbudujmy przybytek dla Amona Ra — wtrącił faraon.

— Owszem, byle nie taki, jak pałac króla Asara. Gdyż to jest gmach asyryjski, a nam, Egipcjanom, nie przystoi naśladować barbarzyńców...

— Nie rozumiem cię... — przerwał nieco rozdrażniony władca.

— Wysłuchaj mnie, panie nasz—mówił Sem.— Przypatrz się ślimakom, z których każdy ma inną skorupę; jeden zwiniętą, ale płaską, drugi zwiniętą, ale podłużną, jeszcze inny — podobną do pudełka... Tak samo każdy naród buduje inne gmachy, zgodne z jego krwią i usposobieniem.

Racz także pamiętać, że gmachy egipskie są tak różne od asyryjskich, jak Fenicjanie od Asyryjczyków.

U nas zasadniczym kształtem każdego gmachu jest piramida ścięta, najtrwalsza ze wszystkich form, jak Egipt jest najtrwalszem ze wszystkich państw. Zaś u Asyryjczyków zasadniczą formą jest sześcian, który łatwo psuje się i ulega zniszczeniu.

Pyszny i lekkomyślny Asyryjczyk stawia swoje sześciany jeden na drugim i buduje gmach wielopiętrowy, pod którego ciężarem usuwa się ziemia. Pobożny zaś i roztropny Egipcjanin ustawia swoje ścięte piramidy jedna za drugą. Tym sposobem u nas nic nie wisi w powietrzu, ale każda część gmachu opiera się na ziemi.

Stąd wynika, że nasze budowle są długie i wiecznotrwałe, a asyryjskie — wysokie i kruche, jak ich państwo, które dziś szybko wznosi się, a za parę wieków zostaną po niem gruzy.

Asyryjczyk jest wrzaskliwym samochwalcą, więc w swoich budowlach wszystko wystawia nazewnątrz: kolumny, obrazy, rzeźby. Skromny zaś Egipcjanin najpiękniejsze rzeźby i kolumny kryje wewnątrz świątyń, jak mędrzec, który wzniosłe myśli, uczucia i pragnienia chowa w głębi serca,

lecz nie ozdabia niemi swoich piersi i pleców. U nas wszystko, co piękne, jest ukryte; u nich wszystko robi się na pokaz. Asyryjczyk, gdyby mógł, rozciąłby sobie żołądek, aby pokazać światu jakie osobliwe jada potrawy...

— Mów... mów dalej!... — wtrącił Ramzes.

— Niewiele zostaje mi do powiedzenia — ciągnął Sem. — Chcę tylko jeszcze zwrócić, panie, twoją uwagę na ogólną formę naszych i asyryjskich gmachów.

Kiedy, będąc przed laty w Niniwie, przyglądałem się hardo wyskakującym nad ziemię asyryjskim wieżom, zdawało mi się, że to rozhukane konie, które, zerwawszy wędzidła, stają dęba, ale — wnet opadną, jeżeli jeszcze nóg sobie nie połamią.

Tymczasem, spróbuj, wasza świątobliwość, spojrzeć z jakiego wyniosłego punktu na egipską świątynię. Co ona przypomina? Oto — człowieka, który modli się, leżąc na ziemi.

Dwa pylony, to dwie dłonie wzniesione ku niebu. Dwa mury, opasujące dziedziniec — to dwa ramiona. Sala „kolumn, czyli niebiańska“ — to głowa; komnaty: „boskiego objawienia“ i „stołów ofiarnych“, to piersi, a tajemny przybytek boga — to serce pobożnego Egipcjanina.

Nasza świątynia uczy nas, jakimi być powinniśmy.

— Miej dłonie potężne, jak pylony — mówi do nas — a ramiona silne, jak mury. Miej w głowie rozum tak obszerny i bogaty, jak przysionek świą-

tyni, duszę czystą, jak komnaty „objawienia“ i „ofiar“, a w sercu miej boga — o, Egipcjaninie!...

Zaś asyryjskie gmachy przemawiają do swego ludu:

— Wspinaj się nad ludzi, Asyryjczyku, zadzieraj głowę wyżej, niż inni!... Nie zdziałasz nic wielkiego na świecie, ale przynajmniej zostawisz wiele gruzów...

Miałżebyś, panie, odwagę — zakończył arcykapłan — wznosić u nas budowle asyryjskie, naśladować naród, którym Egipt brzydzi się i pogardza?...

Ramzes się zamyślił. Pomimo wykładu Sema, i teraz sądził, że jednak pałace asyryjskie są piękniejsze od egipskich. Ale tak nienawidził Asyryjczyków, że jego serce poczęło się chwiać.

— W takim razie — odparł — zaczekam z budową świątyni i mego grobu. Wy zaś, mędrcy, którzy jesteście mi życzliwi, obmyślcie plany takich gmachów, któreby imię moje przekazały najdalszym pokoleniom.

„Nadludzka duma wypełnia duszę tego młodzieńca!...“ — rzekł do siebie arcykapłan i smutny pożegnał faraona.

ROZDZIAŁ XI.

Tymczasem Pentuer wybierał się zpowrotem do Dolnego Egiptu, aby z jednej strony znaleźć po 13 delegatów stanu rolniczego i rzemieślniczego dla faraona, z drugiej zaś — aby zachęcić ludność pra-

cującą do upominania się o ulgi, jakie przyobiecał nowy władca. W jego bowiem przekonaniu największą sprawą dla Egiptu było: usunąć krzywdy, jakich doznawały, i nadużycia, jakim ulegały klasy pracujące.

Niemniej Pentuer był kapłanem i nietylko nie pragnął upadku swego stanu, ale nawet nie chciał zrywać węzłów, jakie go z nim łączyły.

To też, aby zaznaczyć swoją wierność, Pentuer poszedł z pożegnaniem do Herhora.

Potężny niegdyś dostojnik przyjął go z uśmiechem.

— Rzadki gość... rzadki gość!... — zawołał Herhor. — Od czasu, jak mogłeś zostać doradcą jego świątobliwości, nie pokazujesz mi się... Coprawda, nie ty jeden!... Ale, cokolwiek nastąpi, nie zapomnę twoich usług, choćbyś mnie jeszcze bardziej unikał.

— Ani jestem doradcą pana naszego, ani unikam waszej dostojności, którego łasce zawdzięczam to, czem dziś jestem... — odparł Pentuer.

— Wiem, wiem! — przerwał Herhor. — Nie przyjąłeś wysokiego dostojeństwa, aby nie pracować na zgubę świątyń. Wiem, wiem!... choć może i szkoda, że nie zostałeś doradcą rozbrykanego młokosa, który to niby nami rządzi... Z pewnością nie pozwoliłbyś mu otoczyć się zdrajcami, którzy go zgubią...

Pentuer, nie chcąc rozmawiać o tak drażliwych kwestjach, opowiedział Herhorowi, poco jedzie do Egiptu.

— Owszem — odparł Herhor — niechaj Ramzes XIII-ty zwołuje zebranie wszystkich stanów... Ma do tego prawo.

— Ale — dodał nagle — szkoda mi, że ty się w to mieszasz... Duże zmiany zaszły w tobie!... Pamiętasz, co mówiłeś w czasie owych manewrów pod Pi-Bailos, do mego adjutanta?... Przypomnę ci: mówiłeś, że potrzeba ograniczyć nadużycia i rozpustę faraonów. A dziś... sam popierasz dziecinne pretensje największego rozpustnika, jakiego miał kiedy Egipt.

— Ramzes XIII-ty — przerwał mu Pentuer — chce poprawić dolę ludu. Byłbym więc głupim i nikczemnym, gdybym ja, syn chłopów, nie służył mu w tej sprawie.

— Nie pytasz jednak, czy to nie zaszkodzi nam, kapłaństwu?...

Pentuer zdziwił się.

— Wszakże sami dajecie wielkie ulgi chłopom, należącym do świątyń! — zawołał. — Mam zresztą wasze pozwolenie...

— Co?... jakie?... — spytał Herhor.

— Przypomnij sobie wasza dostojność tę noc, podczas której, w świątyni Seta, witaliśmy najświątobliwszego Beroesa. Mefres mówił wtedy, że Egipt upadł skutkiem poniżenia się stanu kapłańskiego, a ja twierdziłem, że nędza ludu jest przyczyną niedoli państwa. Na co ty, o ile pamiętam, odpowiedziałeś:

„Niech Mefres zajmuje się podźwignięciem kapłanów, a Pentuer poprawą losu chłopstwa... Ja zaś

będę zapobiegał zgubnej wojnie między Egiptem i Asyrją".

— A widzisz — przerwał arcykapłan — więc masz obowiązek działać z nami, nie z Ramzesem.

— Alboż on chce wojny z Asyrją?... — odparł energicznie Pentuer. — Czy może przeszkadza kapłanom w nabywaniu mądrości?... Chce dać ludowi siódmy dzień na odpoczynek, a później obdarzyć każdą rodzinę chłopską małym kawałkiem gruntu... I nie mów mi, wasza dostojność, że faraon chce złego: bo przecież na folwarkach świątyń sprawdzono, że chłop wolny i mający swój zagon bez porównania lepiej pracuje, aniżeli niewolnik.

— Ależ ja nic nie mam przeciw ulgom dla pospólstwa! — zawołał Herhor. — Tylko jestem przekonany, że Ramzes nie zrobi nic dla ludu.

— Z pewnością — nic, jeżeli odmówicie mu pieniędzy...

— Choćbyśmy mu dali piramidę złota i srebra, a drugą klejnotów, nic nie zrobi, bo to rozhukany dzieciak, którego asyryjski poseł Sargon nigdy nie nazywał inaczej, tylko — chłystkiem...

— Faraon ma wielkie zdolności...

— Ale nic nie wie, nic nie umie! — mówił Herhor. — Ledwie trochę zawadził o wyższą szkołę, z której czem prędzej uciekł. To też dziś w sprawach rządu jest jak ślepy, jest jak dziecko, które śmiało przestawia warcaby, ale nie ma pojęcia o grze w warcaby.

— Jednak rządzi...

— Co to za rządy, Pentuerze! — odparł z uśmiechem arcykapłan. — Pootwierał nowe szkoły wojskowe, pomnożył liczbę pułków, zbroi cały naród, obiecuje święta pospólstwu... Ale jak on to wykona?... Trzymasz się zdaleka od niego, więc nic nie wiesz; lecz ja zapewniam cię, że on, wydając rozkazy, wcale nie zastanawia się: kto co robi? czy są środki? jakie będą następstwa?...

Tobie się zdaje, że on rządzi. To ja rządzę, ja ciągle rządzę, ja, którego on wypędził od siebie... Ja robię to, że dzisiaj mniej wpływa podatków do skarbu, ale ja też zapobiegam buntowi chłopstwa, który jużby wybuchnął; ja sprawiam, że nie porzucają robót przy kanałach, groblach i gościńcach. Ja wkońcu już dwa razy powstrzymałem Asyrję od wypowiedzenia nam wojny, którą ten szaleniec wywołuje swojemi wojskowemi rozporządzeniami...

Ramzes rządzi!... On tylko robi zamęt. Miałeś próbę jego gospodarki w Dolnym Egipcie: pił, hulał, sprowadzał coraz nowe dziewczęta i — niby to zajmował się administracją nomesów, ale nic, zupełnie nic nie rozumiał. Co zaś najgorsze: wdał się z Fenicjanami, ze zbankrutowaną szlachtą i rozmaitego gatunku zdrajcami, którzy go pchają do zguby...

— A zwycięstwo nad Sodowemi Jeziorami?... — spytał Pentuer.

— Przyznaję mu energję i znajomość sztuki wojskowej — odparł Herhor. — To jedno on umie. Lecz powiedz sam, czy wygrałby bitwę nad Sodo-

wemi Jeziorami, gdyby nie pomoc twoja i innych kapłanów?... Przecież wiem, że zawiadamialiście go o każdym ruchu libijskiej bandy... A teraz pomyśl, czy Ramzes, nawet z waszą pomocą, mógłby wygrać bitwę, naprzykład — przeciw Nitagerowi?... Nitager to mistrz; Ramzes to dopiero czeladnik.

— Więc czem skończy się wasza nienawiść?— zapytał Pentuer.

— Nienawiść!... — powtórzył arcykapłan. — Alboż ja mogę nienawidzić chłystka, który w dodatku jest tak obsaczony, jak jeleń w wąwozach przez myśliwców! Muszę jednak przyznać, iż jego rządy są tak szkodliwe dla Egiptu, że gdyby Ramzes miał brata, albo gdyby Nitager był młodszy, już usunęlibyśmy dzisiejszego faraona...

— A wasza dostojność zostałbyś jego następcą!... — wybuchnął Pentuer.

Herhor wcale się nie obraził.

— Dziwnie zgłupiałeś, Pentuerze — odparł, wzruszając ramionami — od czasu, gdy robisz politykę na własny rachunek. Rozumie się, że gdyby zabrakło faraona, ja miałbym obowiązek zostać nim, jako arcykapłan Amona tebańskiego i naczelnik najwyższej rady kapłańskiej. Ale naco mi to? Czyliż od kilkunastu lat nie mam większej władzy, aniżeli faraonowie?... Albo czy ja dziś, ja, wypędzony minister wojny, nie robię w państwie tego, co uważam za potrzebne?...

Ci sami arcykapłani, skarbnicy, sędziowie, nomarchowie, a nawet generałowie, którzy mnie teraz unikają, muszą przecie spełniać każdy tajem-

ny rozkaz najwyższej rady, opatrzony moją pieczęcią. Czy jest w Egipcie człowiek, któryby takich zleceń nie spełnił?... Czy ty sam ośmieliłbyś się im opierać?...

Pentuer zwiesił głowę. Jeżeli pomimo śmierci Ramzesa XII-go utrzymała się najwyższa, tajna rada kapłańska, to Ramzes XIII-ty albo musi jej ulec, albo stoczyć z nią walkę na życie i śmierć.

Faraon miał za sobą cały naród, całe wojsko, wielu kapłanów i większość cywilnych dostojników. Rada mogła rachować ledwie na parę tysięcy stronników, na swoje skarby i niesłychanie mądrą organizację. Siły najzupełniej nierówne, ale wynik walki bardzo wątpliwy.

— Więc wy postanowiliście zgubić faraona!... — szepnął Pentuer.

— Wcale nie. Chcemy tylko uratować państwo.

— W takim razie cóż powinien robić Ramzes XIII-ty?...

— Co on zrobi?... nie wiem — odparł Herhor. — Ale wiem, co robił jego ojciec.

Ramzes XII-ty również zaczął rządy od nieuctwa i samowoli; lecz gdy zabrakło mu pieniędzy, a najgorliwsi stronnicy poczęli go lekceważyć, zwrócił się do bogów. Otoczył się kapłanami, uczył się od nich, ba! nawet ożenił się z córką arcykapłana Amenhotepa... I po kilkunastu latach doszedł do tego, że sam został arcykapłanem nietylko pobożnym, ale nawet bardzo uczonym.

— A jeżeli faraon nie usłucha tej rady?—spytał Pentuer.

— To obejdziemy się bez niego—rzekł Herhor.

Po chwili zaś ciągnął dalej:

— Posłuchaj mnie, Pentuerze. Ja wiem, nietylko co robi, ale nawet: o czem myśli ten twój faraon, który zresztą nie odbył jeszcze uroczystej koronacji, więc dla nas jest niczem. Ja wiem, że on chce zrobić kapłanów swoimi sługami, a siebie — jedynym panem Egiptu.

Ale taki zamiar jest głupstwem, a nawet zdradą. Nie faraonowie — o czem dobrze wiesz — stworzyli Egipt, lecz bogowie i kapłani. Nie faraonowie oznaczają przybór Nilu i regulują jego wylewy; nie faraonowie nauczyli lud siać, zbierać płody, hodować bydło... Nie faraonowie leczą choroby mieszkańców i czuwają nad bezpieczeństwem państwa od zewnętrznych wrogów...

Cóżby zatem było, sam powiedz, gdyby nasz stan wydał Egipt na łaskę faraonów? Najmędrszy z nich ma za sobą doświadczenie z lat kilkudziesięciu, ale stan kapłański badał i uczył się przez dziesiątki tysięcy lat... Najpotężniejszy władca ma jedną parę oczu i rąk — przy sobie; podczas gdy my posiadamy tysiące oczu i rąk we wszystkich nomesach i nawet w obcych państwach...

Czy więc działalność faraona może porównywać się z naszą i — w razie różnicy zdań — kto powinien ustąpić: my, czy on?...

— A cóż ja teraz mam robić? — wtrącił Pentuer.

— Rób, co ci każe ten młodzik, byleś nie zdradził świętych tajemnic. A resztę... zostaw czasowi... Szczerze pragnę, ażeby młodzieniec, nazywany Ramzesem XIII-tym, upamiętał się, i przypuszczam, że zrobiłby to, gdyby... Gdyby nie związał się z obmierzłymi zdrajcami, nad którymi już zawisła ręka bogów.

Pentuer pożegnał arcykapłana, pełen smutnych przeczuć. Nie upadł jednak na duchu, wiedząc, że cokolwiek dziś zdobędzie dla poprawienia bytu ludowi, to już zostanie, choćby faraon ugiął się przed potęgą kapłanów.

„W najgorszem położeniu — myślał — trzeba robić, co możemy i co do nas należy. Kiedyś poprawią się stosunki, a teraźniejszy zasiew wyda owoce".

Niemniej jednak postanowił wyrzec się agitacji między ludem. Owszem, gotów był uspokajać niecierpliwych, aby nie powiększali kłopotów faraonowi.

W parę tygodni później Pentuer wjeżdżał w granice Dolnego Egiptu, upatrując po drodze najrozsądniejszych chłopów i rzemieślników, z pomiędzy których możnaby wybrać delegatów do zgromadzenia, które zwoływał faraon.

Wszędzie na drodze spotykał oznaki najwyższego wzburzenia: zarówno chłopi, jak rzemieślnicy domagali się, aby im dano siódmy dzień wypoczynku i płacono za wszelkie publiczne roboty, jak było dawniej. A tylko upomnieniom kapłanów różnych świątyń należało zawdzięczać, że nie wybuchnął

bunt ogólny, a przynajmniej, że robót nie przerywano.

Zarazem uderzyło go kilka nowych zjawisk, których miesiąc temu nie dostrzegał.

Przedewszystkiem lud podzielił się na dwie partje. Jedni byli stronnikami faraona i wrogami kapłanów, drudzy — burzyli się przeciw Fenicjanom. Jedni dowodzili, że kapłani powinni wydać faraonowi skarby Labiryntu, drudzy szeptali, że — faraon zanadto proteguje cudzoziemców.

Najdziwniejsza jednak była pogłoska, niewiadomo skąd powstała, że Ramzes XIII-ty zdradza objawy obłąkania!... Jak jego brat przyrodni i starszy, który właśnie dlatego został usunięty od tronu. O wieści tej mówili kapłani, pisarze, nawet chłopi.

— Kto wam opowiada takie kłamstwa?... — zapytał Pentuer jednego ze znajomych inżynierów.

— To nie kłamstwo — odparł inżynier — ale smutna prawda... W pałacach tebańskich widziano faraona, jak biegał nagi po ogrodach. A pewnego wieczoru, jego świątobliwość, w nocy, pod oknami królowej Nikotris, właził na drzewa i rozmawiał z nią samą.

Pentuer zapewnił go, że nie dawniej, niż przed pół miesiącem widział faraona, który cieszy się najlepszem zdrowiem. Wnet jednak poznał, że inżynier mu nie ufa.

„To już sprawa Herhora!... — pomyślał. — Zresztą tylko kapłani mogliby mieć tak szybkie wiadomości z Tebów..."

Na chwilę stracił chęć do zajmowania się wy-

borem delegatów, lecz znowu odzyskał energję, wciąż powtarzając sobie, że — co lud dziś pozyska, tego nie straci jutro... Chyba, gdyby zaszły jakieś nadzwyczajne wypadki!

Za Memfisem, na północ od piramid i sfinksa, wznosiła się, już na granicy piasków, niewielka świątynia bogini Nut. Mieszkał tam stary kapłan Menes, największy w Egipcie znawca gwiazd, zarazem inżynier.

Gdy trafiła się w państwie budowa dużego gmachu, albo nowego kanału, Menes schodził na grunt i wytykał kierunek. Poza tem, żył ubogi i samotny w swej świątyni, nocami badając gwiazdy, w dzień pracując nad osobliwemi przyrządami.

Od kilku lat Pentuer nie był w tem miejscu, to też uderzyło go opuszczenie i ubóstwo. Ceglany mur walił się, w ogrodzie poschły drzewa, na dziedzińcu wałęsała się chuda koza i kilka kur.

Przy świątyni nie było nikogo. Dopiero, gdy Pentuer zaczął wołać, z pylonu wyszedł stary człowiek. Miał bose nogi, na głowie brudny czepiec, jak chłopi, dokoła bioder łachman opaski, a na plecach panterzą skórę, z której sierść wypełzła. Mimo to, jego postawa była pełna godności, a oblicze — rozumu. Bystro przypatrzył się gościowi i rzekł:

— Albo mi się zdaje, albo jesteś Pentuer?...

— Jestem nim — odrzekł przybysz i serdecznie uściskał starca.

— Ho!... ho!... — zawołał Menes, on to był bowiem — widzę, że zmieniłeś się na dostojnych posadzkach! Masz gładką skórę, bielsze ręce i złoty

łańcuch na szyi. Na takie ozdoby długo musiałaby czekać bogini oceanu niebieskiego, matka Nut...

Pentuer chciał zdjąć łańcuch; ale Menes powstrzymał go z uśmiechem.

— Daj pokój! — rzekł. — Gdybyś wiedział, jakie klejnoty mamy na niebie, nie kwapiłbyś się z ofiarowaniem złota... Cóż, przychodzisz do nas osiedlić się?...

Pentuer potrząsnął głową.

— Nie — odparł. — Przyszedłem tylko pokłonić się tobie, boski nauczycielu.

— A potem znowu do dworu?... — śmiał się starzec. — Oj wy, wy!... gdybyście wiedzieli, co tracicie, porzucając mądrość dla pałaców, bylibyście najsmutniejszymi ludźmi...

— Sam jesteś, nauczycielu?

— Jak palma w pustyni, szczególnie dziś, kiedy mój głuchoniemy poszedł z koszem do Memfisu użebrać co dla matki Ra i jej kapłana.

— I nie przykro ci?...

— Mnie?... — zawołał Menes. — Przez czas, kiedyśmy się nie widzieli, wydarłem bogom kilka tajemnic, których nie odstąpiłbym za obie korony Egiptu!...

— Czy to sekret?... — spytał Pentuer.

— Co za sekret!... Przed rokiem dokończyłem pomiarów i rachunków, tyczących się wielkości ziemi...

— Co to znaczy?

Menes obejrzał się i zniżył głos.

— Przecie wiadomo ci — mówił — że ziemia

nie jest płaska, jak stół, ale jest olbrzymią kulą, na której powierzchni znajdują się morza, kraje i miasta...

— To wiadomo — rzekł Pentuer.

— Nie wszystkim — odparł Menes. — A już wcale nie było wiadomo, jak wielką może być ta kula...

— A ty wiesz? — zapytał prawie wylękniony Pentuer.

— Wiem. Nasza piechota maszeruje na dzień około 13 mil egipskich *). Otóż kula ziemska jest tak ogromna, że nasze wojska obeszłyby ją dokoła w ciągu pięciu lat...

— Bogowie!... — rzekł Pentuer. — Czy nie lękasz się, ojcze, myśleć o podobnych rzeczach?...

Menes wzruszył ramionami.

— Mierzyć wielkość, cóż w tem strasznego?— odparł. — Mierzyć wielkość piramidy, czy ziemi, wszystko jedno. Robiłem trudniejsze rzeczy, bo wymierzyłem odległość naszej świątyni od pałacu faraona, nie przechodząc przez Nil...

— Strach!... — szepnął Pentuer.

— Co za strach?...—Odkryłem ja rzecz, której naprawdę będziecie się lękali... Ale o tem nie mów nikomu. Wiesz, w miesiącu Paofi (lipiec, sierpień) będziemy mieli zaćmienie słońca... w dzień zrobi się noc... I niech umrę śmiercią głodową, jeżeli chybiłem w rachunku, bodaj o dwudziestą część godziny...

---

*) 3 mile geograficzne.

Pentuer dotknął amuletu, który miał na piersiach i odmówił modlitwę. Potem rzekł:

— Czytałem w świętych księgach, że już nieraz, ku strapieniu ludzi, robiła się noc w południe. Ale co to jest? nie rozumiem.

— Widzisz piramidy? — spytał nagle Menes, wskazując ku pustyni.

— Widzę.

— A teraz postaw rękę przed oczyma... Widzisz piramidy? Nie widzisz. Otóż zaćmienie słońca jest tem samem: między słońcem a nami staje księżyc, zasłania ojca światła i robi noc...

— I to się stanie u nas? — spytał Pentuer.

— W miesiącu Paofi. Pisałem o tem do faraona, myśląc, że wzamian złoży jaką ofiarę dla naszej zaniedbanej świątyni. Ale on, odczytawszy list, wyśmiał mnie i kazał memu posłańcowi zanieść tę nowinę do Herhora...

— A Herhor?

— Dał nam 30 miar jęczmienia. Ten jeden człowiek w Egipcie szanuje mądrość; ale młody faraon jest lekkomyślny.

— Nie bądź surowym dla niego, ojcze — wtrącił Pentuer. — Ramzes XIII-ty chce poprawić dolę chłopów i rzemieślników: da im co siódmy dzień odpoczynek, zabroni bić ich bez sądu, a może obdaruje ziemią...

— A ja ci mówię, że on jest lekkoduch — odparł rozdrażniony Menes. — Dwa miesiące temu posłałem mu wielki plan ulżenia pracy chłopom i... także wyśmiał mnie!... To nieuk i pyszałek.

— Uprzedzasz się, ojcze... Ale powiedz mi twój plan, a może pomogę wykonać go.

— Plan! — powtórzył starzec. — To już nie plan, ale rzecz...

Powstał z ławy i obaj z Pentuerem poszli do sadzawki w ogrodzie, nad którą stała altana, doskonale zasłonieta pnącemi się roślinami.

W tym budynku znajdowało się wielkie koło, osadzone na poziomej osi, z mnóstwem wiaderek na obwodzie. Menes wszedł wewnątrz koła i zaczął poruszać nogami: koło obracało się, a wiaderka czerpały wodę z sadzawki i wlewały ją w koryto, stojące wyżej.

— Ciekawy przyrząd! — rzekł Pentuer.

— A czy zgadniesz: co on może zrobić dla ludu egipskiego?

— Nie...

— Więc pomyśl, że to koło jest pięć albo dziesięć razy większe, i że w jego wnętrzu, zamiast tuer — ale jeszcze niedobrze rozumiem.

— A to takie proste! — odparł Menes. — Zapomocą tego koła woły lub konie mogłyby czerpać wodę z Nilu i wlewać ją do coraz wyżej leżących kanałów... W takim zaś wypadku pół miljona ludzi, którzy dziś pracują przy wiadrach, mogłoby odpoczywać... Teraz widzisz, że mądrość więcej robi dla ludzkiego szczęścia, aniżeli faraonowie.

Pentuer potrząsnął głową.

— Coś... coś wydaje mi się — wtrącił Pen-

— Ileżby na to potrzeba drzewa! — rzekł — człowieka, chodzi kilka par wołów...

ile wołów, ile paszy!... Zdaje mi się, ojcze, że twoje koło nie zastąpi siódmego dnia odpoczynku.

— Widzę — odpowiedział Menes, wzruszając ramionami — że nie wyszły ci na pożytek dostojeństwa. Ale choć straciłeś bystrość, którą w tobie podziwiałem, pokażę ci jeszcze coś... Może kiedy znowu nawrócisz się do mądrości, i gdy ja umrę, zechcesz pracować nad ulepszeniem i upowszechnieniem moich wynalazków.

Wrócili do pylonu, a Menes podłożył nieco paliwa pod miedziany kociołek. Rozdmuchał płomień i wkrótce woda zaczęła się gotować.

Z kociołka wychodziła pionowo rura, zakryta ciężkim kamieniem. Gdy w kotle zasyczało, Menes rzekł:

— Stań w tej framudze i patrz...

Poruszył korbę przytwierdzoną do rury i — w jednej chwili — ciężki kamień wyleciał w powietrze, a komnata napełniła się kłębami gorącej pary...

— Dziwo!... — krzyknął Pentuer.

Lecz wnet, uspokoiwszy się, zapytał:

— No, a ten kamień w czem poprawi byt ludu?

— Kamień w niczem — odpowiedział już zniecierpliwiony mędrzec. — Ale zaprawdę, powiadam ci i o tem pamiętaj: przyjdzie czas, że koń i wół zastąpią pracę ludzką, a zaś gotująca się woda zastąpi konia i wołu.

— Ale co chłopom z tego przyjdzie? — nalegał Pentuer.

— Biada mi! — zawołał Menes, chwytając się za głowę. — Nie wiem, zestarzałeś się, czy zgłupiałeś, ale już chłopi zasłonili przed tobą cały świat, zaćmili ci umysł.

Tymczasem, gdyby mędrcy mieli tylko chłopów na względzie, powinniby rzucić księgi i rachunki, i zostać pastuchami...

— Każda rzecz musi przynieść pożytek — wtrącił onieśmielony Pentuer.

— Wy, ludzie dworscy — rzekł z goryczą Menes — często posługujecie się dwiema miarami! Kiedy Fenicjanin przyniesie wam rubin lub szafir, nie pytacie: jaki z tego pożytek? lecz kupujecie klejnot i zamykacie go w skrzyni. Ale, gdy mędrzec przyjdzie do was z wynalazkiem, który mógłby zmienić postać świata, zaraz pytacie: jaki z tego pożytek?... Widać, strach was ogarnia, ażeby badacz nie zażądał garści jęczmienia za przedmiot, którego nie pojmuje wasz umysł.

— Gniewasz się, ojcze... Czyliż chciałem zrobić tobie przykrość?...

— Nie gniewam się, lecz ubolewam. Jeszcze przed dwudziestoma laty było nas w tej świątyni pięciu, pracujących nad odkryciem nowych tajemnic. Dziś zostałem ja sam i przez bogi! nie mogę znaleźć nietylko następcy, ale nawet człowieka, któryby mnie rozumiał.

— Z pewnością, ojcze, zostałbym tu do śmierci, aby poznać boskie twoje pomysły — rzekł Pentuer. — Powiedz jednak, czy mogę zamykać się dziś

w świątyni, gdy ważą się losy państwa, szczęście ludu prostego i — gdy mój udział...

— Wpłynie na losy państwa i kilku miljonów ludu?... — przerwał szyderczo Menes. — O wy, dorosłe dzieci w infułach i łańcuchach dostojników!... Dlatego, że wolno wam zaczerpnąć wody z Nilu, zaraz wam się zdaje, że możecie powstrzymać przybór, albo odpływ rzeki.

Zaprawdę, nie inaczej myśli owca, która, idąc za stadem, wyobraża sobie, że ona je popędza!

— Ależ pomyśl tylko, nauczycielu. Młody faraon ma serce pełne szlachetności, chce dać ludowi siódmy dzień wypoczynku, sprawiedliwy sąd, a nawet ziemię...

Menes potrząsnął głową.

— Wszystko to — mówił — są rzeczy znikome. Młodzi faraonowie starzeją się, a lud... lud miał już nieraz siódmy dzień odpoczynku i ziemię, a potem je tracił... Ach, gdybyż tylko to zmieniało się!... Ileż od trzech tysięcy lat przesunęło się nad Egiptem dynastyj i kapłanów, ile miast i świątyń upadło w gruzy, ba! nawet narosły nowe warstwy ziemi...

Wszystko zmieniło się, z wyjątkiem tego, że — dwa i dwa jest cztery, że trójkąt jest połową prostokąta, że księżyc może zakryć słońce, a gotująca się woda wyrzuca kamień w powietrze...

W znikomym świecie trwa i zostaje sama tylko mądrość. I biada temu, kto dla rzeczy mijających jak obłoki opuszcza wiekuiste! Jego serce nigdy

nie zazna spokoju, a umysł będzie kołysał się, jak czółno podczas wichru.

— Bogowie mówią przez twoje usta, nauczycielu — odparł po namyśle Pentuer — ale zaledwo jeden człowiek na miljony może stać się ich naczyniem... I dobrze tak jest. Bo coby było, gdyby chłopi całe noce patrzyli w gwiazdy, żołnierze robili rachunki, a dostojnicy i faraon, zamiast rządzić, wyrzucali kamienie zapomocą gotującej się wody? Zanim księżyc raz obszedłby ziemię, wszyscy musieliby pomrzeć z głodu... Żadne też koło ani kociołek nie obroniłby kraju przed napadem barbarzyńców, ani wymierzyłby sprawiedliwości pokrzywdzonym.

Więc — zakończył Pentuer — chociaż mądrość jest jak słońce, krew i oddech, nie możemy jednak wszyscy być mędrcami.

Na te słowa Menes już nic nie odpowiedział.

Kilka dni przepędził Pentuer w świątyni boskiej Nut, lubując się jużto widokiem piaszczystego morza, jużto żyznej doliny Nilu. Razem z Menesem przypatrywał się gwiazdom, oglądał koło do czerpania wody, czasami chodził w stronę piramid. Podziwiał ubóstwo i genjusz swego nauczyciela, lecz w duchu mówił:

„Menes jest niezawodnie bogiem, wcielonym w człowieczą postać, i dlatego nie dba o życie ziemskie. Jego zaś koło do czerpania wody nie przyjmie się w Egipcie, bo naprzód brak nam drzewa, a powtóre do poruszania takich kół trzebaby mieć ze sto tysięcy wołów. A gdzie dla nich pasza, choćby w Górnym Egipcie?...

ROZDZIAŁ XII.

Przez ten czas, kiedy Pentuer objeżdżał państwo, wybierając delegatów, Ramzes XIII-ty mieszkał w Tebach i żenił swego ulubieńca Tutmozisa.

Przedewszystkiem władca dwu światów, otoczony wspaniałym orszakiem, pojechał na złocistym wozie do pałacu najdostojniejszego Antefa, nomarchy Teb. Magnat wybiegł naprzeciw panu aż przed bramę i, zdjąwszy z nóg kosztowne sandały, na klęczkach pomógł Ramzesowi wysiąść.

Wzamian za ten hołd, faraon podał mu do ucałowania rękę i oświadczył, że od tej pory Antef staje się jego przyjacielem i ma prawo wchodzić w obuwiu, nawet do sali tronowej.

Gdy zaś znaleźli się w ogromnej komnacie pałacu Antefa, pan wobec całego orszaku odezwał się:

— Wiem, dostojny Antefie, że jak czcigodni przodkowie twoi mieszkają w najpiękniejszych grobach, tak ty, potomek ich, jesteś najprzedniejszym między nomarchami Egiptu. Tobie zaś zapewne wiadomo, że na moim dworze i w wojsku, jak również w mojem królewskiem sercu, pierwsze miejsce zajmuje ulubieniec mój i dowódca gwardji — Tutmozis.

Według zdania mędrców, źle czyni bogacz, który najdroższego klejnotu nie osadza w najpiękniejszy pierścień. A że twój ród, Antefie, jest mi najdroższy, a Tutmozis najmilszy, więc umyśliłem połączyć was z sobą. Co łatwo może się stać, jeżeli

córka twoja, piękna i mądra Hebron, przyjmie za małżonka Tutmozisa.

Na co dostojny Antef odparł:

— Wasza świątobliwość, władco żywego i zachodniego świata! Jak cały Egipt i wszystko, co w nim jest, należy do ciebie, tak ten dom i wszyscy jego mieszkańcy są twoją własnością. Skoro zaś pragniesz w swem sercu, aby moja córka Hebron została żoną ulubieńca twego Tutmozisa, więc niech tak będzie...

Teraz faraon opowiedział Antefowi, że Tutmozis ma 20 talentów rocznej płacy ze skarbu i znaczne dobra własne w różnych nomesach. Zaś dostojny Antef oświadczył, że jego jedyna córka Hebron będzie miała 50 talentów rocznie, tudzież prawo korzystania z dóbr ojca w tych nomesach, w których na dłuższy czas zatrzyma się dwór królewski.

A ponieważ Antef nie miał syna, więc cały jego ogromny i niezadłużony majątek musiał kiedyś przejść na Tutmozisa wraz z urzędem nomarchy Teb, o ile zgadzałoby się to z wolą jego świątobliwości.

Po ukończeniu układów wszedł z dziedzińca Tutmozis, podziękował Antefowi naprzód zato, że takiemu, jak on, nędzarzowi, oddaje swoją córkę, a powtóre — że ją tak pięknie wychował. Zarazem umówiono się, że ceremonja zaślubin odbędzie się w ciągu kilku dni. Tutmozis bowiem, jako dowódca gwardji, nie ma czasu na zbyt długie uroczystości wstępne.

— Życzę ci szczęścia, mój synu — zakończył z uśmiechem Antef — tudzież wielkiej cierpliwości. Albowiem ukochana córka moja, Hebron, ma już dwadzieścia lat, jest pierwszą elegantką w Tebach i przywykła posiadać swoją wolę...

Na bogi!... mówię ci, że moja władza nad Tebami zawsze kończyła się przy furcie ogrodów mojej córki. I lękam się, że twoje generalstwo nie większe na niej zrobi wrażenie.

Zkolei szlachetny Antef zaprosił swoich gości na wspaniałą ucztę, podczas której ukazała się piękna Hebron z wielkim orszakiem towarzyszek.

W sali jadalnej stało mnóstwo stolików na dwie i cztery osoby, tudzież jeden większy stół na wzniesieniu dla faraona. Aby uczcić Antefa i swego ulubieńca, jego świątobliwość zbliżył się do Hebron i zaprosił ją do swego stołu.

Panna Hebron była rzeczywiście piękna, a robiła wrażenie osoby doświadczonej, co w Egipcie nie stanowiło osobliwości. Ramzes prędko spostrzegł, że narzeczona wcale nie zwraca uwagi na przyszłego małżonka, ale zato posyła wymowne spojrzenia w stronę jego, faraona.

I to także nie było dziwnem w Egipcie.

Gdy goście zasiedli przy stolikach, gdy odezwała się muzyka, a tancerki zaczęły roznosić między biesiadników wino i kwiaty, Ramzes odezwał się:

— Im dłużej patrzę na ciebie, Hebron, tem więcej zdumiewam się. Gdyby tu wszedł kto obcy,

uważałby cię za boginię albo arcykapłankę, ale nigdy za szczęśliwą narzeczoną.

— Mylisz się, panie — odparła. — W tej chwili jestem szczęśliwą, ale nie z mego narzeczeństwa...

— Jakto może być?... — przerwał faraon.

— Małżeństwo nie nęci mnie i z pewnością wolałabym zostać arcykapłanką Izydy, aniżeli żoną...

— Więc dlaczego wychodzisz zamąż?

— Robię to dla ojca, który koniecznie chce mieć spadkobiercę swej sławy. Głównie zaś dlatego, że tak chcesz, panie...

— Mógłżeby ci się nie podobać Tutmozis?

— Tego nie mówię. Tutmozis jest piękny, jest pierwszym elegantem w Egipcie, ładnie śpiewa i bierze nagrody na igrzyskach. Jego zaś stanowisko dowódcy gwardji waszej świątobliwości należy do najpierwszych w kraju.

Mimo to, gdyby nie prośby ojca i twój rozkaz, panie, nie zostałabym jego żoną... Choć i tak, nie będę nią!... Tutmozisowi wystarczy mój majątek i tytuły po moim ojcu, a resztę znajdzie u tancerek.

— I on wie o swojem nieszczęściu?

Hebron uśmiechnęła się.

— On oddawna wie, że choćbym nie była córką Antefa, ale ostatniego paraszyty, jeszcze nie oddałabym się człowiekowi, którego nie kocham. A pokochać mogłabym tylko wyższego od siebie.

— Mówisz to naprawdę?... — dziwił się Ramżes.

— Mam przecie dwadzieścia lat, więc już od sześciu lat otaczają mnie wielbiciele. Prędko jednak poznałam ich wartość... A dziś wolę słuchać rozmowy uczonych kapłanów, aniżeli śpiewów i oświadczyn eleganckiej młodzieży.

— W takim razie nie powinienem siedzieć przy tobie, Hebron, bo nawet nie jestem elegantem, a już wcale nie posiadam mądrości kapłańskiej...

— O, ty, panie, jesteś czemś większem — odparła, mocno rumieniąc się.—Ty jesteś wódz, który odniósł zwycięstwo... Ty jesteś porywczy, jak lew, bystry, jak sęp... Przed tobą miljony upadają na twarz, państwa drżą... Alboż nie wiemy, jaką trwogę budzi w Tyrze i Niniwie twoje imię? Bogowie mogliby zazdrościć twojej potęgi...

Ramzes zmieszał się.

— O Hebron, Hebron... Gdybyś wiedziała, jaki niepokój zasiewasz w mojem sercu!...

— Dlatego — mówiła — godzę się na małżeństwo z Tutmozisem... Będę bliższą waszej świątobliwości i, choć co kilka dni, będę widywała ciebie, panie...

To powiedziawszy, wstała od stolika i odeszła.

Postępek jej spostrzegł Antef i wylękniony przybiegł do Ramzesa.

— O panie! — zawołał — czy moja córka nie powiedziała czego niestosownego?... To niepohamowana lwica...

— Uspokój się — odparł faraon. — Twoja córka jest pełna mądrości i powagi. Wyszła, bo spostrzegła, że wino waszej dostojności zbyt silnie rozwesela biesiadników.

Rzeczywiście, w sali jadalnej panował wielki hałas, tem bardziej, że Tutmozis, porzuciwszy rolę wice-gospodarza, zrobił się najbardziej ożywionym biesiadnikiem.

— Poufnie rzeknę waszej świątobliwości — rzekł Antef — że biedny Tutmozis bardzo będzie musiał pilnować się wobec Hebron...

Ta pierwsza uczta przeciągnęła się do rana. Wprawdzie faraon zaraz wyjechał, lecz inni zostali — z początku na krzesłach, później na posadzkach... Aż wreszcie musiał Antef wozami rozesłać ich do domów, niby rzeczy martwe.

W kilka dni odbyła się uroczystość zaślubin. Do pałacu Antefa zeszli się arcykapłani Herhor i Mefres, nomarchowie sąsiednich nomesów i najwyżsi dostojnicy miasta Tebów. Później przyjechał na dwukonnym wozie Tutmozis, otoczony oficerami gwardji, a na końcu — jego świątobliwość Ramzes XIII-ty.

Towarzyszyli panu: wielki pisarz, naczelnik łuczników, naczelnik konnicy, wielki sędzia, wielki skarbnik, arcykapłan Sem i generałowie adjutanci.

Gdy wspaniałe to zgromadzenie znalazło się w sali przodków najdostojniejszego Antefa, ukazała się Hebron w białych szatach, z licznym orszakiem przyjaciółek i służebnic. Wówczas ojciec jej, spaliwszy kadzidło przed Amonem, posągiem swego

ojca i — siedzącym na wzniesieniu Ramzesem XIII, oświadczył, że: córkę swoją Hebron uwalnia z pod opieki i ofiaruje jej posag. Przyczem podał jej w złotej puszce odpowiedni akt, spisany na papirusie wobec sądu.

Po krótkiej przekąsce panna młoda wsiadła do kosztownej lektyki, niesionej przez ośmiu urzędników nomesu. Przed nią szła muzyka i śpiewacy, dokoła lektyki dostojnicy, a za nimi wielki tłum ludu. Cały ten orszak posuwał się ku świątyni Amona, przez najpiękniejsze ulice Tebów, wśród tłumu tak licznego, jak na pogrzebie faraona.

W świątyni lud został za murem, a państwo młodzi, faraon i dygnitarze weszli do sali kolumnowej. Tu Herhor spalił kadzidła przed zasłonionym posągiem Amona, kapłanki wykonały święty taniec, a Tutmozis przeczytał z papirusu akt następujący:

„Ja, Tutmozis, dowódca gwardji jego świątobliwości Ramzesa XIII-go, biorę ciebie, Hebron, córkę nomarchy tebańskiego Antefa, za żonę. Daję ci zaraz sumę dziesięciu talentów zato, żeś żoną moją być zechciała. Na ubranie twoje przeznaczam ci trzy talenty rocznie, a na wydatki domowe po talencie co miesiąc. Z dzieci, które mieć będziemy, syn najstarszy będzie spadkobiercą majątku, jaki dziś posiadam i w przyszłości nabyć mogę. Jeżelibym nie żył z tobą, rozwiódł się i inną pojął żonę, będę obowiązany do wypłacenia ci 40-tu talentów, jakową sumę opieram na majątku moim. Syn nasz, gdy obejmie majątek, będzie obowiązany płacić ci 15 talentów rocznie. Dzieci zaś, spłodzone z inną

żoną, nie będą miały prawa do majątku pierworodnego syna naszego“ *).

Teraz wystąpił wielki sędzia i w imieniu Hebron przeczytał akt, w którym młoda pani obiecuje: dobrze karmić i odziewać małżonka swego, dbać o jego dom, rodzinę, służbę, inwentarz i niewolników, i powierza temuż małżonkowi zarząd majątkiem, jaki otrzymała i otrzyma od ojca.

Po odczytaniu aktów, Herhor podał Tutmozisowi puhar wina.

Pan młody wypił połowę, panna Hebron umoczyła usta, poczem oboje spalili kadzidła przed purpurową zasłoną.

Opuściwszy świątynię Amona tebańskiego, państwo młodzi i ich wspaniały orszak udali się przez aleję sfinksową do królewskiego pałacu. Gromady ludu i żołnierzy witały ich okrzykami, rzucając na drogę kwiaty.

Tutmozis dotychczas mieszkał w komnatach faraona. Lecz w dniu wesela pan darował mu piękny pałac, w głębi ogrodów, otoczony lasem fig, mirtów i baobabów, gdzie młodzi małżonkowie mogli przepędzać dni szczęścia, ukryci przed ludzkiem okiem, jakby odcięci od świata. W spokojnym tym zakątku tak rzadko pokazywali się ludzie, że nawet ptaki nie uciekały przed nimi.

Gdy nowożeńcy i goście znaleźli się w nowem mieszkaniu, nastąpiła ceremonja ślubu ostateczna.

Tutmozis ujął za rękę Hebron i podprowadził

*) Autentyczne.

ją do ognia płonącego przed posągiem Izydy. Wtedy Mefres wylał na głowę panny łyżkę świętej wody, Hebron dotknęła ręką ognia, a Tutmozis podzielił się z nią kawałkiem chleba i na palec włożył jej swój pierścień na znak, że od tej pory zostaje panią majątku, sług, trzód i niewolników pana młodego.

Przez ten czas kapłani śpiewali hymny weselne i obnieśli posąg boskiej Izydy po całym domu. Kapłanki zaś wykonały święte tańce.

Dzień ten zakończył się widowiskami i wielką ucztą, podczas której wszyscy spostrzegli, że Hebron ciągle towarzyszyła faraonowi, a Tutmozis trzymał się od niej zdaleka i tylko częstował gości.

Gdy wzeszły gwiazdy, święty Herhor opuścił ucztę, wkrótce po nim wymknęło się kilku najwyższych dostojników. Zaś około północy w podziemiach świątyni Amona zebrały się następujące czcigodne osoby, arcykapłani: Herhor, Mefres i Mentezufis, najwyższy sędzia Tebów, tudzież naczelnicy nomesów: Abs, Horti i Emsuch.

Mentezufis obejrzał grube kolumny, zamknął drzwi, pogasił światła, i została w niskiej komnacie tylko jedna lampa, płonąca przed posążkiem Horusa. Dostojnicy zasiedli na trzech kamiennych ławach, a nomarcha Absu rzekł:

— Gdyby mi kazano określić charakter jego świątobliwości Ramzesa XIII-go, zaiste! nie potrafiłbym tego uczynić...

— Warjat! — wtrącił Mefres.

— Czy warjat, nie wiem — odparł Herhor. — W każdym razie człowiek bardzo niebezpieczny.

Asyrja już dwa razy przypominała nam o ostatecznym traktacie, a dziś, jak słyszę, zaczyna niepokoić się zbrojeniem Egiptu...

— O to mniejsza — rzekł Mefres — gorsze bowiem jest, że ten bezbożnik naprawdę myśli naruszyć skarby Labiryntu...

— A jabym sądził — odezwał się nomarcha Emsuchu — że gorsze są obietnice porobione chłopom. Dochody państwa i nasze stanowczo zachwieją się, jeżeli pospólstwo zacznie świętować co siódmy dzień... A gdyby jeszcze faraon nadał im grunta!...

— On gotów to zrobić — szepnął najwyższy sędzia.

— Czy aby gotów?... — spytał nomarcha Horti. — Mnie się zdaje, że on tylko chce pieniędzy. Gdyby mu więc ustąpić coś ze skarbów Labiryntu...

— Nie można — przerwał Herhor. — Państwu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, tylko faraonowi, a to — nie wszystko jedno. Powtóre — jak grobla póty jest mocna, póki nie przeniknie jej choćby strumyk wody, tak Labirynt dopóty jest pełen, dopóki nie ruszymy z niego pierwszej sztaby złota. Po niej wszystko pójdzie...

Wreszcie kogóż zasilimy skarbami bogów i państwa?... Oto młodzieńca, który pogardza wiarą, upokarza kapłanów i buntuje lud. Nie jest-że on gorszym od Asara?... Bo ten jest wprawdzie barbarzyńcą, ale szkody nam nie robi.

— Nieprzystojną iest rzeczą, aby faraon tak

jawnie zalecał się do żony swego ulubieńca, już w dniu ślubu... — odezwał się zamyślony sędzia.

— Hebron sama go ciągnie! — rzekł nomarcha Horti.

— Każda kobieta wabi wszystkich mężczyzn — odpowiedział nomarcha Emsuchu. — Lecz na to dany jest rozum człowiekowi, aby nie popełniał grzechu...

— Alboż faraon nie jest mężem wszystkich kobiet w Egipcie?—szepnął nomarcha Abs.—Grzechy wreszcie należą do sądu bogów, a nas obchodzi tylko państwo...

— Niebezpieczny!... niebezpieczny!... — mówił nomarcha Emsuchu, trzęsąc rękoma i głową. — Niema żadnej wątpliwości, że pospólstwo już jest rozzuchwalone i lada chwila podniesie bunt. A wówczas żaden arcykapłan ani nomarcha nie będzie pewny nietylko władzy i majątku, ale nawet życia...

— Na bunt mam sposób — wtrącił Herhor.

— Jaki?

— Przedewszystkiem—odezwał się Mefres—buntowi można zapobiec, jeżeli mędrszych z pomiędzy pospólstwa oświecimy, że ten, który obiecuje im wielkie ulgi, jest warjatem...

— Najzdrowszy człowiek pod słońcem!—szepnął nomarcha Horti. — Trzeba tylko wyrozumieć: o co mu chodzi?

— Warjat! warjat!... — powtarzał Mefres. — Jego przyrodni brat starszy już udaje małpę i pije z paraszytami, a on zacznie to robić lada dzień...

— Jest to zły i niedorzeczny sposób ogłaszać

za warjata człowieka przytomnego — zabrał głos nomarcha Horti. — Bo gdy lud zmiarkuje kłamstwo, przestanie nam wierzyć we wszystkiem, a wówczas nic nie powstrzyma buntu.

— Jeżeli ja mówię, że Ramzes jest warjatem, muszę mieć na to dowody — rzekł Mefres. — A teraz posłuchajcie!

Dostojnicy poruszyli się na ławach.

— Powiedzcie mi — ciągnął Mefres — czy człowiek zdrowego rozumu ośmieli się, będąc następcą tronu, walczyć publicznie z bykiem, wobec kilku tysięcy Azjatów? Czy rozsądny książę, Egipcjanin, będzie po nocy włóczył się do świątyni fenickiej?... Czy, bez powodu, zepchnie do rzędu niewolnic pierwszą swoją kobietę, co nawet było przyczyną śmierci jej i dziecka?...

Obecni zaszemrali ze zgrozy.

— Wszystko to — mówił arcykapłan — widzieliśmy w Pi-Bast, jak również ja i Mentezufis byliśmy świadkami pijackich uczt, na których. już półobłąkany, następca bluźnił bogom i znieważał kapłanów...

— Tak było — wtrącił Mentezufis.

— A jak mniemacie — prawił, zapalając się, Mefres — czy człowiek zdrowy na umyśle, będąc naczelnym wodzem, opuści armję, ażeby uganiać się za kilku libijskimi bandytami?...

Pomijam mnóstwo rzeczy drobniejszych, choćby pomysł nadania chłopom świąt i ziemi, lecz pytam was: czy mogę nazywać przytomnym czło-

wieka, który popełnił tyle występnych niedorzeczności, bez powodu, oto tak sobie!...

Obecni milczeli, nomarcha Horti był zafrasowany.

— Nad tem trzeba się zastanowić — wtrącił najwyższy sędzia — ażeby nie stała się krzywda człowiekowi...

Tu odezwał się Herhor:

— Święty Mefres wyrządza mu łaskę — rzekł stanowczym tonem — poczytując go za warjata. W przeciwnym bowiem razie musielibyśmy uważać Ramzesa za zdrajcę...

Obecni poruszyli się z niepokojem.

— Tak, człowiek nazywany Ramzesem XIII, jest zdrajcą, bo nietylko wybiera sobie szpiegów i złodziei, ażeby odkryli drogę do skarbów Labiryntu, nietylko odmawia traktatu z Asyrją, którego Egipt koniecznie potrzebuje...

— Ciężkie oskarżenia! — rzekł sędzia.

— Ale jeszcze, słuchajcie mnie, układa się z podłymi Fenicjanami o przekopanie kanału między morzem Czerwonem i Śródziemnem! Otóż kanał ten jest największą groźbą dla Egiptu, albowiem kraj nasz w jednej chwili może być zalany przez wodę!...

Tu już nie chodzi o skarby Labiryntu, ale o nasze świątynie, domy, pola, o sześć miljonów, wprawdzie głupich, ale niewinnych ludzi, a wkońcu o życie nasze i naszych dzieci...

— Jeżeli tak jest!... — westchnął nomarcha Horti.

— Ja i dostojny Mefres zaręczamy, że tak jest i że ten jeden człowiek takie w swych rękach nagromadził niebezpieczeństwa, jakie jeszcze nigdy nie groziły Egiptowi... Dlatego zebraliśmy was, czcigodni mężowie, ażeby obmyślić środki ratunku... Ale musimy działać śpiesznie, bo zamiary tego człowieka pędzą naprzód, jak wicher pustyni i — bodajby nie zasypały nas!...

Na chwilę w mrocznej komnacie zaległa cisza.

— Co tu radzić? — odezwał się nomarcha Emsuch. — My siedzimy w nomesach, daleko od dworu i wreszcie nietylko nie znamy zamiarów tego szaleńca, ale nawet nie domyślamy się ich, prawie nie wierzymy...

Dlatego sądzę, że najlepiej pozostawić tę sprawę tobie, dostojny Herhorze, i Mefresowi. Odkryliście chorobę, obmyślicie teraz lekarstwo i zastosujecie... A jeżeli niepokoi was ogrom odpowiedzialności, dobierzcie sobie do pomocy najwyższego sędziego...

— Tak! tak!... prawdę mówi!... — potwierdzili wzburzeni dostojnicy.

Mentezufis zapalił pochodnię i położył na stole przed posągiem boga papirus, na którym spisano akt tej treści, że: wobec niebezpieczeństw, grożących państwu, władza rady tajnej przechodzi w ręce Herhora, któremu do pomocy dodani są: Mefres i najwyższy sędzia.

Akt ten, stwierdzony podpisami obecnych dostojników, zamknięto w puszkę i schowano w skrytce pod ołtarzem.

Nadto — każdy z siedmiu uczestników zobowiązał się, pod przysięgą, spełniać wszystkie rozkazy Herhora i wciągnąć do spisku po 10 dygnitarzy. Herhor zaś obiecał im złożyć dowody, że Asyrja nalega o traktat, że faraon nie chce go podpisać, że układa się z Fenicjanami o budowę kanału i że w zdradziecki sposób chce dostać się do Labiryntu.

— Życie moje i cześć jest w waszych rękach — zakończył Herhor. — Jeżeli to, co powiedziałem, jest nieprawdą, skażecie mnie na śmierć a ciało moje na spalenie...

Teraz już nikt nie wątpił, że arcykapłan mówi szczerą prawdę. Żaden bowiem Egipcjanin nie naraziłby ciała swego na spalenie, czyli — duszy na zgubę.

Kilka dni po weselu Tutmozis przepędził w towarzystwie Hebron, w pałacyku darowanym mu przez jego świątobliwość. Ale każdego wieczora przychodził do koszar gwardji, gdzie w towarzystwie oficerów i tancerek bardzo wesoło przepędzał noce.

Z tego zachowania koledzy domyślili się, że Tutmozis poślubił Hebron tylko dla posagu, co wreszcie nikogo nie dziwiło.

Po pięciu dniach Tutmozis przyszedł do faraona i oświadczył, że może napowrót objąć służbę. Skutkiem czego odwiedzał swoją małżonkę tylko przy świetle słonecznem, a w nocy czuwał przy komnacie pana.

Pewnego wieczora rzekł mu faraon:

— Pałac ten ma tyle kątów do podglądania

i podsłuchiwania, że każda moja czynność jest śledzona. Nawet do czcigodnej matki mojej znowu odzywają się tajemnicze głosy, które już umilkły były w Memfis, gdym rozpędził kapłanów...

Tym sposobem — ciągnął pan — nie mogę nikogo przyjmować u siebie, ale muszę opuszczać pałac i w miejscu bezpiecznem naradzać się ze sługami moimi...

— Mam iść za waszą świątobliwością? — spytał Tutmozis, widząc, że faraon obziera się za płaszczem.

— Nie. Musisz zostać tutaj i pilnować, aby nikt nie wchodził do mojej komnaty. Nikogo też nie wpuszczaj, choćby to była matka moja, a nawet cień wiecznie żyjącego ojca... Powiesz, że śpię i że nie chcę widzieć się z nikim.

— Stanie się, jak rzekłeś — odparł Tutmozis, wkładając na pana płaszcz z kapturem.

Potem zagasił światło w sypialni, a faraon wyszedł bocznemi kurytarzami.

Znalazłszy się w ogrodzie, Ramzes przystanął i z uwagą rozejrzał się w okolicy. Następnie, widać zorjentowawszy się, począł szybko iść w stronę pałacyku, ofiarowanego Tutmozisowi.

Po kilku minutach drogi, w cienistej alei ktoś przed nim stanął i zapytał:

— Kto idzie?...

— Nubja — odpowiedział faraon.

— Libja — rzekł pytający i nagle cofnął się, jakby przestraszony.

Był to oficer gwardji. Władca przypatrzył mu się i zawołał:

— Ach, to Eunana!... Co tu robisz?

— Obchodzę ogrody. Robię to każdej nocy po parę razy, gdyż zakradają się niekiedy złodzieje.

Faraon pomyślał i rzekł:

— Roztropnie czynisz. Lecz pamiętaj sobie, że pierwszym obowiązkiem gwardzisty jest milczeć... Złodzieja wypędź, ale gdybyś spotkał jaką dostojną osobę, nie zaczepiaj jej i milcz, zawsze milcz... Choćby to... był sam arcykapłan Herhor...

— O panie! — zawołał Eunana — tylko nie rozkazuj mi składać w nocy hołdu Herhorowi albo Mefresowi... Nie wiem, czy na ich widok miecz sam nie wydarłby mi się z pochwy...

Ramzes się uśmiechnął.

— Twój miecz jest moim — odparł — i tylko wtedy może wyjść z pochwy, kiedy ja rozkażę...

Skinął głową Eunanie i poszedł dalej.

Po kwadransie błądzenia mylnemi ścieżkami, faraon znalazł się wpobliżu bramy ukrytej w gąszczach. Zdawało mu się, że usłyszał szelest i cicho zapytał:

— Hebron?...

Naprzeciw niemu wybiegła figura, odziana również w ciemny płaszcz. Przypadła do Ramzesa i zawisła mu na szyi, szepcąc:

— To ty, panie?... to ty?... Jakże długo czekałam!...

Faraon poczuł, że wysuwa mu się z objęć, więc wziął ją za rękę i zaniósł do altany. W tej

chwili spadał z niego płaszcz. Ramzes przez chwilę ciągnął go, lecz wkońcu — zostawił.

Na drugi dzień czcigodna pani Nikotris wezwała do siebie Tutmozisa. Ulubieniec faraona aż się zląkł, spojrzawszy na nią. Królowa była strasznie blada; oczy miała zapadłe, prawie błędne.

— Siądź — rzekła, wskazując mu stołeczek obok swego fotelu.

Tutmozis zawahał się.

— Siądź!... I... i... przysięgnij, że nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem...

— Na cienie mego ojca... — rzekł.

— Słuchaj — mówiła królowa cicho — byłam dla ciebie prawie matką... Gdybyś więc zdradził tajemnicę, bogowie skaraliby... Nie... Oni tylko zwaliliby na twoją głowę część tych klęsk, jakie wiszą nad moim rodem...

Tutmozis słuchał zdumiony.

— „Obłąkana?...“ — pomyślał z trwogą.

— Spojrzyj na to okno — ciągnęła — na to drzewo... Czy wiesz, kogo dziś w nocy widziałam na tem drzewie, za oknem?...

— Miałżeby przyjechać do Tebów przyrodni brat jego świątobliwości?...

— To nie był tamten — szeptała, łkając. — To był on sam... mój Ramzes!...

— Na drzewie?... Dziś w nocy?...

— Tak!... światło pochodni doskonale padało na jego twarz i postać... Miał kaftan w białe i niebieskie pasy... obłąkane spojrzenie... śmiał się dziko, jak tamten, nieszczęsny jego brat, i mówił: „Patrz,

matko, ja już umiem latać, czego nie potrafił ani Seti, ani Ramzes Wielki, ani Cheops... Patrz, jakie wyrastają mi skrzydła!..."

Wyciągnął do mnie rękę, i ja, nieprzytomna z żalu, dotykałam przez okno jego rąk, jego twarzy oblanej zimnym potem... Wreszcie zsunął się z drzewa i uciekł...

Tutmozis słuchał przerażony. Nagle uderzył się w czoło.

— To nie był Ramzes!—odparł stanowczo.— To był człowiek bardzo podobny do niego, podły Grek, Lykon, który zabił mu syna, a dziś znajduje się w mocy arcykapłanów!... To nie Ramzes!... To występek tych nikczemników, Herhora i Mefresa...

Na twarzy królowej błysnęła nadzieja, lecz tylko na chwilę.

— Czyliżbym nie poznała mego syna?...

— Lykon ma być nadzwyczajnie podobny — rzekł Tutmozis. — To sprawa kapłanów... Nikczemni!... Śmierć za mało dla nich...

— Więc faraon spał dzisiejszą noc w domu?— nagle zapytała pani.

Tutmozis zmieszał się i spuścił oczy.

— Więc nie spał?...

— Spał... — odrzekł niepewnym głosem ulubieniec.

— Kłamiesz!... — Ale powiedz mi przynajmniej, czy nie miał kaftana w białe i niebieskie pasy?...

— Nie pamiętam... — szepnął Tutmozis.

— Znowu kłamiesz... A ten płaszcz... po-

wiedz, że to nie jest płaszcz mego syna... Mój niewolnik znalazł go na tem samem drzewie...

Pani zerwała się i wydobyła ze skrzyni brunatny płaszcz z kapturem. Jednocześnie Tutmozis przypomniał sobie, że faraon wrócił po północy, bez płaszcza, a nawet tłumaczył się przed nim, że płaszcz zginął mu gdzieś w ogrodzie.

Wahał się, myślał, wkońcu odparł stanowczo:

— Nie, królowo. To nie był faraon... To był Lykon i zbrodnia kapłanów, o której natychmiast trzeba powiedzieć jego świątobliwości...

— A jeżeli to Ramzes?... — znowu spytała pani, choć w jej oczach już było widać iskrę nadziei.

Tutmozis się stropił. Domysł jego co do Lykona był mądry i mógł być słuszny; lecz nie brakło poszlak, że królowa widziała Ramzesa. Wszak wrócił do swego mieszkania po północy, miał kaftan w białe i niebieskie pasy, zgubił płaszcz... Wszakże jego brat już był obłąkany, a wreszcie — czy w tym wypadku mogłoby omylić się serce matki?...

I oto naraz w duszy Tutmozisa zbudziły się wątpliwości skłębione, zmotane, jak gniazdo jadowitych węży.

Szczęściem, w miarę, jak on się wahał, w serce królowej wstępowała otucha.

— Dobrze, że przypomniałeś mi tego Lykona... Pamiętam... Przez niego Mefres posądził Ramzesa o dzieciobójstwo, a dziś — może posługuje się nędznikiem do zniesławienia pana...

W każdym razie ani słowa nikomu o tem, co ci powierzyłam... Gdyby Ramzes... gdyby naprawdę

uległ takiemu nieszczęściu, może to być chwilowe... Niepodobna upokarzać go rozgłaszaniem podobnych wieści, a nawet niepodobna zawiadamiać go o tem!... Jeżeli zaś jest to zbrodnia kapłanów, musimy być również ostrożni. Chociaż... ludzie, którzy uciekają się do takich oszustw, nie mogą być silni...

— Wyśledzę ja to — przerwał Tutmozis — ale gdy się przekonam...

— Tylko nie mów Ramzesowi, zaklinam cię na cienie ojców!... — zawołała pani, składając ręce. — Faraon nie przebaczyłby im, oddałby ich pod sąd, a wówczas musiałoby nastąpić jedno z dwu nieszczęść. Albo skazanoby na śmierć najwyższych kapłanów państwa, albo sąd uwolniłby ich... A co potem...

Natomiast Lykona ścigaj i zabij bez miłosierdzia, jak drapieżne zwierzę... jak żmiję...

Tutmozis pożegnał królową, znacznie uspokojoną, choć jego obawy wzrosły.

„Jeżeli ten podły Grek Lykon żyje jeszcze, pomimo kapłańskiego więzienia — myślał — to przedewszystkiem, zamiast łazić po drzewach i pokazywać się królowej — wolałby uciec... Ja sam ułatwiłbym mu ucieczkę i obsypałbym bogactwami, gdyby wyznał mi prawdę i szukał opieki przeciw tym łotrom... Ale skąd kaftan, płaszcz?... Dlaczego myliłaby się matka?...“

Od tej pory Tutmozis unikał faraona i nie śmiał patrzeć mu w oczy. A że i Ramzes był jakiś

nieswój, więc zdawało się napozór, że serdeczne ich stosunki ochłodły.

Lecz pewnego wieczoru pan znowu wezwał ulubieńca.

— Muszę—rzekł—pogadać z Hiramem o ważnych sprawach, więc wychodzę. Czuwaj tu, przy mojej sypialni, a gdyby kto chciał mnie widzieć, nie dopuść...

Gdy Ramzes zniknął w tajemnych kurytarzach pałacu, Tutmozisa ogarnął niepokój.

„Może — myślał — kapłani otruli go jakim szalejem, a on, czując, że zbliża się wybuch choroby, ucieka ze swego domu?... Ha, zobaczymy".

Jakoż zobaczył. Faraon wrócił dobrze po północy do swych komnat i wprawdzie miał na sobie płaszcz, ale... nie swój, tylko żołnierski.

Tutmozis zatrwożył się i nie spał do rana, oczekując, rychło znowu wezwie go królowa. Królowa jednak nie wezwała go. Natomiast, w czasie rannego przeglądu gwardji, oficer Eunana poprosił swego naczelnika o chwilę rozmowy.

Gdy znaleźli się we dwu, w osobnej komnacie, Eunana upadł Tutmozisowi do nóg, błagając, aby nikomu nie powtórzył tego, co on mu powie.

— Cóż się stało?... — zapytał Tutmozis, czując chłód w sercu.

— Wodzu—mówił Eunana—wczoraj w ogrodzie widziałem człowieka, który biegał nagi i krzyczał nieludzkim głosem...

Przyprowadzili go do mnie i wodzu... zabij mnie!...

Eunana upadł znowu do nóg Tutmozisowi.

— ...Ten człowiek nagi... ten... nie mogę powiedzieć...

— Kto był?... — zapytał przerażony Tutmozis.

— Już nic nie powiem... — jęknął Eunana. — Zdjąłem mój płaszcz i okryłem świętą nagość... Chciałem odprowadzić do pałacu, ale... ale pan kazał mi zostać i milczeć... milczeć!...

— I gdzie poszedł?...

— Nie wiem... nie patrzyłem i nie pozwoliłem patrzeć żołnierzom... Zniknął gdzieś w gąszczach ogrodu... Zapowiedziałem moim ludziom, że... nic nie widzieli... nic nie słyszeli... A gdyby który widział lub słyszał cokolwiek, będzie natychmiast uduszony...

Tutmozis tymczasem zdołał zapanować nad sobą.

— Nie wiem — rzekł chłodno — nie wiem i nie rozumiem nic z tego, coś mi opowiedział. Ale pamiętaj o jednem, że — ja sam biegałem nagi, gdym raz wypił za dużo wina i hojnie nagrodziłem tych, którzy mnie nie spostrzegli.

Chłopi, Eunano, chłopi i robotnicy zawsze chodzą nago. Wielcy zaś tylko wówczas, gdy im się tak podoba. I gdyby mnie, czy któremu z dostojników przyszła ochota stanąć na głowie, mądry i pobożny oficer nie powinien się temu dziwić.

— Rozumiem — odparł Eunana, bystro patrząc w oczy wodzowi. — I nietylko powtórzę to moim żołnierzom, ale nawet, zaraz, dzisiejszej nocy,

będę chodził nago po ogrodach, aby wiedzieli, że starsi mają prawo robić to, co chcą...

Bez względu jednak na małą liczbę osób, które widziały faraona czy jego sobowtóra w stanie obłędu, wieść o tych dziwnych wypadkach rozeszła się bardzo prędko. W kilka dni wszyscy mieszkańcy Teb, od paraszytów i nosiwodów do kupców i pisarzy, szeptali, że Ramzes XIII-ty dotknięty jest nieszczęściem, które jego starszych braci usunęło od tronu.

Obawa i cześć dla faraona były tak wielkie, że lękano się mówić głośno, osobliwie między ludźmi obcymi. Niemniej jednak wszyscy o tem wiedzieli, wszyscy — z wyjątkiem samego Ramzesa!...

Najszczególniejsze jednak było to, że pogłoska bardzo prędko obiegła całe państwo, co było dowodem, że rozchodziła się za pośrednictwem świątyń. Tylko bowiem kapłani posiadali tajemnicę porozumiewania się w ciągu kilkunastu godzin z jednego krańca Egiptu na drugi.

Tutmozisowi nikt bezpośrednio nie wspominał o szkaradnych wieściach. Lecz dowódca faraonowej gwardji na każdym kroku czuł ich istnienie. Z zachowania się ludzi, z którymi łączyły go stosunki, odgadywał, że służba, niewolnicy, żołnierze, dostawcy dworu mówią o szaleństwie pana, milknąc tylko na tę chwilę, kiedy ich mógł usłyszeć ktoś starszy.

Nareszcie zniecierpliwiony i zatrwożony Tutmozis zdecydował się na rozmowę z nomarchą tebańskim.

Przyszedłszy do jego pałacu, zastał Antefa, leżącego na kanapie, w pokoju, którego połowa była jakby ogródkiem, zapełnionym osobliwemi roślinami. Na środku tryskała fontanna różanej wody; w kątach stały posągi bogów, na ścianach były wymalowane historje czynów znakomitego nomarchy. Stojący w głowach czarny niewolnik chłodził pana wachlarzem ze strusich piór; na posadzce siedział pisarz nomesu i czytał raport.

Tutmozis miał minę tak zafrasowaną, że nomarcha natychmiast wyprawił pisarza i niewolnika, a podniósłszy się z kanapy, przejrzał wszystkie kąty pokoju, aby sprawdzić, czy kto nie podsłuchuje:

— Dostojny ojcze pani Hebron, mojej czcigodnej małżonki — odezwał się Tutmozis — z twego zachowania się widzę, że odgadujesz o czem chcę mówić?...

Nomarcha Teb zawsze musi być przezornym — odparł Antef. — Domyślam się również, że naczelnik gwardji jego świątobliwości nie mógł zaszczycić mnie odwiedzinami w błahym interesie.

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Tutmozis usiadł obok swego teścia i szepnął:

— Czy słyszałeś nikczemne wieści, które wrogowie państwa rozgłaszają o naszym władcy?...

— Jeżeli chodzi o moją córkę Hebron — spiesznie odezwał się nomarcha — oświadczam ci, że dziś ty jesteś jej panem i nie możesz mieć do mnie żalu...

Tutmozis niedbale machnął ręką.

— Jacyś niegodni ludzie — mówił zięć — roz-

głaszają, że faraon jest obłąkany... Słyszałeś o tem, mój ojcze?...

Antef kiwał i kręcił głową, co mogło równie dobrze oznaczać potwierdzenie i zaprzeczenie. Wreszcie rzekł:

— Głupstwo jest wielkie, jak morze, wszystko w sobie pomieści.

— To nie głupstwo, ale występek kapłanów, którzy posiadają człowieka, podobnego do jego świątobliwości, i posługują się nim do podłych czynów.

I opowiedział nomarsze historję Greka Lykona, tudzież jego zbrodnię w Pi-Bast.

— O tym Lykonie, który zabił dziecko księcia następcy, słyszałem — odparł Antef. — Ale gdzie masz dowody, że Mefres uwięził Lykona w Pi-Bast, że przywiózł go do Tebów, i że wypuszcza go do ogrodów królewskich, aby tam udawał obłąkanego faraona?...

— Właśnie dlatego pytam waszą dostojność: co robić?... Jestem przecie naczelnikiem gwardji i muszę czuwać nad czcią i bezpieczeństwem naszego pana.

— Co robić... co robić?... — powtarzał Antef.— Ha! przedewszystkiem pilnować, ażeby te wieści bezbożne nie dosięgnęły uszu faraona...

— Dlaczego?...

— Bo stanie się wielkie nieszczęście. Gdy nasz pan usłyszy, że Lykon w jego imieniu udaje warjata, wpadnie w gniew... straszny gniew... Naturalnie zwróci się przeciw Herhorowi i Mefresowi...

Może ich tylko zelży, może uwięzi, może nawet zabije... Cokolwiek zaś zrobi, zrobi bez żadnego dowodu, a wtedy co?... Dzisiejszy Egipt już nie lubi składać ofiar bogom, ale jeszcze ujmie się za niewinnie pokrzywdzonymi kapłanami... A wtedy co?... Bo ja myślę — dodał, zbliżywszy usta do ucha Tutmozisowi — bo ja myślę, że byłby to koniec dynastji.

— Więc co robić?...

— Ciągle jedno! — zawołał Antef. — Znajdź owego Lykona, dowiedź, że Mefres i Herhor ukrywali go i kazali mu udawać obłąkanego faraona... To możesz zrobić, jeżeli chcesz utrzymać łaskę pana. Dowodów, jak najwięcej dowodów!... U nas nie Asyrja, arcykapłanów bez najwyższego sądu krzywdzić nie można, a żaden sąd nie skaże ich bez namacalnych dowodów!...

Gdzie masz zresztą pewność, że faraonowi nie podsunięto jakiejś odurzającej trucizny?... Przecie to byłoby prostsze, aniżeli wysyłanie po nocy człowieka, który nie zna ani haseł, ani pałacu, ani ogrodu... Mówię ci: o Lykonie słyszałem z pewnych ust, bo od Hirama. Ale nie rozumiem, w jaki sposób Lykon mógłby w Tebach wyprawiać takie dziwy.

— Ale, ale!... — przerwał Tutmozis. — A gdzie jest Hiram?

— Zaraz po waszem weselu pojechał ku Memfisowi, a w tych dniach był już w Hiten.

Tutmozis znowu zakłopotał się.

„Tej nocy — myślał — kiedy do Eunany przyprowadzono nagiego człowieka, faraon mówił, że

idzie zobaczyć się z Hiramem. A ponieważ Hirama nie było w Tebach, więc co?... Więc jego świątobliwość, już o tej godzinie, sam nie wiedział co mówi!"

Tutmozis wrócił do siebie oszołomiony. Już nietylko nie pojmował: co robić w tem niesłychanem położeniu, ale nawet — co o niem myśleć? O ile bowiem w rozmowie z królową Nikotris był pewny, że w ogrodach ukazywał się Lykon, wysłany przez arcykapłanów, o tyle dziś — jego wątpliwości rosły.

A jeżeli tak było z Tutmozisem, ulubieńcem, który ciągle widywał Ramzesa, cóż miało dziać się w sercach ludzi obcych?... Najgorliwsi stronnicy faraona i jego zamiarów mogli zachwiać się, słysząc ze wszystkich stron, że władca jest obłąkany.

Był to pierwszy cios, zadany Ramzesowi XIII-temu przez kapłanów. Drobny sam w sobie, pociągał nieobrachowane skutki.

Tutmozis nietylko wahał się, ale i cierpiał. Pod lekkomyślnemi pozorami miał on charakter szlachetny i energiczny. Więc dziś, kiedy godzono na cześć i władzę jego pana, Tutmozisa gryzła bezczynność. Zdawało mu się, że jest komendantem twierdzy, którą podkopuje nieprzyjaciel, a on patrzy na to bezwładny!...

Myśl ta tak dręczyła Tutmozisa, że pod wpływem jej wpadł na śmiały pomysł. Mianowicie, spotkawszy raz arcykapłana Sema, rzekł mu:

— Wasza dostojność słyszałeś pogłoski, jakie krążą o naszym panu?...

— Faraon jest młody, więc mogą o nim krą-

żyć bardzo rozmaite plotki — odparł Sem, dziwnie patrząc na Tutmozisa. — Ale sprawy takie nie do mnie należą: zastępuję jego świątobliwość w służbie bogów, spełniam to, jak umiem najlepiej, o resztę nie dbam.

— Wiem, że wasza dostojność jesteś wiernym sługą faraona — mówił Tutmozis — i nie mam zamiaru mieszać się do kapłańskich tajemnic. Muszę jednak zwrócić waszą uwagę na jeden drobiazg...

Oto dowiedziałem się z pewnością, że święty Mefres przechowuje niejakiego Lykona, Greka, na którym ciążą dwa występki: jest on mordercą faraonowego syna i — jest zanadto podobny do jego świątobliwości...

Niech więc dostojny Mefres nie ściąga hańby na czcigodny stan kapłański i czem prędzej wyda mordercę sądom. Jeżeli bowiem my znajdziemy Lykona, przysięgam, że Mefres utraci nietylko swój urząd, ale i głowę. W naszem państwie nie można bezkarnie opiekować się zbójami i ukrywać ludzi podobnych do najwyższego władcy!...

Sem, w którego obecności Mefres odebrał policji Lykona, zmieszał się, może z obawy, ażeby jego nie posądzono o wspólnictwo. Niemniej jednak odparł:

— Postaram się ostrzec świętego Mefresa o tych uwłaczających mu podejrzeniach. Czy jednak wasza dostojność wie: jak odpowiadają ludzie, oskarżający kogoś o zbrodnię?

— Wiem i przyjmuję odpowiedzialność. Tak przecie jestem pewny swego, że o następstwa mo-

ich podejrzeń wcale się nie troszczę. Niepokój zostawiam czcigodnemu Mefresowi i życzę mu, abym nie potrzebował od przestróg — przejść do czynów.

Rozmowa wywołała skutek: od tej pory ani razu nikt nie widział faraonowego sobowtóra.

Ale pogłoski nie ucichły, a Ramzes XIII-ty nie wiedział o nich. Nawet bowiem Tutmozis, lękając się ze strony pana gwałtownych wystąpień przeciw kapłanom, nie zawiadamiał go o niczem.

ROZDZIAŁ XIII.

W początkach miesiąca Paofi *) jego świątobliwość, królowa Nikotris i dwór powrócili z Tebów do pałacu pod Memfisem.

Przy końcu podróży, która i tym razem odbywała się Nilem, Ramzes XIII-ty często wpadał w zamyślenie, a raz rzekł do Tutmozisa:

— Spostrzegam dziwny objaw... Lud gromadzi się na obu brzegach tak gęsto, a może nawet i gęściej, niż wówczas, gdyśmy płynęli w tamtą stronę. Ale okrzyki są znacznie słabsze, czółen jedzie za nami mniej i kwiatów rzucają skąpo...

— Boska prawda płynie z ust twoich, panie— odparł Tutmozis.—Istotnie, lud wygląda, jakby był zmęczony, co jednak pochodzi ze strasznych upałów...

— Mądrze powiedziałeś!... — pochwalił go faraon i rozjaśnił oblicze.

*) Lipiec — sierpień.

Ale Tutmozis nie wierzył własnym słowom. On czuł, a co gorsza, czuł cały orszak królewski, że masy ludu już nieco ochłodły w miłości swej do pana.

Czy był to skutek wieści o nieszczęsnej chorobie Ramzesa, czy jakich innych praktyk? Tutmozis nie wiedział. Był jednak pewny, że na to ochłodnięcie wpłynęli kapłani.

„Oto głupi motłoch! — myślał, nie hamując w swem sercu pogardy. — Niedawno tonęli, byle tylko ujrzeć oblicze jego świątobliwości, a dziś żałują krzyku... Czyby już zapomnieli i o siódmym dniu odpoczynku, i o ziemi na własność?...“

Natychmiast po przyjeździe do pałacu, faraon wydał rozkaz zgromadzenia delegatów, którzy mieli postanowić o naruszeniu skarbów Labiryntu. Jednocześnie polecił poddanym sobie urzędnikom i policji, aby rozpoczęto agitację przeciw kapłanom i za siódmym dniem odpoczynku.

Niebawem znowu zaczęło w Dolnym Egipcie wrzeć, jak w ulu. Chłopi upominali się nietylko o święta, ale i o płacenie im gotówką za roboty publiczne. Rzemieślnicy w szynkach i na ulicach złorzeczyli kapłanom, którzy chcą ograniczyć świętą władzę faraona. Liczba przestępstw wzrosła, ale przestępcy nie chcieli odpowiadać przed sądem. Pisarze spokornieli i żaden nie śmiał uderzyć człowieka prostego, wiedząc, że spotka się z odwetem. Do świątyń rzadziej składano ofiary, bogi pilnujące granic nomesów coraz częściej były obrzucane kamieniami i błotem, a nawet obalane.

Strach padł na kapłanów, nomarchów i ich poplecznikow. Naprożno sędziowie ogłaszali na rynkach i gościńcach, że według starych praw rolnik i rzemieślnik, a nawet kupiec, nie powinien zajmować się plotkami, które odciągają go od pracy chlebodajnej. Pospólstwo bowiem wśród śmiechu i krzyku obrzucało woźnych zgniłemi jarzynami i pestkami daktylów.

Wówczas arystokracja zaczęła gromadzić się w pałacu i, leżąc u nóg faraona, błagać go o ratunek.

— Jesteśmy — wołali — jakby ziemia rozpadała się pod naszemi stopami, i jakby świat się kończył!... Żywioły są zmieszane, umysły w rozterce, i jeżeli nie uratujesz nas ty, panie, godziny życia naszego są policzone!...

— Mój skarb jest pusty, armja nieliczna, policja oddawna nie widzi żołdu — odparł faraon. — Jeżeli więc chcecie mieć trwały spokój i bezpieczeństwo, musicie dostarczyć mi funduszów.

Ponieważ jednak moje królewskie serce trapi wasz niepokój, więc zrobię, co będę mógł, i mam nadzieję, że uda mi się przywrócić porządek.

Jakoż jego świątobliwość nakazał ściągnąć wojska i ustawić je w najważniejszych punktach kraju. Jednocześnie posłał rozkaz do Nitagera, aby ten zostawił granicę wschodnią swemu pomocnikowi, a sam, z pięcioma najlepszemi pułkami, maszerował do Memfisu.

Tak czynił pan, nietyle dla osłonienia arystokracji przed pospólstwem, ile dlatego, ażeby mieć

pod ręką duże siły, na wypadek, gdyby arcykapłani podburzyli Górny Egipt i pułki należące do świątyń.

10-go Paofi w zamku królewskim i jego okolicach zapanował wielki ruch. Zebrali się delegaci, mający przyznać faraonowi prawo czerpania ze skarbu w Labiryncie, tudzież mnóstwo ludzi, którzy chcieli przynajmniej patrzeć na miejsce, gdzie odbywała się niezwykła w Egipcie uroczystość.

Procesja delegatów zaczęła się z rana. Przodem szli nadzy chłopi, w białych czepcach i opaskach; każdy miał w ręku grubą płachtę dla okrycia grzbietu w obecności faraona. Za nimi posuwali się rzemieślnicy, ubrani jak chłopi, od których różnili się nieco cieńszemi płachtami i wąziutkiemi fartuszkami, pokrytemi różnobarwnym haftem.

Następowali kupcy, niektórzy w perukach, wszyscy w długich koszulach i pelerynach. Tu już można było widzieć na rękach i nogach bogate bransolety, a na palcach pierścienie. Potem szli oficerowie w czepcach i kaftanach w pasy: czarne i żółte, niebieskie i białe, niebieskie i czerwone. Dwaj, zamiast kaftanów, mieli na piersiach mosiężne pół-pancerze.

Po dłuższej przerwie ukazało się trzynastu szlachty w wielkich perukach i białych szatach do ziemi. Za nimi sunęli nomarchowie w szatach oblamowanych purpurową taśmą i w koronach na głowie. Pochód zamykali kapłani z ogolonemi głowami i twarzami, w panterczych skórach przez plecy.

Delegaci weszli do wielkiej sali pałacu faraonów, gdzie stało siedem ław jedna za drugą: najniższa dla chłopów, najwyższa dla stanu kapłańskiego.

Niebawem ukazał się, niesiony w lektyce, jego świątobliwość Ramzes XIII-ty, wobec którego delegaci upadli na ziemię. Gdy pan obu światów zasiadł na wysokim tronie, pozwolił wstać i zająć miejsce na ławach swoim wiernym poddanym. Poczem weszli i zasiedli na niższych tronach arcykapłani Herhor, Mefres i — dozorca Labiryntu ze szkatułką w ręku. Świetny orszak generałów otoczył faraona, poza którym dwaj wyżsi urzędnicy stanęli z wachlarzami z piór pawich.

— Prawowierni Egipcjanie! — odezwał się władca obu światów. — Wiadomo wam, że mój dwór, moje wojsko i moi urzędnicy znajdują się w potrzebie, której zubożały skarb wydołać nie może. O wydatkach na moją świętą osobę nie mówię, gdyż jadam i ubieram się jak żołnierz, a każdy generał lub wielki pisarz ma więcej służby i kobiet, aniżeli ja.

Między zebranymi odezwał się szmer potakujący.

— Dotychczas było we zwyczaju — ciągnął Ramzes — że, gdy skarb potrzebował funduszów, nakładało się większe podatki na pracujące pospólstwo. Ja jednak, który znam mój lud i jego nędzę, nietylko nie chciałbym go na nowo obciążać, ale jeszcze radbym mu udzielić pewnych ulg...

— Żyj wiecznie, panie nasz! — zawołano z kilku niższych ławek.

— Na szczęście dla Egiptu — mówił faraon — państwo nasze ma skarby, zapomocą których można podźwignąć armję, wynagrodzić urzędników, obdarzyć lud, a nawet spłacić wszystkie długi, jakie winniśmy bądź świątyniom, bądź Fenicjanom. Skarb ten, zebrany przez pełnych chwały przodków moich, leży w piwnicy Labiryntu. Lecz może być naruszony tylko wówczas, jeżeli wy wszyscy prawowierni, jednomyślnie, jak jeden mąż, uznacie, że Egipt jest w potrzebie, a ja, pan, mam prawo rozporządzać skarbami moich poprzedników...

— Uznajemy!... Błagamy, ażebyś wziął, panie, ile potrzeba!... — wołano ze wszystkich ław.

— Dostojny Herhorze! — zwrócił się do niego władca — czy święty stan kapłański ma coś do powiedzenia w tej sprawie?...

— Bardzo niewiele — odparł arcykapłan, powstając. — Według odwiecznych praw, skarb Labiryntu może być tylko wówczas naruszony, gdyby państwo nie posiadało żadnych innych środków... Ale dziś tak nie jest. Gdyby bowiem rząd zmazał wierzytelności fenickie, powstałe z niegodziwej lichwy, nietylko napełniłby się skarb waszej świątobliwości, ale i pospólstwo, dziś pracujące dla Fenicjan, odetchnęłoby w swym ciężkim trudzie...

Na ławie delegatów znowu odezwał się szmer przychylny.

— Pełna mądrości jest rada twoja, święty mężu — rzekł spokojnie faraon — ale niebezpieczna.—

Gdyby mój skarbnik, dostojni nomarchowie i szlachta raz nauczyli się przekreślać cudze należności, dziś nie zapłaciliby długów Fenicjanom, a jutro mogliby zapomnieć o długach, należnych faraonowi i świątyniom. Kto mi zaś powie, czy i pospólstwo, zachęcone przykładem wielkich, nie pomyślałoby, że i ono ma prawo zapomnieć o swoich obowiązkach względem nas?...

Cios był tak silny, że najdostojniejszy Herhor aż pochylił się na swojem krześle i — umilkł.

— A ty, najwyższy dozorco Labiryntu, chcesz co nadmienić? — spytał faraon.

— Mam tu szkatułkę — odparł — z białemi i czarnemi kamykami. Każdy delegat otrzyma oba kamyki i jeden z nich rzuci do dzbana. Kto chce, abyś wasza świątobliwość naruszył skarbiec Labiryntu, włoży czarny kamyk; kto woli, ażeby nie tykano własności bogów, położy biały.

— Nie zgadzaj się, panie, na to — szepnął skarbnik do władcy. — Niech raczej każdy delegat jasno powie: co ma w swej duszy?...

— Uszanujmy dawne zwyczaje — wtrącił Mefres.

— Owszem, niech rzucają kamyki do dzbana — rozstrzygnął pan. — Serce moje jest czyste, a zamiary niezłomne.

Święci Mefres i Herhor zamienili spojrzenia.

Nadzorca Labiryntu, w asystencji dwu generałów, zaczął obchodzić ławy i wręczać delegatom po dwa kamyki: czarny i biały. Biedacy z pospólstwa byli bardzo zmieszani, widząc przed sobą tak

wielkich dostojników. Niektórzy chłopi upadali na ziemię, nie śmieli brać gałek i z wielką trudnością pojmowali, że mogą do dzbana rzucić tylko jeden kamyk: czarny lub biały.

— Ja przecie chciałbym dogodzić bogom i jego świątobliwości... — szeptał stary pastuch.

Wkońcu udało się dostojnikom wytłumaczyć, a chłopom zrozumieć: czego od nich żądano. I zaczęło się oddawanie głosów. Każdy delegat przychodził do dzbana i wpuszczał w ten sposób, że inni nie wiedzieli, jakiej barwy gałkę rzuca.

Przez ten czas wielki skarbnik, klęcząc za tronem, szeptał do władcy:

— Wszystko zgubione!... Gdyby głosowali jawnie, mielibyśmy jednomyślność; ale teraz, bodaj mi ręka uschła, jeżeli w dzbanie nie znajdzie się ze 20-cia białych kamyków!...

— Uspokój się, wierny sługo — z uśmiechem odparł Ramzes. — Mam pod ręką więcej pułków, aniżeli będzie głosów przeciw nam.

— Ale poco to?... poco?...—wzdychał skarbnik.—Przecież bez jednomyślności nie otworzą nam Labiryntu...

Ramzes wciąż uśmiechał się.

Skończyła się procesja delegatów. Nadzorca Labiryntu podniósł dzban i jego zawartość wysypał na złotą tacę.

Na 91 głosujących było 83 kamyków czarnych, a tylko 8 białych.

Generałowie i urzędnicy struchleli, arcykapłani patrzali na zgromadzenie z triumfem, ale wnet

ogarnął ich niepokój; Ramzes bowiem miał wesołą fizjognomję.

Nikt nie śmiał oznajmić głośno, że projekt jego Świątobliwości upadł. Lecz faraon odezwał się z całą swobodą:

— Prawowierni Egipcjanie, dobrzy słudzy moi! Spełniliście mój rozkaz i łaska moja jest z wami. Przez dwa dni będziecie gośćmi mojego domu. Gdy zaś otrzymacie podarunki, wrócicie do swych rodzin i zajęć. Pokój z wami i błogosławieństwo!

To powiedziawszy, pan opuścił salę wraz ze świtą. Zaś arcykapłani Herhor i Mefres z trwogą spojrzeli po sobie.

— On wcale nie zmartwił się — szepnął Herhor.

— A mówiłem, że jest to wściekłe zwierzę!... — odparł Mefres. — On nie cofnie się przed gwałtem i, jeżeli go nie uprzedzimy...

— Bogowie obronią nas i swoje przybytki...

Wieczorem, w komnacie Ramzesa XIII-go zgromadzili się najwierniejsi jego słudzy: wielki skarbnik, wielki pisarz, Tutmozis i Kalipos, naczelny wódz Greków.

— O panie — jęknął skarbnik — dlaczego nie uczyniłeś, jak twoi wiecznie żyjący przodkowie?... Gdyby delegaci głosowali jawnie, już mielibyśmy prawo do skarbu w Labiryncie!

— Prawdę mówi jego dostojność — wtrącił wielki pisarz.

Faraon potrząsnął głową.

— Mylicie się. Choćby cały Egipt krzyknął:—

Oddajcie skarbowi fundusze Labiryntu, arcykapłani nie oddadzą...

— Więc poco zaniepokoiliśmy ich zwoływaniem delegatów?... Ten królewski czyn bardzo wzburzył i rozzuchwalił pospólstwo, które jest dzisiaj, jak wzbierająca woda...

— Nie lękam się przyboru — rzekł pan. — Moje pułki będą dla niego groblami... Mam zaś oczywistą korzyść z delegacyj, które mi pokazały niemoc przeciwników: 83 kamyki za nami, 8 za nimi!... Znaczy to, że gdy oni mogą liczyć na jeden korpus, ja na dziesięć...

— Nie oddawajcie się złudzeniom — ciągnął faraon. — Między mną i arcykapłanami już zaczęła się wojna. Oni są fortecą, którą wezwaliśmy do poddania się. Odmówili, więc musimy przypuścić szturm.

— Żyj wiecznie!... — zawołał Tutmozis i Kalipos.

— Rozkazuj, panie — rzekł wielki pisarz.

— A oto moja wola — mówił Ramzes.

Ty, skarbniku, rozdasz sto talentów między policję, oficerów robotniczych i sołtysów w nomesach: Seft, Neha-chent, Neha-pechu, Sebt-Het, Aa, Ament, Ka... W tych samych miejscach wydasz szynkarzom i oberżystom jęczmień, pszenicę i wino, jakie jest pod ręką, ażeby pospólstwo miało darmo żywność i jadło. Uczynisz to natychmiast, aby do 20-go Paofi zapasy były, gdzie potrzeba.

Skarbnik schylił się do ziemi.

— Ty, pisarzu, napisz i każ jutro ogłosić na

ulicach stolic nomesów, że barbarzyńcy z pustyni zachodniej wielkiemi siłami chcą napaść boską prowincję Fajum...

— Ty, Kaliposie, wyślesz cztery greckie pułki na południe. Dwa staną pod Labiryntem, dwa posuną się aż do Hanes. Gdyby milicja kapłańska szła od Tebów, odepchniecie ją i nie dopuścicie do Fajumu. A gdy lud, oburzony na kapłanów, zagrozi Labiryntowi, twoi Grecy niech go zajmą...

— A gdyby dozorcy zamku oparli się?... — wtrącił Kalipos.

— Byłby to bunt — odrzekł faraon i mówił dalej:

A ty, Tutmozisie, wyślesz trzy pułki do Memfisu i ustawisz je wpobliżu świątyń: Ptah, Izydy i Horusa. Gdy wzburzony lud zechce je szturmować, pułkownicy otworzą sobie bramy, nie dopuszczą pospólstwa do miejsc świętych i zabezpieczą osoby arcykapłanów od zniewagi.

I w Labiryncie, i w memfijskich świątyniach znajdą się kapłani, którzy wyjdą naprzeciw wojska z zielonemi gałązkami. Pułkownicy zapytają mężów tych o hasło i będą radzić się ich...

— A jeżeli kto ośmieli się stawiać opór? — spytał Tutmozis.

— Tylko buntownicy nie spełniają rozkazów faraona — odparł Ramzes.

Świątynie i Labirynt muszą być zajęte przez wojska 23-go Paofi — ciągnął faraon, zwracając się do wielkiego pisarza. — Lud zatem zarówno w Memfis, jak i w Fajum może zbierać się już 18-go,

z początku małemi garściami, potem coraz liczniej. Gdyby więc około 20-go zaczęły się drobne rozruchy, już nie należy im przeszkadzać; szturmować jednak do świątyń mogą dopiero w dniach 22-gim i 23-cim. A gdy wojsko zajmie te punkta, wszystko musi się uspokoić.

— Czy nie lepiej byłoby natychmiast uwięzić Herhora i Mefresa? — zapytał Tutmozis.

— Poco?... Mnie nie chodzi o nich, tylko o świątynie i Labirynt, do których zajęcia wojsko nie jest jeszcze gotowe. Zresztą Hiram, który przejął listy Herhora do Asyryjczyków, wróci dopiero około 20-go... Więc dopiero w dniu 21-szym Paofi będziemy mieli w ręku dowody, że arcykapłani są zdrajcami, i ogłosimy to ludowi.

— Zatem mam jechać do Fajum?... — spytał Kalipos.

— O nie! Ty i Tutmozis zostaniecie przy mnie z wyborowemi pułkami... Trzeba mieć przecie rezerwy, na wypadek, gdyby arcykapłani odciągnęli od nas część ludu.

— Nie lękasz się, panie, zdrady?—spytał Tutmozis.

— Zdrada ciągle sączy się, jak woda z pękniętej beczki. Jużci arcykapłani troszkę odgadują moje zamiary, a i ja znam ich chęci... Ponieważ jednak uprzedziłem ich w gromadzeniu sił, więc już będą słabsi. W ciągu kilkunastu dni nie formuje się pułków...

— A czary?... — spytał Tutmozis.

— Niema czarów, którychby nie rozproszył topór!... — zawołał, śmiejąc się, Ramzes.

Tutmozis chciał w tej chwili opowiedzieć faraonowi o praktykach arcykapłanów z Lykonem. Ale i tym razem powstrzymała go uwaga, że gdy się pan bardzo rozgniewa, utraci spokój, który dziś robi go potężnym.

Wódz przed bitwą nie może myśleć o niczem, tylko o bitwie. A na sprawę Lykona będzie czas, gdy kapłani znajdą się w więzieniu.

Na znak jego świątobliwości, Tutmozis został w komnacie, trzej zaś inni dygnitarze, złożywszy panu niskie ukłony, wyszli.

— Nareszcie — westchnął wielki pisarz, gdy ze skarbnikiem znaleźli się w przedsionku — nareszcie skończy się władza ogolonych łbów...

— Zaprawdę jest czas — dodał skarbnik. — Przez dziesięć lat ostatnich lada prorok więcej znaczył, aniżeli nomarcha Tebów albo Memfisu.

— Ja myślę, że Herhor pocichu gotuje sobie czółenko, ażeby uciec przed 23-im Paofi — wtrącił Kalipos.

— Co mu będzie! — rzekł pisarz. — Jego świątobliwość, dziś groźny, przebaczy im, gdy się upokorzą...

— A nawet za wstawieniem się królowej Nikotris zostawi im majątki — dopełnił skarbnik. — W każdym razie nastanie w państwie jakiś ład, którego już zaczynało braknąć.

— Zdaje mi się tylko, że jego świątobliwość zbyt wielkie robi przygotowania — mówił pisarz. —

Jabym wszystko zakończył greckiemi pułkami, nie tykając pospólstwa...

— Młody... lubi ruch... hałas... — dorzucił skarbnik.

— Jak to widać, że nie jesteście żołnierzami!— odezwał się Kalipos. — Kiedy chodzi o walkę, trzeba zgromadzić wszystkie siły, bo zawsze znajdą się niespodzianki.

— Zapewne, gdybyśmy nie mieli za sobą pospólstwa — odparł pisarz. — A tak — co może zdarzyć się nieoczekiwanego?... Bogowie nie zejdą bronić Labiryntu.

— Tak mówisz, wasza dostojność, bo jesteś spokojny — rzekł Kalipos — bo wiesz, że naczelny wódz czuwa i wszystko stara się przewidzieć. Inaczej może cierpłaby ci skóra.

— Nie widzę niespodzianek — upierał się pisarz. — Chyba arcykapłani znowu rozpuszczą wieść, że faraon oszalał...

— Będą oni próbowali różnych sztuk — wtrącił, ziewając, wielki skarbnik — ale, zaprawdę, sił im nie starczy... W każdym razie dziękuję bogom, że postawili mnie w królewskim obozie... No, idźmy spać...

Po wyjściu dostojników z komnaty faraona, Tutmozis w jednej ze ścian otworzył drzwi ukryte i wprowadził Samentu. Pan przyjął Setowego arcykapłana z wielką radością, podał do ucałowania rękę i uścisnął mu głowę.

— Pokój tobie, dobry sługo — rzekł władca.— Co przynosisz?...

— Byłem dwa razy w Labiryncie — odparł kapłan.

— I już znasz drogę?...

— Znałem ją dawniej, ale teraz odkryłem jedną rzecz. Skarbiec może się zapaść, pozabijać ludzi i zniszczyć klejnoty, które są największem bogactwem...

Faraon zmarszczył brwi.

Dlatego — ciągnął Samentu — wasza świątobliwość raczy przygotować kilkunastu ludzi pewnych. Z nimi wejdę do Labiryntu w nocy poprzedzającej szturm i obsadzę komnaty, które sąsiadują ze skarbcem... Osobliwie górną...

— Wprowadzisz ich?...

— Tak. Chociaż pójdę do Labiryntu jeszcze raz sam, i ostatecznie sprawdzę: czy nie uda mi się zapobiec, bez cudzej pomocy, ruinie? Ludzie, choćby najwierniejsi, są niepewni, a wprowadzanie ich, może zwrócić uwagę tych psów dozorujących...

— Jeżeli cię już nie śledzą... — wtrącił faraon.

— Wierz mi, panie — odparł kapłan, kładąc rękę na piersiach — że, aby mnie wyśledzić, trzebaby cudu. Ich zaślepienie jest prawie dziecinne. Czują już bowiem, że ktoś chce wedrzeć się do Labiryntu, lecz głupcy podwajają straże przy widocznych furtkach. Tymczasem ja sam, w ciągu miesiąca, poznałem trzy wejścia ukryte, o których oni zapomnieli, czy może zgoła nie wiedzą.

Chyba jaki duch mógłby ich ostrzec, że chodzę po Labiryncie, albo wskazać komnatę, w któ-

rej będę. Między trzema tysiącami komnat i kurytarzy jest to niemożliwe.

— Mówi prawdę dostojny Samentu—odezwał się Tutmozis. — I bodaj, że już za daleko posuwamy przezorność wobec arcykapłańskich gadzin.

— Tego nie mów, wodzu — rzekł kapłan. — Siły ich przy jego świątobliwości są garścią piasku wobec świątyni, ale Herhor i Mefres są — bardzo mądrzy!... I bodaj, że użyją przeciw nam takich orężów i obrotów, wobec których oniemiejemy ze zdziwienia... Nasze świątynie są pełne tajemnic, które zastanawiają nawet mędrców, a ścierają na proch duszę pospólstwa.

— Powiedz-że nam co o tem? — zapytał faraon.

— Zgóry mówię, że żołnierze waszej świątobliwości spotkają dziwy w świątyniach. To pogasną im światła, to znowu otoczą ich płomienie i szkaradne poczwary... Tu mur zastąpi im drogę, albo pod nogami otworzy się przepaść. W niektórych kurytarzach zaleje ich woda, w innych niewidzialne ręce będą rzucały kamieniami... A jakie grzmoty, jakie głosy rozlegać się będą dokoła nich!...

— W każdej świątyni mam życzliwych mi kapłanów młodszych, a w Labiryncie ty będziesz — rzekł faraon.

— I nasze topory — wtrącił Tutmozis. — Lichy to żołnierz, który cofa się przed płomieniami czy straszydłami, albo marnuje czas na przysłuchiwanie się tajemniczym głosom.

— Dobrze mówisz, wodzu! — zawołał Samentu. — Gdy tylko będziecie szli dzielnie naprzód, strachy pierzchną, głosy umilkną, a płomienie przestaną parzyć.

Teraz ostatnie słowo, panie nasz — zwrócił się kapłan do Ramzesa. — Gdybym zginął...

— Nie mów tak!... — żywo przerwał mu faraon.

— Gdybym zginął — mówił ze smutnym uśmiechem Samentu — przyjdzie do waszej świątobliwości młody kapłan Seta z moim pierścieniem. Niech więc wojsko zajmie Labirynt i wypędzi dozorców, i niech już nie opuszcza gmachu, bo ów młodzieniec, może w ciągu miesiąca, a może i wcześniej, znajdzie drogę do skarbców, przy wskazówkach, jakie mu zostawię...

Ale panie — mówił, klękając — błagam cię o jedno: gdy zwyciężysz — pomścij mnie, a nadewszystko nie przebaczaj Herhorowi i Mefresowi. Ty nie wiesz, jacy to są nieprzyjaciele!... Gdyby oni wzięli górę, zginiesz nietylko ty sam, ale i twoja dynastja...

— Alboż zwycięzcy nie godzi się być wspaniałomyślnym?... — spytał pochmurnie władca.

— Żadnej wspaniałomyślności!... żadnej łaski!... — wołał Samentu. — Dopóki oni będą żyli, tobie i mnie, panie, grozi śmierć, hańba, nawet zniewaga naszych trupów.

Można ugłaskać lwa, kupić Fenicjanina, przywiązać Libijczyka i Etjopa... Można ubłagać chal-

dejskiego kapłana, bo on, jak orzeł, unosi się na wysokościach i bezpieczny jest od pocisków...

Ale egipskiego proroka, który zakosztował zbytku i władzy, nie zjednasz niczem. I tylko śmierć ich, albo twoja, może zakończyć walkę.

— Prawdę mówisz, Samentu — odpowiedział Tutmozis. — Na szczęście, nie jego świątobliwość, ale — my, żołnierze, będziemy rozstrzygali spór między kapłanami i faraonem.

ROZDZIAŁ XIV.

12-go Paofi z różnych świątyń egipskich rozeszły się niepokojące wieści.

W ciągu kilku dni ostatnich w świątyni Horusa wywrócił się ołtarz, w świątyni Izydy posąg bóstwa płakał. Zaś u Amona tebańskiego i u grobu Ozirisa w Denderach wypadły bardzo złe wróżby. Z nieomylnych oznak wywnioskowali kapłani, że Egiptowi grozi jakieś wielkie nieszczęście, jeszcze przed upływem miesiąca.

Skutkiem tego, arcykapłani Herhor i Mefres nakazali procesje dokoła świątyń i składanie ofiar w domach.

Zaraz nazajutrz, 13-go Paofi, odbyła się w Memfis wielka procesja: bóg Ptah wyszedł ze swojej świątyni, a bogini Izyda ze swojej. Oba bóstwa podążały ku środkowi miasta, w bardzo nielicznem gronie wiernych, przeważnie kobiet. Musiały jednak cofnąć się: mieszczanie bowiem egip-

scy drwili z nich, a inowiercy posunęli się do rzucania kamieni na święte łodzie bogów.

Policja wobec tych nadużyć zachowała się obojętnie, a nawet niektórzy jej członkowie wzięli udział w nieprzystojnych żartach. Od południa zaś jacyś nieznani ludzie zaczęli opowiadać tłumowi, że stan kapłański nie pozwala na żadne ulgi dla pracujących i chce podnieść bunt przeciw faraonowi.

Ku wieczorowi, pod świątyniami zbierały się gromadki robotników z gwizdaniem i złorzeczeniami na kapłanów. Jednocześnie ciskano kamienie do bram, a jakiś zbrodniarz publicznie odbił nos Horusowi, pilnującemu swojej świątyni.

W parę godzin po zachodzie słońca zebrali się arcykapłani i ich najwierniejsi stronnicy w świątyni Ptah. Był dostojny Herhor, Mefres, Mentezufis, trzech nomarchów i najwyższy sędzia z Tebów.

— Straszne czasy! — odezwał się sędzia. — Wiem z pewnością, że faraon chce podburzyć motłoch do napadu na świątynie...

— Słyszałem—odezwał się nomarcha Sebes— że wysłano rozkaz do Nitagera, ażeby przybiegł czem prędzej z nowemi wojskami, jakby już i tych nie było dosyć!...

— Komunikacja między Dolnym i Górnym Egiptem przecięta od wczoraj — dodał nomarcha Aa. — Na gościńcach stoi wojsko, a galery jego świątobliwości rewidują każdy statek płynący Nilem....

— Ramzes XIII nie jest „świątobliwością“ —

wtrącił oschle Mefres — gdyż nie otrzymał korony z rąk bogów.

— Wszystko to byłyby drobiazgi — odezwał się najwyższy sędzia. — Gorszą jest zdrada... Mam poszlaki, że wielu młodszych kapłanów sprzyja faraonowi i o wszystkiem donoszą mu...

— Są nawet tacy, którzy podjęli się ułatwić wojsku zajęcie świątyń — dodał Herhor.

— Wojsko ma wejść do świątyń?... — zawołał nomarcha Sebes.

— Taki ma przynajmniej rozkaz na 23-go — odparł Herhor.

— I wasza dostojność mówisz o tem spokojnie?... — zapytał nomarcha Ament.

Herhor wzruszył ramionami, a nomarchowie zaczęli spoglądać po sobie.

— Tego już nie rozumiem!... — odezwał się prawie z gniewem nomarcha Aa. — Świątynie mają zaledwie kilkuset żołnierzy, kapłani zdradzają, faraon odcina nas od Tebów i podburza lud, a dostojny Herhor mówi o tem, jakby nas zapraszał na ucztę... Albo brońmy się, jeżeli jeszcze można, albo...

— Poddajmy się jego świątobliwości?... — spytał ironicznie Mefres. — Na to zawsze będziecie mieli czas!

— Ale my chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o środkach obrony... — rzekł nomarcha Sebes.

— Bogowie ocalą swoich wiernych — odpowiedział Herhor.

Nomarcha Aa załamał ręce.

— Jeżeli mam otworzyć moje serce, to i mnie

dziwi wasza obojętność — odezwał się najwyższy sędzia.—Prawie całe pospólstwo jest przeciw nam...

— Pospólstwo, jak jęczmień na polu, idzie za wiatrem — rzekł Herhor.

— A wojsko?...

— Któreż wojsko nie upadnie przed Ozirisem?

— Wiem — przerwał niecierpliwie nomarcha Aa — ale nie widzę ani Ozirisa, ani tego wiatru, który do nas zwróci pospólstwo... Tymczasem faraon już dziś przywiązał ich do siebie obietnicami, a jutro wystąpi z darowizną...

— Od obietnic i podarunków mocniejsza jest trwoga — odparł Herhor.

— Czego oni mają się bać?... Tych trzystu żołnierzy, jakich mamy?

— Ulękną się Ozirisa.

— Ale gdzież on jest?... — pytał wzburzony nomarcha Aa...

— Zobaczycie go wszyscy. A szczęśliwym byłby ten, ktoby na ów dzień oślepnął.

Słowa te wypowiedział Herhor z takim niezachwianym spokojem, że w zgromadzeniu zaległa cisza.

— Ostatecznie cóż jednak robimy?... — spytał po chwili najwyższy sędzia.

— Faraon — mówił Herhor — chce, ażeby lud napadł na świątynie 23-go. My zaś musimy sprawić, aby napadnięto nas 22-go Paofi.

— Wiecznie żywi bogowie! — znowu zawołał nomarcha Aa, wznosząc ręce. — A my poco mamy

ściągać nieszczęście na nasze głowy, w dodatku o dwa dni wcześniej?...

— Słuchajcie Herhora — odezwał się stanowczym głosem Mefres — i na wszelki sposób starajcie się, ażeby napad przypadł rano 20-go Paofi.

— A jeśli nas naprawdę rozbiją?... — spytał zmieszany sędzia.

— Jeżeli nie poskutkują zaklęcia Herhora, wówczas ja wezwę bogów na pomoc — odparł Mefres, a w oczach błysnął mu złowrogi ogień.

— Ha! wy arcykapłani macie swoje tajemnice, których nam odsłaniać nie wolno — rzekł wielki sędzia. — Zrobimy więc, co każecie, wywołamy napad 20-go. Ale pamiętajcie, że nasza i dzieci naszych krew spadnie na wasze głowy...

— Niech spadnie!...

— Niech się tak stanie!... — zawołali jednocześnie obaj arcykapłani.

Poczem dodał Herhor:

— Od dziesięciu lat rządzimy państwem i przez ten czas nikomu z was nie stała się krzywda, a każdej obietnicy dotrzymaliśmy. Bądźcież więc cierpliwi i wierni jeszcze przez kilka dni, aby zobaczyć moc bogów i otrzymać nagrodę.

Niebawem nomarchowie pożegnali arcykapłanów, nie usiłując nawet ukrywać smutku i niepokoju. Zostali tylko Herhor i Mefres.

Po dłuższem milczeniu Herhor odezwał się:

— Tak, ten Lykon był dobry, dopóki udawał szalonego. Ale ażeby można go podstawić zamiast Ramzesa!...

— Jeżeli matka nie poznała się na nim — odparł Mefres — więc już musi być bardzo podobny... A siedzieć na tronie, przemówić parę słów do otoczenia, to chyba potrafi. Zresztą my będziemy przy nim...

— Strasznie głupi komedjant!... — westchnął Herhor, trąc czoło.

— Mędrszy on od miljonów innych ludzi, gdyż ma podwójny wzrok i wielkie może oddać usługi państwu...

— Ciągle wasza dostojność mówisz mi o tym podwójnym wzroku — odparł Herhor. — Nareszcie niechże ja sam przekonam się o tem...

— Chcesz?... — spytał Mefres. Więc idźmy... Ale na bogi, Herhorze, o tem, co zobaczysz, nie wspominaj nawet przed własnem sercem...

Zeszli do podziemi świątyni Ptah i znaleźli się w obszernej piwnicy, oświetlonej kagańcem. Przy słabym blasku, Herhor dojrzał człowieka, który, siedząc za stołem, jadł. Człowiek miał na sobie kaftan gwardji faraona.

— Lykonie — rzekł Mefres — najwyższy dostojnik państwa chce przekonać się o zdolnościach, jakiemi obdarzyli cię bogowie...

Grek odepchnął misę z jedzeniem i począł mruczeć:

— Przeklęty dzień, w którym moje podeszwy dotknęły waszej ziemi!... Wolałbym pracować w kopalniach i być bity kijami...

— Na to zawsze będzie czas — wtrącił surowo Herhor.

Grek umilkł i nagle zaczął drżeć, zobaczywszy w ręce Mefresa kulkę z ciemnego kryształu. Pobladł, spojrzenie zmętniało mu, na twarz wystąpił pot kroplisty. Jego oczy były utkwione w jeden punkt, jakby przykute do kryształowej kuli.

— Już śpi — rzekł Mefres. — Nie dziwneż to?

— Jeżeli nie udaje.

— Uszczypnij go... ukłuj... nawet sparz... — mówił Mefres.

Herhor wydobył z pod białej szaty sztylet i zamierzył się, jakby chcąc uderzyć Lykona między oczy. Ale Grek nie poruszył się, nawet nie drgnęły mu powieki.

— Spojrzyj tu — mówił Mefres, zbliżając do Lykona kryształ. — Czy widzisz tego, który porwał Kamę?...

Grek zerwał się z krzesła z zaciśniętemi pięściami i śliną na ustach.

— Puśćcie mnie!... — wołał chrapliwym głosem. — Puśćcie mnie, abym napił się jego krwi...

— Gdzież on jest teraz?... — pytał Mefres.

— W pałacyku, w stronie ogrodu najbliższej rzeki... Jest z nim piękna kobieta... — szepnął Lykon.

— Nazywa się Hebron i jest żoną Tutmozisa— podpowiedział Herhor.—Przyznaj, Mefresie — dodał — że, ażeby o tem wiedzieć, nie trzeba podwójnego wzroku...

Mefres zaciął wąskie usta.

— Jeżeli to nie przekonywa waszej dostojności, pokażę coś lepszego — odparł. — Lykonie,

znajdź teraz zdrajcę, który szuka drogi do skarbca Labiryntu...

Śpiący Grek usilniej wpatrzył się w kryształ i po chwili odpowiedział:

— Widzę go ... Jest odziany w płachtę żebraka...

— Gdzie on jest?...

— Leży na dziedzińcu oberży, ostatniej przed Labiryntem... Z rana będzie tam...

— Jak on wygląda?...

— Ma rudą brodę i włosy... — odpowiedział Lykon.

— A co?... — spytał Mefres Herhora.

— Wasza dostojność masz dobrą policję — rzekł Herhor.

— Ale zato dozorcy Labiryntu źle go pilnują! — mówił gniewnie Mefres. — Jeszcze dziś w nocy pojadę tam z Lykonem, aby ostrzec miejscowych kapłanów... Lecz gdy uda mi się ocalić skarb bogów, wasza dostojność pozwolisz, że ja zostanę jego dozorcą...

— Jak wasza dostojność chcesz — odparł Herhor obojętnie. A w sercu swem dodał:

„Nareszcie pobożny Mefres zaczyna pokazywać zęby i pazury... Sam pragnie zostać—tylko dozorcą Labiryntu, a swego wychowańca Lykona zrobić tylko... faraonem!...

Zaprawdę, że dla nasycenia chciwości moich pomocników, bogowie musieliby stworzyć dziesięć Egiptów...“

Gdy obaj dostojnicy opuścili podziemia, Her-

hor, wśród nocy, piechotą, wrócił do świątyni Izydy, gdzie miał mieszkanie, a Mefres kazał przygotować parę konnych lektyk. Do jednej młodzi kapłani włożyli śpiącego Lykona, z workiem na głowie; do drugiej arcykapłan wsiadł sam i, otoczony garstką jeźdźców, tęgim kłusem pojechał do Fajum.

W nocy z 14-go na 15-ty Paofi, arcykapłan Samentu, stosownie do obietnicy danej faraonowi, wszedł, sobie tylko znanym kurytarzem, do Labiryntu. Miał w ręku pęk pochodni, z których jedna paliła się, a na plecach niewielki koszyk z przyborami.

Samentu bardzo łatwo przechodził z sali do sali, z kurytarza na kurytarz, jednem dotknięciem usuwając kamienne tafle w kolumnach i ścianach, gdzie były drzwi ukryte. Niekiedy wahał się, lecz wówczas odczytywał tajemnicze znaki na ścianach i porównywał je ze znakami na paciorkach, które miał na szyi.

Po półgodzinnej podróży znalazł się w skarbcu, skąd, usunąwszy taflę w podłodze, dostał się do sali leżącej pod spodem. Sala była niska, lecz obszerna, a jej sufit opierał się na mnóstwie przysadkowatych kolumn.

Samentu położył koszyk i, zapaliwszy dwie pochodnie, przy ich świetle zaczął odczytywać napisy ścienne.

„Mimo podłej postaci — mówił jeden napis — jestem prawdziwy syn bogów, gdyż gniew mój jest straszny.

Na dworze zamieniam się w słup ognia i czy-

nię błyskawice. Zamknięty, jestem grzmotem i zniszczeniem, i niema budowli, która oparłaby się mojej potędze.

Ułagodzić mnie może tylko święta woda, która odbiera mi moc. Ale gniew mój tak dobrze rodzi się z płomienia, jak i z najmniejszej iskry.

Wobec mnie wszystko skręca się i upada. Jestem jak Tyfon, który obala najwyższe drzewa i podnosi kamienie".

— Słowem, każda świątynia ma swoją tajemnicę, której inne nie znają!... — rzekł do siebie Samentu.

Otworzył jedną kolumnę i wydobył z niej duży garnczek. Garnczek miał pokrywę, przylepioną woskiem, tudzież otwór, przez który przechodził długi a cienki sznurek, niewiadomo gdzie kończąc się wewnątrz kolumny.

Samentu odciął kawałek sznurka, przytknął go do pochodni i spostrzegł, że sznur spala się bardzo prędko, wydając syczenie.

Teraz ostrożnie zdjął nożem pokrywę i zobaczył, wewnątrz garnka, niby piasek i kamyki popielatej barwy. Wydobył parę kamyków i, odszedłszy na bok, przytknął pochodnię. W jednej chwili buchnął duży płomień, i kamyki znikły, zostawiając po sobie gęsty dym i przykry zapach.

Samentu wyjął znowu trochę popielatego piasku, wysypał na posadzkę, umieścił wśród niego kawałek sznura, który znalazł przy garnku i — wszystko to nakrył ciężkim kamieniem. Potem zbli-

żył pochodnię, sznur zatlił się i po chwili — kamień wśród płomieni podskoczył do góry.

— Mam już tego syna bogów!... — rzekł z uśmiechem Samentu. — Skarbiec nie zapadnie się...

Zaczął chodzić od kolumny do kolumny, otwierać tafle i z wnętrza wydobywać ukryte garnki. Przy każdym był sznur, który Samentu przecinał, a garnki odstawiał na bok...

— No — mówił kapłan — jego świątobliwość mógłby darować mi połowę tych skarbów, a przynajmniej... syna mego zrobić nomarchą!... I z pewnością to zrobi, gdyż jest to wspaniałomyślny władca... Mnie zaś należy się co najmniej świątynia Amona w Tebach...

Zabezpieczywszy w ten sposób salę dolną, Samentu wrócił do skarbca, a stamtąd wszedł do sali górnej. Tam również były napisy na ścianach, liczne kolumny, a w nich garnki, zaopatrzone w sznury i napełnione kamykami, które, przy zetknięciu się z ogniem, wybuchały.

Samentu poprzecinał sznury, powydobywał garnki z wnętrza kolumn i szczyptę popielatego piasku zawiązał w gałganek.

Potem zmęczony usiadł. Wypaliło mu się sześć pochodni; noc musiała się już zbliżać ku końcowi.

— Nigdybym nie przypuszczał — mówił do siebie — że tutejsi kapłani mają tak dziwny materjał?... Przecie możnaby rozwalać nim asyryjskie fortece!... No, my także nie wszystko ogłaszamy naszym uczniom...

Strudzony począł marzyć. Teraz był pewnym, że zajmie najwyższe stanowisko w państwie, potężniejsze od tego, jakie zajmował Herhor.

Co wtedy zrobi?... Bardzo wiele. Zabezpieczy mądrość i majątek swoim potomkom. Postara się o wydobycie tajemnic ze wszystkich świątyń, co w nieograniczony sposób umocni jego władzę, a Egiptowi zapewni przewagę nad Asyrją.

Młody faraon drwi z bogów, to ułatwi mu ustanowienie czci dla jednego boga, naprzykład Ozirisa, i połączenie Fenicjan, żydów, Greków i Libijczyków w jedno państwo — z Egiptem.

Współcześnie przystąpi do robót nad kanałem, który ma połączyć morze Czerwone ze Śródziemnem. Gdy wśród kanału pobuduje się fortece i nagromadzi dużo wojska, cały handel z nieznanemi ludami Wschodu i Zachodu wpadnie w ręce Egipcjan.

Trzeba też posiadać własną flotę i majtków egipskich... A nadewszystko trzeba zgnieść Asyrję, która z każdym rokiem staje się niebezpieczniejszą... Trzeba ukrócić zbytki i chciwość kapłanów... Niechaj będą mędrcami, niech mają dostatek, ale niech służą państwu, zamiast, jak dziś, wyzyskiwać je na swoją korzyść...

— Już w miesiącu Hator — mówił w sobie — będę władcą!... Młody pan zanadto lubi kobiety i wojsko, aby mógł zajmować się rządami... A jeżeli nie będzie miał synów, wówczas mój syn, mój syn...

Ocknął się. Jeszcze jedna pochodnia spłonęła i był wielki czas do opuszczenia podziemiów.

Podniósł się, zabrał swój koszyk i opuścił salę nad skarbcem.

— Nie potrzebuję pomocników... — myślał, uśmiechając się. — Sam wszystko zabezpieczyłem... ja sam... pogardzany kapłan Seta!...

Minął już kilkadziesiąt komnat i kurytarzy, gdy nagle stanął... Zdawało mu się, że na posadzce sali, do której wszedł, widzi cienką smugę światła...

W jednej chwili ogarnęła go tak straszna trwoga, że zgasił pochodnię. Lecz i smuga na posadzce znikła.

Samentu wytężył słuch, ale słyszał tylko bicie tętna we własnej głowie.

— Przywidziało mi się!... — rzekł.

Drżącemi rękoma wydobył z kosza małe naczynie, gdzie powoli tliła się hubka, i znowu zapalił pochodnię.

— Jestem bardzo senny!... — pomyślał.

Rozejrzał się po sali i podszedł do ściany, w której były ukryte drzwi. Nacisnął gwóźdź, drzwi nie uchyliły się. Drugi... trzeci nacisk... nic...

— Co to znaczy?—rzekł do siebie zdumiony.

Już zapomniał o świetlnej smudze. Zdawało mu się, że spotkał go nowy, niesłychany wypadek. Tyle setek drzwi ukrytych otwierał w swem życiu, tyle ich otworzył w Labiryncie, że wprost nie mógł pojąć obecnego oporu.

Wtem znowu ogarnął go strach. Zaczął biegać od ściany do ściany i wszędzie próbować ukrytych

drzwi. Wreszcie jedne ustąpiły. Samentu głęboko odetchnął i znalazł się w ogromnej sali, jak zwykle przepełnionej kolumnami. Jego pochodnia rozświetlała zaledwie część przestrzeni, której ogromna reszta ginęła w gęstym mroku.

Ciemność, las kolumn, a nadewszystko nieznajomość sali, dodała kapłanowi otuchy. Na dnie jego trwogi zbudziła się iskra naiwnej nadziei: zdawało mu się, że ponieważ on nie zna tego miejsca, więc i nikt go nie zna, nikt tu nie trafi...

Uspokoił się nieco i uczuł, że nogi gną się pod nim. Więc usiadł. Lecz znowu zerwał się i począł obzierać się dokoła, jakgdyby chciał sprawdzić: czy istotnie grozi mu niebezpieczeństwo i—skąd?... Z którego z tych ciemnych kątów wyjdzie ono, aby rzucić się na niego?

Samentu, jak nikt w Egipcie, był oswojony z podziemiami, ciemnością, zbłąkaniem... Przechodził też różne niepokoje w życiu. Ale to, czego doznawał obecnie, było czemś zupełnie nowem i tak strasznem, że kapłan bał się nadać temu właściwe nazwisko.

Wkońcu z wielkim wysiłkiem zebrał myśli i rzekł:

— Gdybym naprawdę widział światło... gdyby naprawdę ktoś pozamykał drzwi, byłbym zdradzony... A w takim razie co?...

Śmierć!... — szepnął mu głos, ukryty gdzieś na dnie duszy.

Śmierć?...

Pot wystąpił mu na twarz; zatamował mu się

oddech. I nagle opanowało go szaleństwo strachu. Zaczął biegać po sali i uderzać pięścią w mury, szukając wyjścia. Już zapomniał gdzie jest i jak się tu dostał; stracił kierunek, a nawet możność orjentowania się zapomocą paciorków.

Zarazem poczuł, że jest w nim jakby dwu ludzi: jeden prawie obłąkany, drugi spokojny i mądry. Ten mądry tłumaczył sobie, że wszystko może być przywidzeniem, że nikt go nie odkrył, nikt go nie szuka, i że wyjdzie stąd, byle nieco ochłonął. Ale ten pierwszy, obłąkany, nie słuchał głosu rozsądku, owszem, z każdą chwilą brał górę nad swoim antagonistą wewnętrznym.

O, gdyby można było ukryć się w której kolumnie!... Niechby wówczas szukali... Choć zapewne niktby go nie szukał i nie znalazł, a on, przespawszy się, odzyskałby panowanie nad sobą.

— Cóż mnie tu może spotkać?—mówił, wzruszając ramionami. — Bylebym uspokoił się, mogą mnie gonić po całym Labiryncie... Wszak do przecięcia wszystkich dróg trzebaby kilku tysięcy ludzi, a do wskazania, w której celi jestem — chyba cudu!...

No, ale przypuśćmy, że złapią mnie... Więc i cóż!... Biorę ten oto flakonik, przykładam do ust i w jednej chwili uciekam tak, że mnie już nikt nie złapie... Nawet bogowie:..

Lecz pomimo rozumowań, znowu schwyciła go tak straszna trwoga, że po raz drugi zgasił pochodnię i, drżąc, szczękając zębami, wcisnął się pod jedną z kolumn.

— Jak można... jak można było wchodzić tutaj!... — mówił do siebie. — Alboż nie miałem czego jeść... na czem wesprzeć głowy?... Prosta rzecz, że jestem odkryty... Przecież Labirynt posiada mnóstwo czujnych, jak psy, dozorców, i tylko dziecko albo głupiec mógłby myśleć o oszukaniu ich!...

Majątek... władza!... Gdzież jest taki skarb, za który wartoby oddać jeden dzień życia?... I oto ja, człowiek w sile wieku, naraziłem swoje...

Zdawało mu się, że słyszał ciężkie stuknięcie. Zerwał się i — w głębi sali — zobaczył blask!...

Tak jest: blask rzeczywisty, nie złudzenie... W odległej ścianie, gdzieś na końcu, stały otwarte drzwi, przez które w tej chwili ostrożnie wchodziło kilku zbrojnych ludzi z pochodniami.

Na ten widok kapłan uczuł zimno w nogach, w sercu, w głowie... Już nie wątpił, że nietylko jest odkryty, ale ścigany i otoczony.

Kto mógł go zdradzić?... Rozumie się, że tylko jeden człowiek: młody kapłan Seta, którego wtajemniczył dość szczegółowo w swoje plany. Zdrajca sam z miesiąc musiałby szukać drogi w Labiryncie; ale gdyby porozumiał się z dozorcami, mogli Samentu wytropić w jeden dzień...

W tej chwili arcykapłan doznał wrażeń, znanych tylko ludziom, którzy stają w obliczu śmierci. Przestał się bać, gdyż jego urojone trwogi pierzchły wobec rzeczywistych pochodni... I nietylko odzyskał panowanie nad sobą, ale nawet poczuł się nieskończenie wyższym od wszystkiego, co żyje...

Za chwilę już nie będzie mu groziło żadne... żadne niebezpieczeństwo!...

Myśli przebiegły mu przez głowę z szybkością i jasnością błyskawic. Ogarnął całe swoje istnienie: prace, niebezpieczeństwa, nadzieje i ambicje i — wszystko to wydawało mu się drobiazgiem. Bo i coby mu przyszło, gdyby w tej chwili był nawet faraonem, albo posiadał klejnoty wszystkich skarbów królewskich?...

Wszystko to marność a pył, nawet gorzej, bo złudzenie. Jedna tylko rzecz jest wielka i prawdziwa — śmierć...

Tymczasem ludzie z pochodniami, pilnie oglądając kolumny i zakątki, doszli już do połowy ogromnej sali. Kapłan widział połyskujące ostrza ich włóczni i poznał, że wahają się, że posuwają się naprzód ze strachem i niechęcią. O kilka kroków za nimi szła inna grupa osób, oświetlona jedną pochodnią.

Samentu nawet nie czuł do nich niechęci, tylko ciekawość: kto mógł go zdradzić? Ale i ta kwestja niebardzo go obchodziła; wydało mu się bowiem nierównie ważniejszem pytanie: dlaczego człowiek musi umierać i — poco się rodził?... Gdyż, wobec faktu śmierci, całe życie skraca się w jedną chwilkę bolesną, choćby było najdłuższem i najbogatszem w doświadczenia.

— Poco to?... Naco to?...

Otrzeźwił go głos jednego ze zbrojnych.

— Tu nikogo niema i być nie może!...

Zbrojni stanęli. Samentu poczuł, że kocha tych

ludzi, którzy nie chcą iść dalej i — serce w nim uderzyło.

Powoli nadciągnęła druga grupa osób, w której spierano się.

— Jak nawet wasza dostojność może przypuszczać, że tu ktoś wszedł?... — mówił głos, drgający gniewem. — Przecież wszystkie wejścia są pilnowane, osobliwie teraz. A gdyby nawet kto zakradł się, to chyba poto, ażeby umrzeć z głodu...

— A jednak patrz wasza dostojność na zachowanie się Lykona — odparł drugi głos. — Śpiący wciąż wygląda tak, jakby nieprzyjaciela czuł blisko...

„Lykon?... — myślał Samentu. — Ach, to ten Grek podobny do faraona... Co widzę?... Mefres go tu przyprowadził?...“

W tej chwili śpiący Grek rzucił się naprzód i stanął przed kolumną, za którą ukrywał się Samentu. Zbrojni pobiegli za nim, a blask ich pochodni oświetlił czarną figurę kapłana.

— Kto tu?... — krzyknął chrapliwym głosem dowódca.

Samentu wysunął się. Jego widok zrobił tak silne wrażenie, że ludzie z pochodniami cofnęli się. Mógłby przejść między przerażonymi i niktby go nie zatrzymał; ale kapłan już nie myślał o ucieczce.

— A co, czy mylił się mój jasnowidzący?... — zawołał Mefres, wyciągając rękę. — Oto zdrajca!...

Samentu zbliżył się do niego z uśmiechem i rzekł:

— Poznałem cię po tym okrzyku, Mefresie.

Gdy nie możesz być oszustem, jesteś tylko głupcem...

Obecni osłupieli; Samentu mówił ze spokojną ironją:

— Choć prawda, że w tej chwili jesteś i oszustem i głupcem. Oszustem, bo wmawiasz w dozorców Labiryntu, że ten łotr ma dar podwójnego widzenia; a głupcem, bo myślisz, że ci uwierzą. Lepiej odrazu powiedz, że i w świątyni Ptah znajdują się dokładne plany Labiryntu...

— To fałsz!... — zawołał Mefres.

— Zapytaj tych ludzi, komu wierzą: tobie, czy mnie? Ja jestem tutaj, gdyż znalazłem plany w świątyni Seta, ty przyszedłeś z łaski nieśmiertelnego Ptah... — zakończył Samentu, śmiejąc się.

— Związcie tego zdrajcę i kłamcę!... — krzyknął Mefres.

Samentu cofnął się parę kroków. Szybko wydobył z pod odzieży flakonik i, podnosząc go do ust, rzekł:

— Mefresie, ty do śmierci będziesz głupi... Spryt masz tylko wówczas, gdy chodzi o pieniądze...

Przytknął do ust flakonik i upadł na posadzkę.

Zbrojni rzucili się na niego, podnieśli, ale już leciał im przez ręce.

— Niechże tu zostanie, jak inni... — rzekł dozorca Labiryntu.

Cały orszak opuścił salę i starannie zamknął ukryte drzwi. Niebawem wyszli z podziemi Labiryntu.

Gdy dostojny Mefres znalazł się na dziedzińcu, kazał swoim kapłanom przygotować konne lektyki i natychmiast razem ze śpiącym Lykonem odjechał do Memfisu.

Dozorcy Labiryntu, oszołomieni niezwykłemi wypadkami, spoglądali to na siebie, to na eskortę Mefresa, która już znikała w żółtym tumanie pyłu.

— Nie mogę uwierzyć — rzekł arcykapłan dozorca—że był za naszych dni człowiek, który wdarł się do podziemi...

— Wasza dostojność zapomina, że dzisiaj było trzech takich — wtrącił jeden z młodszych kapłanów, obrzucając go ukośnem spojrzeniem.

— A... a... prawda!... — odparł arcykapłan. — Czyliż bogowie pomieszali mi rozsądek?... — dodał, trąc czoło i ściskając zawieszony na piersiach amulet.

— I dwaj uciekli — podpowiedział młodszy kapłan — komedjant Lykon i świątobliwy Mefres.

— Dlaczegóż nie zwróciłeś mi uwagi tam... w podziemiu!... — wybuchnął zwierzchnik.

— Nie wiedziałem, że się tak stanie...

— Biada mojej głowie!... — wołał arcykapłan. — Nie naczelnikiem, ale odźwiernym tego gmachu powinienem być... Ostrzegano nas, że ktoś zakrada się do Labiryntu i nie zapobiegłem temu... A teraz znowu wypuściłem dwu najniebezpieczniejszych, którzy sprowadzą tu, kogo im się podoba... O biada!...

— Nie potrzebuje wasza dostojność rozpaczać — odezwał się inny kapłan. — Prawo nasze

jest wyraźne... Niech więc wasza dostojność wyśle do Memfisu czterech albo sześciu naszych ludzi i zaopatrzy ich w wyroki. Reszta należeć będzie do nich...

— Ależ ja straciłem rozum! — narzekał arcykapłan.

— Co się stało, to się stało — przerwał nie bez ironji młodszy kapłan. — Jedno jest pewne, że: ludzie, którzy nietylko trafili do podziemiów, ale nawet chodzili po nich, jak po własnym domu, że ci ludzie żyć nie mogą...

— Więc wyznaczcie sześciu z naszej milicji...

— Rozumie się!... Trzeba z tem skończyć! — potwierdzili kapłani-dozorcy.

— Kto wie, czy Mefres nie działał w porozumieniu z najdostojniejszym Herhorem? — szepnął ktoś.

— Dosyć! — zawołał arcykapłan. — Gdy Herhora znajdziemy w Labiryncie, postąpimy według prawa. Ale domyślać się, ani posądzać kogokolwiek — nie wolno... Niech pisarze przygotują wyroki dla Mefresa i Lykona, wybrani niech najśpieszniej jadą za nimi, a milicja niech pomnoży warty. Trzeba także zbadać wnętrze gmachu i odkryć, którędy wszedł Samentu... Choć jestem pewny, że nieprędko znajdzie naśladowców...

W parę godzin później sześciu ludzi wyjechało do Memfisu.

ROZDZIAŁ XV.

Już dnia 18-go Paofi w Egipcie zapanował chaos. Komunikacja między Dolnem i Górnem państwem została przerwana, handel ustał, po Nilu krążyły tylko statki strażnicze, drogi lądowe były zajęte przez wojska, które kroczyły ku miastom, posiadającym sławniejsze świątynie.

Na polach pracowali tylko kapłańscy chłopi. Zaś w majątkach szlachty, nomarchów, a osobliwie faraona, len nie był wyrwany, koniczyna nietknięta, winogron nie miał kto zrywać. Chłopi nie robili nic, tylko, włócząc się bandami, śpiewali, jedli, pili i odgrażali się bądź kapłanom, bądź Fenicjanom.

W miastach sklepy były pozamykane, a pozbawieni zajęcia rzemieślnicy po całych dniach radzili nad przeobrażeniem państwa. Gorszące to zjawisko nie było nowością dla Egiptu, ale wystąpiło w tak groźnych rozmiarach, że poborcy, a nawet sędziowie, zaczęli się kryć; tem bardziej, iż policja bardzo łagodnie traktowała nadużycia ludu prostego.

Jedna jeszcze rzecz zasługiwała na uwagę: oto — obfitość pokarmów i wina. W szynkowniach i garkuchniach, szczególnie fenickich, zarówno w Memfis, jak na prowincji, mógł jeść i pić kto chciał i ile chciał, za bardzo niską opłatą lub bez opłaty.

Mówiono, że jego świątobliwość wyprawia swemu ludowi ucztę, która ciągnąć się ma przez cały miesiąc.

Z powodu utrudnionych, a nawet poprzerywanych komunikacyj, miasta niedobrze wiedziały, co się dzieje u ich sąsiadów. I tylko faraon, a jeszcze lepiej kapłani zdawali sobie sprawę z ogólnego położenia kraju.

Położenie to cechował przedewszystkiem rozłam między Górnym czyli Tebańskim i Dolnym czyli Memfijskim Egiptem. W Tebach miało przewagę stronnictwo kapłanów, w Memfis — faraonowe. W Tebach mówiono, że Ramzes XIII-ty oszalał i chce sprzedać Egipt Fenicjanom; w Memfisie dowodzono, że kapłani chcą otruć faraona i naprowadzić do kraju Asyryjczyków.

Lud prosty, zarówno na północy, jak na południu, czuł instynktowny pociąg do Ramzesa. Ale lud, była to siła bierna i chwiejna. Gdy przemawiał agitator rządowy, chłopi gotowi byli uderzyć na świątynie i bić kapłanów; lecz, gdy wystąpiła procesja, padali na twarze i truchleli, słuchając zapowiedzi jakichś klęsk, które już w tym miesiącu groziły Egiptowi.

Przerażona szlachta i nomarchowie prawie wszyscy zjechali się do Memfisu błagać faraona o ratunek przeciw buntującym się chłopom. Lecz ponieważ Ramzes XIII-ty zalecał im cierpliwość, a nie gromił pospólstwa, więc magnaci zaczęli naradzać się ze stronnictwem kapłańskiem.

Prawda, że Herhor milczał, albo także zalecał cierpliwość; ale inni arcykapłani dowodzili panom, że Ramzes jest szalony, i napomykali o potrzebie usunięcia go od władzy.

W samym Memfisie krążyły obok siebie dwie partje. Bezbożnicy, którzy pili, hałasowali i obrzucali błotem mury świątyń, a nawet posągi — i — pobożni, przeważnie starcy i kobiety, którzy modlili się na ulicach, głośno zapowiadając nieszczęścia i błagając bogów o ratunek. Bezbożnicy codzień popełniali jakieś nadużycia, między pobożnymi codzień jakiś chory lub kaleka odzyskiwał zdrowie.

Lecz dziwna rzecz: obie partje, pomimo rozkołysanych namiętności, nie robiły sobie krzywdy, a tem mniej — nie porywały się do czynów gwałtownych. Co pochodziło stąd, że każda z nich robiła zamieszanie pod kierunkiem i według planu, obmyślanego w wyższych sferach.

Faraon, nie zgromadziwszy jeszcze wszystkich wojsk i dowodów przeciw kapłanom, nie dawał hasła do stanowczego napadu na świątynie; kapłani zdawali się czekać na coś. Było jednak widoczne, że już dziś nie czują się oni tak słabymi, jak w pierwszych chwilach po głosowaniu delegatów. A i sam Ramzes XIII-ty zamyślał się, gdy mu ze wszystkich stron donoszono, że chłopi kapłańscy prawie wcale nie mieszają się do zaburzeń, lecz pracują.

„Co to znaczy? — sam siebie zapytywał faraon. — Czy gołe łby sądzą, że nie ośmielę się zaczepić świątyń, czyli też mają jakieś nieznane mi środki obrony?“

19-go Paofi policja zawiadomiła władcę, że ubiegłej nocy lud począł psuć mury otaczające świątynię Horusa.

— Kazaliście im to robić?... — spytał faraon naczelnika.

— Nie. Rzucili się z własnego popędu.

— Powstrzymujcie ich łagodnie... powstrzymujcie... — rzekł pan. — Za kilka dni będą mogli robić, co im się podoba. Ale teraz jeszcze niech nie występują zbyt gwałtownie...

Ramzes XIII-ty, jako wódz i zwycięzca z nad Sodowych Jezior, wiedział, że gdy raz tłumy wyruszą do ataku, już ich nic nie powstrzyma: muszą rozbić, albo być rozbitymi. Gdyby świątynie nie broniły się, pospólstwo da im radę, ale — jeżeli zechcą bronić się?...

W takim wypadku lud ucieknie, i trzeba w to miejsce posłać wojska, którego było wprawdzie dużo, lecz nie tyle, ile potrzeba według rachunków faraona.

Nadto — Hiram jeszcze nie wrócił z Pi-Bast z listami dowodzącemi zdrady Herhora i Mefresa. A co ważniejsza, przychylni faraonowi kapłani mieli dać pomoc wojsku dopiero 23-go Paofi. Jakimże więc sposobem uprzedzić ich w tylu świątyniach, odległych jedna od drugiej? I czy sama ostrożność nie nakazywała unikać z nimi stosunków, które mogły ich zdradzić?

Z tych powodów Ramzes XIII-ty nie życzył sobie wcześniejszego napadania świątyń przez lud.

Tymczasem wbrew woli faraona wzburzenie rosło. Około świątyni Izydy zabito kilku pobożnych, którzy zapowiadali nieszczęścia dla Egiptu, lub cudownym sposobem odzyskali zdrowie. Około świą-

tyni Ptah pospólstwo rzuciło się na procesję, zbiło kapłanów i potłukło święte czółno, w którem podróżował posąg boga. Prawie współcześnie nadleciały sztafety z miast Sochem i Anu, że lud wdzierał się do świątyń, a w Cherau nawet wdarł się i znieważył miejsce najświętsze.

Nad wieczorem przyszła prawie ukradkiem, do pałacu jego świątobliwości, deputacja kapłanów. Czcigodni prorocy z płaczem upadli panu do nóg, wołając, aby zasłonił bogów i świątynie.

Ten wcale nieoczekiwany wypadek napełnił serce Ramzesa wielką radością, a jeszcze większą dumą. Kazał powstać delegatom i łaskawie odpowiedział, że jego pułki zawsze gotowe są bronić świątyń, byle — zostały tam wprowadzone.

— Nie wątpię — mówił — że sami burzyciele cofną się, zobaczywszy przybytki bogów zajęte przez wojsko.

Delegaci wahali się.

— Waszej świątobliwości wiadomo — odparł najstarszy z nich — że wojsko nie może wchodzić nawet za mur świątyń... Musimy więc zapytać o zdanie arcykapłanów...

— Owszem, naradźcie się — rzekł pan. — Nie umiem robić cudów i, z odległości mego pałacu, nie obronię świątyń.

Delegaci zasmuceni opuścili faraona, który po ich wyjściu zwołał radę poufną. Był przekonany, że kapłani poddadzą się jego woli, i ani mu przez myśl nie przeszło, że delegacja jest sztuką, urządzoną przez Herhora, aby go w błąd wprowadzić.

Gdy w komnacie królewskiej zebrali się cywilni i wojskowi dostojnicy, Ramzes, pełen dumy, zabrał głos:

— Chciałem — rzekł — dopiero 23-go Paofi zająć memfijskie świątynie... Uważam jednak, że lepiej będzie zrobić to jutro...

— Nasze wojska jeszcze nie zebrały się... — wtrącił Tutmozis.

— I nie mamy listów Herhora do Asyrji — dodał wielki pisarz.

— Mniejsza o to! — odparł faraon. — Niech lud jutro dowie się, że Herhor i Mefres są zdrajcami, a nomarchom i kapłanom okażemy dowody za parę dni, gdy wróci Hiram z Pi-Bast.

— Nowy rozkaz waszej świątobliwości bardzo zmienia plan pierwotny — rzekł Tutmozis. — Jutro nie zajmiemy Labiryntu... A gdyby i w Memfis świątynie ośmieliły się stawiać opór, nie mamy nawet taranów do wybicia bram...

— Tutmozisie — odpowiedział pan — mógłbym nie tłumaczyć się z moich rozkazów... Ale chcę przekonać was, że serce moje głębiej ocenia bieg wypadków...

Jeżeli lud — ciągnął — już dziś napada świątynie, to jutro zechce wedrzeć się do nich. Jeżeli go nie poprzemy, będzie odparty, a w każdym razie za trzy dni zniechęci się do śmiałych czynów.

A jeżeli kapłani już dziś wysyłają delegację, muszą być słabi. Tymczasem, za kilka dni może powiększyć się liczba ich stronników między ludem...

Zapał i strach jest, jak wino w dzbanku: ile

wylewa się, tyle go ubywa, i ten tylko może się napić, kto w porę podsunie swój kubek. Gdy więc lud dziś jest przygotowany do napadu, a nieprzyjaciele wystraszeni, zużytkujemy to, gdyż, jak powiadam, szczęście za kilka dni może opuścić nas, jeżeli nie zwróci się przeciw nam...

— I żywność kończy się—wtrącił skarbnik.— Za trzy dni pospólstwo musi wracać do roboty, bo nie będziemy mieli czem karmić ich darmo...

— O, widzisz!... — mówił faraon do Tutmozisa. — Ja sam rozkazałem naczelnikowi policji, ażeby hamował pospólstwo. Lecz gdy powściągnąć go nie można, trzeba skorzystać z ruchu. Doświadczony żeglarz nie walczy z prądem ani wiatrem, ale pozwala im unosić się w obranym przez siebie kierunku...

W tej chwili wszedł kurjer z doniesieniem, że lud rzucił się na cudzoziemców. Napadli Greków, Syryjczyków, nadewszystko Fenicjan... Wiele sklepów zrabowano i kilku ludzi zabito.

— Oto dowód — zawołał oburzony władca — że tłumów nie należy sprowadzać z drogi raz wytkniętej!... Jutro niech wojska będą wpobliżu świątyń... I niech natychmiast wkraczają do nich, jeżeli lud zacznie wdzierać się tam, albo... Albo gdyby zaczął cofać się pod naciskiem...

Prawda, że winogrona powinny być zrywane w miesiącu Paofi. Lecz czyliż jest ogrodnik, który, gdyby owoce dojrzały o miesiąc wcześniej, zostawiłby je na łozach?...

Powtarzam: chciałem opóźnić ruch pospól-

stwa, aż do ukończenia naszych przygotowań. Ale, gdy odkładać tych rzeczy nie można, więc korzystajmy z gotowego wiatru i — rozepnijmy żagle!...

Jutro Herhor i Mefres powinni być uwięzieni i przyprowadzeni do pałacu. A z Labiryntem skończymy za kilka dni.

Członkowie rady uznali, że postanowienie faraona jest dobre, i rozeszli się, podziwiając jego stanowczość i mądrość. Nawet generałowie oświadczyli, że lepiej korzystać z gotowej okazji, aniżeli gromadzić siły na ten czas, kiedy okazja minie.

Była już noc. Nadbiegł drugi kurjer od Memfisu z doniesieniem, że udało się policji ochronić cudzoziemców. Ale lud jest rozjuszony, i niewiadomo, do czego posunie się jutro.

Od tej chwili kurjer przychodził za kurjerem. Jedni przynosili wiadomości, że wielkie masy chłopstwa, uzbrojone w topory i pałki, ze wszystkich stron podążają do Memfisu. Skądinąd donoszono, że lud w okolicach Peme, Sochem i On ucieka w pole, krzycząc, że jutro będzie koniec świata. Inny kurjer przywiózł list od Hirama, że wnet przybywa. Inny zawiadomił o przekradaniu się pułków świątyniowych do Memfisu i, co ważniejsza, że z Górnego Egiptu posuwają się mocne oddziały ludu i wojska, wrogo usposobione dla Fenicjan, a nawet dla jego świątobliwości.

„Nim tamci nadejdą — myślał faraon — ja już będę miał w rękach arcykapłanów i nawet pułki Nitagera... Spóźnili się o kilka dni...“

Donoszono wreszcie, że tu i owdzie na gościń-

cach wojsko schwytało przebranych kapłanów, którzy usiłowali dostać się do pałacu jego świątobliwości, zapewne z niedobremi zamiarami.

— Niech ich przyprowadzą do mnie — odparł ze śmiechem faraon. — Chcę widzieć tych, którzy ośmielili się mieć względem mnie złe zamiary!...

Około północy, czcigodna królowa Nikotris zażądała posłuchania u jego świątobliwości.

Dostojna pani była blada i drżąca. Kazała wyjść oficerom z królewskiej komnaty, a zostawszy sam na sam z faraonem, rzekła, płacząc:

— Synu mój, przynoszę ci bardzo złe wróżby...

— Wolałbym, królowo, usłyszeć dokładne wiadomości o sile i zamiarach moich nieprzyjaciół...

— Dziś wieczorem posąg boskiej Izydy w mojej modlitewni odwrócił się twarzą do ściany, a woda w świętej cysternie poczerwieniała, jak krew...

— To dowodzi — odparł faraon — że wewnątrz pałacu mamy zdrajców. Nie są oni jednak zbyt niebezpieczni, jeżeli umieją tylko brudzić wodę i odwracać posągi.

— Cała nasza służba — ciągnęła pani — cały lud jest przekonany, że gdy wojska twoje wkroczą do świątyń, na Egipt spadnie wielkie nieszczęście...

— Większem nieszczęściem — rzekł pan — jest zuchwalstwo kapłanów. Wpuszczeni przez mego wiecznie żyjącego ojca, do pałacu, myślą dziś, że zostali jego właścicielami... Ależ na bogi, czemże ja wkońcu zostanę wobec ich wszechmocy!... I czy nie wolno mi upomnieć się o moje królewskie prawa?...

— Przynajmniej... przynajmniej — odezwała się pani po namyśle — bądź miłosierny... Tak, prawa musisz odzyskać, ale nie pozwalaj swoim żołnierzom, aby gwałcili święte przybytki lub krzywdzili kapłanów... Pamiętaj, że łaskawi bogowie zsyłają radość na Egipt, a kapłani mimo swych błędów (któż ich nie ma!) niezrównane usługi oddają temu krajowi... Pomyśl tylko, że gdybyś ich zubożył i rozpędził, zniszczyłbyś mądrość, która nad inne ludy wywyższyła nasze państwo...

Faraon wziął matkę za obie ręce, ucałował ją i, śmiejąc się, odparł:

— Kobiety zawsze muszą przesadzać!... Ty, matko, przemawiasz do mnie, jakgdybym był wodzem dzikich Hyksosów, nie zaś faraonem. Czyliż ja chcę krzywdy kapłanów?... Czy nienawidzę ich mądrości, choćby nawet tak jałowej, jak śledzenie obrotów gwiazd, które i bez nas chodzą po niebie, nie zbogacając nas o jednego utena?...

Nie drażni mnie ich rozum, ani pobożność, ale nędza Egiptu, który wewnątrz chudnie z głodu, a nazewnątrz boi się lada asyryjskich pogróżek. Tymczasem kapłani, pomimo swojej mądrości, nietylko nie chcą mi pomagać w moich królewskich zamiarach, ale w najbezczelniejszy sposób stawiają opór.

Pozwól więc, matko, abym przekonał ich, że nie oni, lecz ja jestem panem mego dziedzictwa. Nie umiałbym mścić się nad pokornymi — ale podepcę karki zuchwalców.

Oni wiedzą o tem, ale jeszcze nie dowierzają

— w braku sił rzeczywistych — chcą zastraszyć mnie zapowiedzią jakowejś klęski. Jest to ich ostatnia broń i ucieczka... Gdy więc zrozumieją, że nie lękam się strachów, upokorzą się... A w takim razie nie upadnie ani jeden kamień z ich świątyń, nie ubędzie ani jeden pierścień z ich skarbców.

Znam ja ich!... Dziś robią wielkie miny, bo jestem od nich daleko. Lecz gdy wyciągnę śpiżową rękę, padną na twarz i — cały ten zamęt skończy się spokojem i ogólną pomyślnością.

Królowa objęła nogi władcy i wyszła ukojona, zakląwszy jednak Ramzesa, aby szanował bogów i miał miłosierdzie nad ich sługami.

Po odejściu matki faraon wezwał Tutmozisa.

— Jutro tedy — rzekł pan — wojska moje zajmą świątynie. Zapowiedz jednak pułkownikom, niech wiedzą, że wolą moją jest, aby święte przybytki były nietknięte i aby nikt nie podniósł ręki na kapłanów.

— Nawet na Mefresa i Herhora?... — spytał Tutmozis.

— Nawet na nich — odparł faraon. — Dość będą mieli kary, gdy usunięci z dzisiejszych stanowisk, osiądą przy uczonych w świątyniach, ażeby modlić się i badać mądrość bez przeszkód...

— Stanie się, jak rozkazuje wasza świątobliwość... Chociaż...

Ramzes podniósł wgórę palec, na znak, że nie chce słuchać żadnych przedstawień. A następnie; aby zmienić temat rozmowy, rzekł z uśmiechem:

— Pamiętasz, Tutmozisie, manewry pod Pi-

Bailos?... Już minęły dwa lata!... Kiedy wówczas gniewałem się na zuchwalstwo i chciwość kapłanów, czy mogłeś pomyśleć, że tak prędko zrobię z nimi rachunek?...

A biedna Sara... A mały synek mój... Jaki on był piękny!...

Dwie łzy stoczyły się po twarzy faraona.

— Zaprawdę — mówił — gdybym nie był synem bogów, którzy są litościwi i wspaniałomyślni, wrogowie moi przeżyliby jutro ciężkie godziny... Ile oni zadali mi upokorzeń... Ile razy płacz zaćmiewał mi oczy z ich winy!...

ROZDZIAŁ XVI.

Dnia 20-go Paofi Memfis wyglądało jakby podczas uroczystego święta. Ustały wszelkie zajęcia, nawet tragarze nie nosili ciężarów. Cały lud wysypał się na place i ulice, albo skupiał się dokoła świątyń, głównie około bożnicy Ptah, która była najwarowniejszą. Tam zebrali się dostojnicy duchowni, tudzież świeccy, pod przewodnictwem Herhora i Mefresa.

Wpobliżu świątyń stały wojska w luźnym szyku, aby żołnierze mogli porozumiewać się z ludem.

Między pospólstwem i między wojskiem krążyli mnodzy przekupnie z koszami chleba, z dzbanami i skórzanemi workami, w których było wino. Częstowali oni lud darmo. Gdy zaś spytał ich kto:

dlaczego nie biorą zapłaty? — jedni odpowiadali, że to jego świątobliwość częstuje swoich poddanych.

Byli to przekupnie kapłańscy.

Agentów kręciło się mnóstwo. Jedni dowodzili słuchaczom, że kapłani buntują się przeciw panu, a nawet chcą go otruć zato, że obiecał ludowi siódmy dzień odpoczynku. Inni szeptali, że faraon oszalał i sprzysiągł się z cudzoziemcami na zgubę świątyń i Egiptu. Tamci zachęcali lud, ażeby napadł na świątynie, gdzie kapłani z nomarchami radzą nad uciemiężeniem rzemieślników i chłopów. Ci wyrażali obawy, że gdyby świątynie napadnięto, mogłoby zdarzyć się wielkie nieszczęście...

Mimo to, niewiadomo skąd, pod murem świątyni Ptah znalazło się kilka potężnych belek i stosy kamieni.

Poważni kupcy memfijscy, przechadzający się między tłumami, nie mieli żadnej wątpliwości, że ludowy zamęt był wywołany sztucznie. Drobni pisarze, policjanci, oficerowie robotników i przebrani dziesiętnicy wojskowi już nawet nie kryli się ani ze swojemi urzędowemi stanowiskami, ani z tem, że chcą popchnąć lud do zdobycia świątyń. Z drugiej strony: paraszytowie, żebracy, słudzy świątyń i niżsi kapłani, choć pragnęli ukryć się, nie mogli, a każdy obdarzony zmysłami widział, że i oni zachęcają pospólstwo do gwałtu!...

To też rozsądni mieszczanie memfijscy byli zdumieni takiem postępowaniem kapłańskiego stronnictwa, a lud — poczynał ostygać z wczorajszego zapału. Rodowici Egipcjanie nie mogli zrozumieć:

o co tu chodzi i kto naprawdę wywołuje zaburzenia? Chaos powiększał się dzięki pół-obłąkanym bigotom, którzy, nago przebiegając ulice, ranili sobie ciało do krwi i wołali:

— Biada Egiptowi!... Bezbożność przebrała miarę i zbliża się godzina sądu!... Bogowie okażą swoją moc nad zuchwalstwem nieprawości!...

Wojsko zachowywało się spokojnie, czekając, aż lud zacznie wdzierać się do świątyń. Z jednej bowiem strony taki rozkaz wyszedł z królewskiego pałacu; z drugiej zaś — oficerowie przewidywali zasadzki w świątyniach i woleli, ażeby ginęło pospólstwo, aniżeli żołnierze. Żołnierze i tak będą mieli dosyć zajęcia.

Ale tłum, pomimo krzyku agitatorów i wina, rozdawanego darmo, wahał się: chłopi obzierali się na rzemieślników, rzemieślnicy na chłopów, a wszyscy oczekiwali czegoś.

Nagle, około pierwszej w południe z bocznych ulic wylała się ku świątyni Ptah pijana banda, zbrojna w topory i drągi. Byli to rybacy, greccy majtkowie, pastusi, libijskie włóczęgi, nawet więźniowie z kopalni w Turra. Na czele bandy szedł robotnik olbrzymiego wzrostu, z pochodnią. Stanął on przed bramą świątyni i ogromnym głosem począł wołać do ludu:

— A wiecie wy, prawowierni, nad czem tu radzą arcykapłani i nomarchowie?... Oto, chcą zmusić jego świątobliwość Ramzesa, ażeby robotnikom odjął po placku jęczmiennym na dzień, a chłopów

obłożył nowym podatkiem, po drachmie od każdej głowy...

Dlatego, mówię wam, że popełniacie głupstwo i nikczemność, stojąc tu z założonemi rękoma!... Trzeba nareszcie wyłapać świątyniowych szczurów i oddać ich w ręce faraonowi, panu naszemu, na którego krzywdę zmawiają się bezbożnicy!... Bo gdyby władca nasz musiał ulec radzie kapłańskiej, któż wtedy ujmie się za uczciwym ludem?...

— Prawdę mówi!... — odezwano się w tłumie.

— Pan każe dać nam siódmy dzień wypoczynku...

— I obdarzy nas ziemią...

— Zawsze miał litościwe serce dla prostaków!... Pamiętacie, jak dwa lata temu uwolnił chłopów, oddanych pod sąd za napaść na folwark żydówki?...

— Ja sam widziałem, jak przed dwoma laty zbił pisarza, który ściągał z chłopów niesprawiedliwy podatek...

— Niech żyje wiecznie pan nasz, Ramzes XIII-ty, opiekun uciśnionych!...

— Patrzajcie ino — odezwał się głos zdaleka — samo bydło wraca z pastwisk, jakby zbliżał się wieczór...

— Co tam bydło!... Dalejże na kapłanów!...

— Hej, wy! — krzyknął olbrzym pod bramą świątyni. — Otwórzcie nam dobrowolnie, ażebyśmy się przekonali: nad czem radzą arcykapłani z nomarchami?...

— Otwórzcie!... bo wywalimy bramę!...

— Dziwna rzecz — mówiono zdaleka — ptaki kładą się spać... A przecie to dopiero południe...

— Dzieje się coś niedobrego w powietrzu!...

— Bogowie! już noc nadchodzi, a ja jeszcze nie narwałam sałaty na obiad... — dziwiła się jakaś dziewczyna.

Lecz uwagi te zagłuszył wrzask pijanej bandy i łoskot belek, uderzających w miedzianą bramę świątyni.

Gdyby tłum mniej był zajęty gwałtami napastników, już spostrzegłby, że w naturze zachodzi jakieś niezwykłe zjawisko. Słońce świeciło, na niebie nie było ani jednej chmurki, a mimo to jasność dzienna poczęła się zmniejszać i powiał chłód.

— Dajcie tu jeszcze jedną belkę!... — wołali napastnicy na świątynię. — Brama ustępuje!...

— Mocno!... Jeszcze raz!...

Przyglądający się tłum huczał, jak burza... Tu i ówdzie poczęły odrywać się od niego małe grupy i łączyć się z napastnikami. Wreszcie cała masa ludu zwolna podsunęła się ku świątyni.

Na dworze, mimo południa, wzrastał mrok; w ogrodach świątyni Ptah zaczęły piać koguty. Ale wściekłość tłumu była już tak wielka, że mało kto dostrzegał te zmiany.

— Patrzcie! — wołał jakiś żebrak — oto zbliża się dzień sądu... Bogowie...

Chciał mówić dalej, lecz, uderzony kijem w głowę, padł na miejscu.

Na mury świątyni poczęły wdzierać się nagie, lecz uzbrojone postacie. Oficerowie wezwali żołnie-

rzy pod broń, pewni, że niebawem trzeba będzie wesprzeć atak pospólstwa.

— Co to znaczy?... — szeptali żołnierze, przypatrując się niebu.—Niema chmur, a jednakże świat wygląda jak podczas burzy.

— Bij!... łam... — krzyczano pod świątynią.

Łoskot belek odzywał się coraz częściej.

W tej chwili na tarasie, stojącym nad bramą, ukazał się Herhor, otoczony orszakiem kapłanów i dygnitarzy świeckich. Najdostojniejszy arcykapłan miał na sobie złoty ornat i czapkę Amenhotepa, otoczoną królewskim wężem.

Herhor spojrzał po ogromnych masach ludu, który otaczał świątynię i, schyliwszy się do szturmującej bandy, rzekł:

— Kimkolwiek jesteście, prawowiernymi, czy poganami, w imię bogów wzywam was, ażebyście świątynię zostawili w spokoju...

Gwar ludu ucichnął nagle i tylko słychać było tłuczenie belek o miedzianą bramę. Lecz wnet i to ustało.

— Otwórzcie bramę! — zawołał zdołu olbrzym. — Chcemy przekonać się, czy nie knujecie zdrady przeciw naszemu panu...

— Synu mój — odparł Herhor — upadnij na twarz i błagaj bogów, aby przebaczyli ci świętokradztwo...

— To ty proś bogów, ażeby cię zasłonili!... — krzyknął dowódca bandy i, wziąwszy kamień, rzucił go wgórę, ku arcykapłanowi.

Jednocześnie z okna pylonu, wyleciał cieniutki

strumyk, niby wody, na twarz olbrzyma. Bandyta zachwiał się, zatrzepotał rękoma i upadł.

Jego najbliżsi wydali okrzyk trwogi, na co dalsze szeregi, nie wiedząc, co się stało, odpowiedziały śmiechem i przekleństwami.

— Wyłamujcież bramę!... — wołano od końca, i grad kamieni posypał się w stronę Herhora i orszaku.

Herhor wzniósł do góry obie ręce. A gdy tłum znowu ucichnął, arcykapłan zawołał silnym głosem:

— Bogowie! pod waszą opiekę oddaję święte przybytki, przeciw którym występują zdrajcy i bluźniercy...

W chwilę później, gdzieś nad świątynią, rozległ się głos nadludzki:

— Odwracam oblicze moje od ludu przeklętego i niech na ziemię spadnie ciemność!...

I stała się rzecz okropna: w miarę, jak głos mówił, słońce traciło blask!... A wraz z ostatniem słowem zrobiło się ciemno, jak w nocy. Na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, a zamiast słońca stał czarny krąg, otoczony obrączką promieni...

Niezmierny krzyk wydarł się ze stu tysięcy piersi. Szturmujący do bramy rzucili belki, chłopi upadli na ziemię...

— Oto nadszedł dzień sądu i śmierci!... — zawołał jękliwy głos w końcu ulicy.

— Bogowie!... litości... święty mężu, odwróć klęskę!... — zawołał tłum.

— Biada wojskom, które spełniają

rozkazy bezbożnych naczelników!...— zawołał wielki głos ze świątyni.

W odpowiedzi — już cały lud upadł na twarz, a w dwu pułkach stojących przed świątynią powstało zamieszanie. Szeregi połamały się, żołnierze poczęli rzucać broń i bez pamięci uciekać w stronę rzeki. Jedni, pędząc, jak ślepi, wśród ciemności rozbijali się o ściany domów; inni padali na bruk, deptani na śmierć przez swoich towarzyszów. W ciągu kilku minut, zamiast zwartych kolumn wojska, leżały na placu porozrzucane włócznie i topory, a przy wejściu do ulic piętrzyły się stosy rannych i trupów.

Żadna przegrana bitwa nie skończyła się podobną klęską.

— Bogowie!... bogowie!... — jęczał i płakał lud — zmiłujcie się nad niewinnymi...

— Ozirisie!... — zawołał z tarasu Herhor — ulituj się i ukaż oblicze swoje nieszczęśliwemu ludowi....

— Po raz ostatni wysłucham modlitwy moich kapłanów, bom jest miłosierny!... — odpowiedział nadludzki głos ze świątyni.

I w tejże samej chwili ciemność pierzchnęła, a słońce odzyskało swój blask.

Nowy krzyk, nowy płacz, nowe modlitwy rozległy się między tłumem. Pijani radością ludzie witali zmartwychwstające słońce. Nieznajomi padali sobie w objęcia, kilka osób zmarło, a wszyscy na

klęczkach pełzali do świątyni, aby całować jej błogosławione mury.

Na szczycie bramy stał najdostojniejszy Herhor, zapatrzony w niebo, a dwaj kapłani podtrzymywali jego święte ręce, któremi rozpędził ciemność i uratował lud swój od zagłady.

Takie same sceny, z pewnemi odmianami, odbyły się w całym Dolnym Egipcie. W każdem mieście, 20-go Paofi, lud od rana zbierał się pod świątyniami, w każdem mieście, około południa, jakaś banda szturmowała do bramy świętej. Wszędzie nad bramą około pierwszej ukazywał się arcykapłan świątyni z orszakiem, przeklinał bezbożników i robił ciemność. A gdy tłum uciekał w popłochu, albo padał na ziemię, arcykapłani modlili się do Ozirisa, aby ukazał swoje oblicze, i — dzienna światłość znowu powracała na ziemię.

Tym sposobem, dzięki zaćmieniu słońca, pełne mądrości stronnictwo kapłańskie już i w Dolnym Egipcie zachwiało powagę Ramzesa XIII-tego. W ciągu kilku minut, rząd faraona stanął, nawet nie wiedząc o tem, nad brzegiem przepaści. Ocalić go mógł tylko wielki rozum i dokładna znajomość sytuacji. Tego jednak zabrakło w królewskim pałacu, gdzie właśnie w ciężkiej chwili zaczęło się wszechmocne panowanie przypadku.

20-go Paofi jego świątobliwość wstał równo ze wschodem słońca i, ażeby być bliżej teatru działań, przeniósł się z głównego gmachu do willi, która zaledwie o godzinę drogi pieszej leżała od Memfisu. Willa ta miała z jednej strony koszary wojsk azja-

tyckich, z drugiej — pałacyk Tutmozisa i jego małżonki, pięknej Hebron. Razem z panem przyszli tutaj wierni Ramzesowi dygnitarze i — pierwszy pułk gwardji, w którym faraon pokładał nieograniczone zaufanie.

Ramzes XIII-ty był w doskonałym humorze, Wykąpał się, zjadł z apetytem śniadanie i — zaczął przesłuchiwać gońców, którzy co kwadrans nadlatywali z Memfisu.

Raporty ich były jednostajne aż do znudzenia. Arcykapłani i kilku nomarchów, pod przywództwem Herhora i Mefresa, zamknęli się w świątyni Ptah. Wojsko jest pełne otuchy, a lud wzburzony. Wszyscy błogosławią faraona i czekają na rozkaz do ataku.

Kiedy o godzinie 9-ej czwarty kurjer powtórzył te same słowa, faraon zmarszczył brwi.

— Na co oni czekają?... — zapytał pan. — Niech atakują natychmiast.

Goniec odpowiedział, że jeszcze nie zebrała się główna banda, która ma napaść świątynię i wyłamać miedzianą bramę.

Objaśnienie to nie podobało się panu. Potrząsnął głową i wysłał do Memfisu oficera, ażeby przyśpieszyć atak.

— Co znaczy ta zwłoka?... — mówił. — Myślałem, że moje wojsko obudzi mnie wiadomością o zdobyciu świątyni... W podobnych wypadkach szybkość działań jest warunkiem powodzenia.

Oficer odjechał, ale pod świątynią Ptah nie

zmieniło się nic. Lud czekał na coś, a głównej bandy jeszcze nie było na placu.

Można było sądzić, że jakaś inna wola opóźnia wykonywanie rozkazów.

O dziesiątej rano, do willi, zajmowanej przez faraona, przybyła lektyka królowej Nikotris. Czcigodna pani prawie gwałtem wdarła się do synowskiej komnaty i z płaczem upadła do nóg panu.

— Czego żądasz, matko? — rzekł Ramzes, z trudem ukrywając niecierpliwość. — Czy zapomniałaś, że dla kobiet niema miejsca w obozie?...

— Dzisiaj nie ruszę się stąd, nie opuszczę cię ani na chwilę!... — zawołała. — Prawda, że jesteś synem Izydy i ona otacza cię swoją opieką... Ale mimo to umarłabym z niepokoju.

— Cóż mi grozi? — spytał faraon, wzruszając ramionami.

— Kapłan, który śledzi gwiazdy — mówiła z płaczem królowa — odezwał się do jednej ze służebnic, że jeżeli dzisiaj... jeżeli dzisiejszy dzień upłynie ci szczęśliwie, będziesz żył i panował sto lat...

— Aha!... Gdzież jest ten znawca moich losów?

— Uciekł do Memfisu... — odparła pani.

Faraon zamyślił się, potem rzekł, śmiejąc się:

— Jak Libijczycy nad Sodowemi Jeziorami wyrzucali na nas pociski, tak dziś kapłaństwo miota na nas groźby... Bądź spokojna, matko! Gadulstwo jest mniej niebezpieczne, aniżeli strzały i kamienie.

Od Memfisu nadleciał nowy kurjer z doniesie-

niem, że wszystko jest dobrze, lecz — główna banda jeszcze niegotowa.

Na pięknej twarzy faraona ukazały się znaki gniewu. Pragnąc uspokoić władcę, odezwał się Tutmozis:

— Pospólstwo nie jest wojskiem. Nie umie zebrać się na oznaczoną godzinę; idąc, ciągnie się jak błoto i nie słucha komendy. Gdyby pułkom powierzono zajęcie świątyń, jużby tam były...

— Ależ co mówisz, Tutmozisie?... — zawołała królowa. — Gdzie kto słyszał, ażeby wojsko egipskie...

— Zapomniałaś — wtrącił Ramzes — że, według moich rozkazów, wojsko nie miało napadać, ale bronić świątyń przed napaścią pospólstwa...

— Przez to też opóźniają się działania — odparł niecierpliwie Tutmozis.

— Oto są królewscy doradcy! — wybuchnęła królowa. — Pan robi mądrze, występując jako obrońca bogów, a wy, zamiast łagodzić, zachęcacie go do gwałtu...

Tutmozisowi krew uderzyła do głowy. Na szczęście, wywołał go z komnaty adjutant, donosząc, że w bramie zatrzymano starego człowieka, który chce mówić z jego świątobliwością.

— U nas dzisiaj — mruczał adjutant — każdy dobija się tylko do pana; jakgdyby faraon był właścicielem karczmy...

Tutmozis pomyślał, że jednak za Ramzesa XII nikt nie ośmieliłby się w ten sposób wyrażać o władcy... Ale udał, że nie uważa.

Starym człowiekiem, którego zatrzymała warta, był fenicki książę Hiram. Miał na sobie okryty kurzem płaszcz żołnierski, a sam był zmęczony i zirytowany.

Tutmozis kazał go przepuścić, a gdy obaj znaleźli się w ogrodzie, rzekł mu:

— Sądzę, że wasza dostojność wykąpiesz się i przebierzesz, zanim wyjednam ci posłuchanie u jego świątobliwości?

Hiramowi najeżyły się siwe brwi i jeszcze mocniej krwią nabiegły oczy.

— Po tem, co już widziałem — odparł twardo — mogę nawet nie żądać posłuchania...

— Masz przecie listy arcykapłanów do Asyrji...

— Na co wam te listy, skoro pogodziliście się z kapłanami?...

— Co wasza dostojność wygadujesz? — rzucił się Tutmozis.

— Ja wiem, co mówię!... — rzekł Hiram. — Dziesiątki tysięcy talentów wydobyliście od Fenicjan, niby na uwolnienie Egiptu z mocy kapłańskiej, a dziś zato rabujecie nas i mordujecie... Zobacz, co się dzieje, od morza do pierwszej katarakty: wszędzie wasze pospólstwo ściga Fenicjan jak psów, bo taki jest rozkaz kapłanów...

— Oszalałeś, Fenicjaninie!... W tej chwili nasz lud zdobywa świątynię Ptah w Memfis...

Hiram machnął ręką.

— Nie zdobędzie jej! — odparł. — Oszukujecie nas, albo sami jesteście oszukani... Mieliście

przedewszystkiem zdobyć Labirynt i jego skarbiec, i to dopiero w dniu 23-cim Paofi... Tymczasem dziś marnujecie siły pod bóżnicą Ptah, a Labirynt przepadł...

Co się tu dzieje?... Gdzie tu rozum?... — ciągnął wzburzony Fenicjanin. — Naco te szturmy do pustych gmachów?... Napadacie je chyba w tym celu, ażeby wzmocniono dozór nad Labiryntem!

— I Labirynt weźmiemy — przerwał Tutmozis.

— Nic nie weźmiecie, nic!... Labirynt mógł wziąć tylko jeden człowiek, któremu przeszkodzą dzisiejsze awantury w Memfisie...

Tutmozis stanął na drodze.

— O co tobie chodzi?... — krótko spytał Hirama.

— O nieład, jaki panuje u was... O to, że już nie jesteście rządem, ale kupą oficerów i dostojników, którą kapłani pędzą, gdzie chcą i kiedy chcą... Od trzech dni w całym Dolnym Egipcie panuje tak straszny zamęt, że pospólstwo rozbija nas, Fenicjan, waszych jedynych przyjaciół... A dlaczego tak jest?... Bo rządy wymknęły się z waszych rąk i już pochwycili je kapłani...

— Mówisz tak, bo nie znasz położenia — odparł Tutmozis. — Prawda, że kapłani bróżdżą nam i urządzają napaści na Fenicjan. Ale władza jest w ręku faraona, ogólny bieg wypadków idzie według jego rozkazów...

— I dzisiejszy napad na świątynię Ptah? — spytał Hiram.

— Tak. Sam byłem na poufnej radzie, podczas której faraon rozkazał opanować świątynię dzisiaj, zamiast 23-go...

— No — przerwał Hiram — więc oświadczam ci, naczelniku gwardji, że jesteście zgubieni... Bo ja z pewnością wiem, że dzisiejszy napad został uchwalony na posiedzeniu arcykapłanów i nomarchów, które odbyło się w świątyni Ptah 13-go Paofi.

— Pocóżby oni uchwalali napad na samych siebie? — spytał drwiącym tonem Tutmozis.

— Muszą mieć w tem jakiś interes. A że oni lepiej prowadzą swoje interesa, aniżeli wy, o tem już się przekonałem.

Dalszą rozmowę przerwał adjutant, wzywający Tutmozisa do jego świątobliwości.

— Ale!... ale!... — dodał Hiram. — Wasi żołnierze zatrzymali na drodze kapłana Pentuera, który ma coś ważnego powiedzieć faraonowi.

Tutmozis schwycił się za głowę i natychmiast posłał oficerów, aby znaleźli Pentuera. Następnie pobiegł do faraona, a po chwili wrócił i kazał Fenicjaninowi iść za sobą.

Kiedy Hiram wszedł do królewskiej komnaty, zastał w niej królowę Nikotris, wielkiego skarbnika, wielkiego pisarza i kilku generałów. Ramzes XIII, zirytowany, szybko chodził po sali.

— Oto jest nieszczęście faraona i Egiptu! — zawołała królowa, wskazując na Fenicjanina.

— Czcigodna pani — odparł niezmieszany

Hiram, kłaniając się — czas pokaże, kto był wiernym, a kto złym sługą jego świątobliwości...

Ramzes XIII-ty nagle stanął przed Hiramem.

— Masz listy Herhora do Asyrji?... — zapytał.

Fenicjanin wydobył z pod odzienia paczkę i, milcząc, oddał ją faraonowi.

— Tego było mi potrzeba! — zawołał z triumfem władca. — Trzeba natychmiast ogłosić ludowi, że arcykapłani zdradzili państwo.

— Synu mój — wtrąciła błagalnym głosem królowa — na cień ojca... na nasze bogi zaklinam cię, wstrzymaj się parę dni z tem ogłoszeniem... Z darami Fenicjan trzeba być bardzo ostrożnym...

— Wasza świątobliwość — wtrącił Hiram — może nawet spalić te listy. Mnie nic na nich nie zależy.

Faraon pomyślał i schował paczkę za kaftan.

— Cóż słyszałeś w Dolnym Egipcie? — zapytał pan.

— Wszędzie biją Fenicjan — odparł Hiram.— Domy nasze są burzone, sprzęty rozkradane i już kilkudziesięciu ludzi zabito.

— Słyszałem!... To robota kapłanów — rzekł pan.

— Lepiej powiedz, mój synu, że to są skutki bezbożności i zdzierstwa Fenicjan — wtrąciła królowa.

Hiram odwrócił się do pani bokiem i mówił:

— Od trzech dni siedzi w Memfisie naczelnik

policji z Pi-Bast, z dwoma pomocnikami i — już są na tropie mordercy i oszusta Lykona...

— Który wychował się w fenickich świątyniach! — zawołała królowa Nikotris.

— ...Lykona — ciągnął Hiram — którego arcykapłan Mefres wykradł policji i sądom... Lykona, który w Tebach, udając waszą świątobliwość, biegał nago po ogrodzie, jako warjat...

— Co mówisz?... — krzyknął faraon.

— Niech wasza świątobliwość zapyta się najczcigodniejszej królowej, gdyż ona go widziała... — odparł Hiram.

Ramzes zmieszany spojrzał na matkę.

— Tak — rzekła królowa — widziałam tego nędznika, lecz nie wspominałam nic, ażeby oszczędzić ci boleści... Muszę jednak objaśnić, że nikt nie ma dowodu na to, ażeby Lykon był nasadzony przez arcykapłanów, gdyż równie dobrze mogli to zrobić Fenicjanie...

Hiram uśmiechnął się szyderczo.

— Matko... matko!... — odezwał się z żalem Ramzes — czyliż w twojem sercu kapłani nawet ode mnie są lepsi?...

— Ty jesteś mój syn i pan najdroższy— mówiła z uniesieniem królowa — ale nie mogę ścierpieć, ażeby człowiek obcy... poganin... miotał oszczerstwa na święty stan kapłański, z którego oboje pochodzimy...

O Ramzesie!... — zawołała, padając na kolana — wypędź złych doradców, którzy cię popychają do znieważania świątyń, do podnoszenia ręki na

następcę dziada twego Amenhotepa!... Jeszcze czas... jeszcze czas do zgody... do ocalenia Egiptu...

Nagle wszedł do komnaty Pentuer w poszarpanej odzieży.

— No, a ty co powiesz? — zapytał z dziwnym spokojem faraon.

— Dziś, może zaraz — odparł wzruszony kapłan — będzie zaćmienie słońca...

Faraon aż się cofnął ze zdziwienia.

— Cóż mnie obchodzi zaćmienie słońca, jeszcze w tej chwili?...

— Panie — mówił Pentuer — ja tak samo myślałem, dopókim nie przeczytał w dawnych kronikach opisów zaćmień... Jest to tak przerażające zjawisko, że należałoby o niem ostrzec cały naród...

— Otóż jest!... — wtrącił Hiram.

— Dlaczegóżeś wcześniej nie dał znać?... — zapytał kapłana Tutmozis.

— Dwa dni więzili mnie żołnierze... Narodu już nie ostrzeżemy, lecz zawiadomcie przynajmniej wojska przy placu, ażeby choć one nie ulegały popłochowi.

Faraon klasnął w ręce.

— Ach, źle się stało!... — szepnął i dodał głośno: — Cóż to ma być i kiedy?...

— W dzień zrobi się noc...—mówił kapłan.— Ma trwać podobno tyle czasu, ile potrzeba na przejście 500 kroków... A zacznie się w południe... Tak mi mówił Menes...

— Menes? — powtórzył faraon. — Znam to nazwisko, ale...

— On pisał list o tem do waszej świątobliwości... Ależ dajcie znać wojsku!...

Wnet odezwały się trąbki. Gwardja i Azjaci stanęli pod bronią i faraon, otoczony sztabem, zawiadomił wojsko o zaćmieniu, dodając, aby się nie lękali, gdyż ciemność zaraz przejdzie, a on sam będzie przy nich.

— Żyj wiecznie! — odpowiedziały zbrojne szeregi.

Jednocześnie wysłano kilku najroztropniejszych jeźdźców do Memfisu.

Generałowie stanęli na czele kolumn, faraon przechadzał się po dziedzińcu zamyślony, cywilni dostojnicy pocichu szeptali z Hiramem, a królowa Nikotris, zostawszy sama w komnacie, upadła na twarz przed posągiem Ozirisa.

Było już po pierwszej, i istotnie słoneczne światło poczęło się zmniejszać.

— Naprawdę będzie noc? — spytał faraon Pentuera.

— Będzie, lecz bardzo krótko...

— Gdzież podzieje się słońce?

— Ukryje się za księżyc...

— Muszę przywrócić do łaski mędrców, którzy badają gwiazdy... — wtrącił do siebie pan.

Mrok szybko się powiększał. Konie Azjatów zaczęły się niepokoić, roje ptactwa spadły na ogród i z głośnym świegotem obsiadły wszystkie drzewa.

— Odezwijcież się!... — zawołał Kalipos do Greków.

Zadudniły bębny, zagwizdały flety i, przy tym akompanjamencie, pułk grecki zaśpiewał skoczną piosenkę o córce kapłana, która tak się bała strachów, że mogła sypiać tylko w koszarach.

Wtem na żółte wzgórza libijskie padł złowrógi cień i z błyskawiczną szybkością zakrył Memfis, Nil i pałacowe ogrody. Noc ogarnęła ziemię, a na niebie ukazała się czarna jak węgiel kula, otoczona wieńcem płomieni.

Niezmierny wrzask zagłuszył pieśń greckiego pułku. To Azjaci wydali okrzyk wojenny, wypuszczając ku niebu chmurę strzał dla odstraszenia złego ducha, który chciał pożreć słońce.

— Mówisz, że ten czarny krąg to księżyc?— pytał faraon Pentuera.

— Tak utrzymuje Menes...

— Wielki to mędrzec!... I ciemność zaraz się skończy?...

— Z pewnością...

— A gdyby ten księżyc oderwał się od nieba i spadł na ziemię?...

— To być nie może... Otóż i słońce!... — zawołał z radością Pentuer.

Wszystkie zgromadzone pułki wydały okrzyk na cześć Ramzesa XIII-go.

Faraon uścisnął Pentuera.

— Zaprawdę—rzekł pan — widzieliśmy dziwne zdarzenie... Ale nie chciałbym widzieć go po

raz drugi... Czuję, że gdybym nie był żołnierzem, trwoga opanowałaby moje serce.

Hiram zbliżył się do Tutmozisa i szepnął:

— Wyślijże wasza dostojność natychmiast gońców do Memfisu, gdyż obawiam się, że arcykapłani zrobili wam coś niedobrego...

— Myślisz?...

Hiram kiwał głową.

— Nie rządziliby tak długo państwem—rzekł— nie pogrzebaliby ośmnastu waszych dynastyj, gdyby nie umieli korzystać z podobnych dzisiejszemu wypadków!...

Podziękowawszy wojskom za dobrą postawę wobec niezwykłego zjawiska, faraon wrócił do willi. Był wciąż zamyślony, przemawiał spokojnie, nawet łagodnie, ale na pięknej twarzy jego malowała się niepewność.

Istotnie, w duszy Ramzesa toczyła się ciężka walka. Zaczynał rozumieć, że kapłani mają w ręku siły, których on nietylko nie brał w rachubę, ale nawet nie zastanawiał się nad niemi, nie chciał o nich słuchać.

Kapłani, śledzący ruchy gwiazd, w ciągu kilku minut niezmiernie urośli w jego oczach. I faraon mówił w sobie, że jednak należy poznać tę dziwną mądrość, która w tak straszny sposób miesza ludzkie zamiary.

Goniec za gońcem wylatywał z pałacu do Memfisu, aby dowiedzieć się: co tam zaszło podczas zaćmienia? Ale gońcy nie wracali i nad królewskim orszakiem niepewność roztoczyła czarne

skrzydła. Że pod świątynią Ptah zdarzyło się coś złego, o tem nietylko nikt nie wątpił, ale nawet nie śmiał snuć własnych domysłów. Zdawało się, że i faraon i jego zaufani radzi są z każdej minuty, jaka upłynęła im bez wiadomości stamtąd.

Tymczasem królowa Nikotris, usiadłszy obok pana, szeptała mu:

— Pozwól mi działać, Ramzesie... Kobiety naszemu państwu niejedną oddały usługę!... Tylko przypomnij sobie królowę Nikotris za szóstej dynastji, albo Makarę, która stworzyła flotę na Morzu Czerwonem!... Naszej płci nie brak ani rozumu, ani energji, więc pozwól mi działać... Jeżeli świątynia Ptah nie została zdobyta, a kapłani skrzywdzeni, pogodzę cię z Herhorem. Pojmiesz za żonę jego córkę, i panowanie twoje będzie pełne chwały... Pamiętaj, że twój dziad, święty Amenhotep był również arcykapłanem i namiestnikiem faraona, i że ty sam, kto wie, czy panowałbyś dzisiaj, gdyby święty stan kapłański nie pragnął mieć własnej krwi na tronie... Tak że wywdzięczasz się im za władzę?...

Faraon słuchał jej, ale wciąż myślał, że jednak mądrość kapłanów jest ogromną siłą, a walka z nimi trudna...

Dopiero o trzeciej zjawił się pierwszy goniec z Memfisu, adjutant pułku, który stał pod świątynią. Powiedział on faraonowi, że świątyni nie zdobyto z powodu gniewu bogów; że lud uciekł, kapłani triumfują, a nawet w wojsku powstał nieporządek podczas tej strasznej, choć krótkiej nocy.

Potem zaś, wziąwszy na bok Tutmozisa, adjutant oświadczył mu bez ogródki, że wojsko jest zdemoralizowane, że skutkiem ucieczki w popłochu ma tylu rannych i zabitych, jak po bitwie.

— Cóż się teraz dzieje z wojskiem?... — zapytał struchlały Tutmozis.

— Naturalnie — odparł adjutant — że udało się nam zgromadzić i uszykować żołnierzy. Ale o użyciu ich przeciw świątyniom nawet mowy być nie może... szczególnie teraz, gdy kapłani zajęli się opatrywaniem rannych... Teraz żołnierz na widok ogolonego łba i panterczej skóry gotów padać na ziemię i dużo czasu upłynie, nim który odważyłby się przekroczyć świętą bramę...

— A cóż kapłani?...

— Błogosławią żołnierzy, karmią ich, poją i udają, że wojsko nie winno napadowi na świątynię, że to była robota Fenicjan...

— I wy pozwalacie na to demoralizowanie pułków?... — zawołał Tutmozis.

— Przecież jego świątobliwość rozkazał nam bronić kapłanów przeciw pospólstwu... — odparł adjutant. — Gdyby nam pozwolono zająć świątynie, bylibyśmy w nich od dziesiątej z rana, a arcykapłani siedzieliby w piwnicach.

W tej chwili oficer dyżurny zawiadomił Tutmozisa, że znowu jakiś kapłan, przybyły od Memfisu, chce mówić z jego świątobliwością.

Tutmozis obejrzał gościa. Był to człowiek jeszcze dość młody, z twarzą jakby wyrzeźbioną

w drzewie. Powiedział, że przychodzi do faraona od Samentu.

Ramzes natychmiast przyjął kapłana, który, upadłszy na ziemię, podał władcy pierścień, na którego widok faraon pobladł.

— Co to znaczy?... — zapytał pan.

— Samentu nie żyje... — odpowiedział wysłannik.

Ramzes przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie rzekł:

— Jak się to stało?...

— Zdaje się — mówił kapłan — że Samentu został odkryty w jednej z sal Labiryntu i sam się otruł, aby uniknąć mąk... I zdaje się, że odkrył go Mefres, przy pomocy jakiegoś Greka, który ma być bardzo podobny do waszej świątobliwości...

— Znowu Mefres i Lykon! — zawołał z gniewem Tutmozis. — Panie — zwrócił się do faraona — czyliż nigdy nie uwolnisz się od tych zdrajców?...

Jego świątobliwość znowu zwołał poufną radę do swej komnaty. Wezwał na nią Hirama, tudzież kapłana, który przyszedł z pierścieniem Samentu. Pentuer nie chciał w naradzie brać udziału, a czcigodna królowa Nikotris sama na nią przyszła.

— Widzę — szepnął Hiram do Tutmozisa — że po wypędzeniu kapłanów baby zaczną rządzić Egiptem!...

Gdy zebrali się dostojnicy, faraon dał głos posłannikowi Samentu. Młody kapłan nie chciał nic mówić o Labiryncie. Natomiast szeroko rozwodził

się nad tem, że świątynia Ptah wcale nie jest broniona, i że dość byłoby kilkudziesięciu żołnierzy, aby zabrać wszystkich, którzy w niej się ukrywają.

— Ten człowiek jest zdrajcą!... — krzyknęła królowa. — Sam kapłan namawia was do gwałtu nad kapłanami...

Ale w twarzy posłannika nie drgnął żaden muskuł.

— Czcigodna pani — odparł — jeżeli Mefres zgubił mego opiekuna i mistrza Samentu, byłbym psem, gdybym nie szukał zemsty. Śmierć za śmierć!...

— Podoba mi się ten młody! — szepnął Hiram.

Rzeczywiście, w zebraniu powiało jakby świeższe powietrze. Generałowie wyprostowali się, cywilni dostojnicy patrzyli na kapłana z ciekawością, nawet twarz faraona ożywiła się.

— Nie słuchaj go, synu mój!... — błagała królowa.

— Jak myślisz? — odezwał się nagle faraon do młodego kapłana — co uczyniłby teraz święty Samentu, gdyby żył?...

— Jestem pewny — odparł energicznie kapłan — że Samentu wszedłby do świątyni Ptah, bogom spaliłby kadzidło, ale ukarałby zdrajców i morderców...

— A ja powtarzam, że ty jesteś najgorszy zdrajca!... — zawołała królowa.

— Spełniam tylko mój obowiązek — odparł niewzruszony kapłan.

— Zaprawdę, ten człowiek jest uczniem Samentu!... — wtrącił Hiram. — On jeden jasno widzi, co nam pozostaje do zrobienia.

Wojskowi i cywilni dostojnicy przyznali Hiramowi słuszność, a wielki pisarz dodał:

— Skoro zaczęliśmy walkę z kapłanami, należy ją dokończyć, tem bardziej dziś, gdy mamy listy, dowodzące, że Herhor układał się z Asyryjczykami, co jest wielką zdradą państwa.

— On prowadzi politykę Ramzesa XII-go — wtrąciła królowa.

— Ależ ja jestem Ramzes XIII-ty!... — już niecierpliwie odpowiedział faraon.

Tutmozis podniósł się z krzesła.

— Panie mój — rzekł — pozwól mi działać. Jest rzeczą bardzo niebezpieczną przeciągać ten stan niepewności, jaki panuje w rządzie, a byłoby zbrodnią i głupotą nie skorzystać z okazji. Skoro mówi ten kapłan, że świątynia nie jest broniona, pozwól mi, abym poszedł do niej z garstką ludzi, których sam wybiorę...

— Ja z tobą — wtrącił Kalipos. — Według mego doświadczenia, nieprzyjaciel triumfujący jest najsłabszy. Jeżeli więc zaraz wpadniemy do świątyni Ptah...

— Nie potrzebujecie wpadać, ale wejść tam, jako wykonawcy rozkazów faraona, który poleca wam uwięzić zdrajców — odezwał się wielki pisarz. — Na to nie potrzeba nawet siły... Ileż to razy jeden policjant rzuca się na gromadę złodziejów i chwyta, ilu chce...

— Syn mój — odezwała się królowa — ustępuje pod naciskiem waszych rad... Ale on nie chce gwałtu, zabrania wam...

— Ha, jeżeli tak — odezwał się młody kapłan Seta — więc powiem jego świątobliwości jeszcze jedną rzecz...

Parę razy odetchnął głęboko, lecz mimo to dokończył stłumionym głosem:

— Na ulicach Memfisu stronnictwo kapłańskie ogłasza, że...

— Że co?... mów śmiało — wtrącił faraon.

— Że wasza świątobliwość jesteś obłąkany, że nie masz święceń arcykapłańskich, ani nawet królewskich, i że... można złożyć was z tronu...

— Tego właśnie obawiałam się — szepnęła królowa.

Faraon zerwał się z fotelu.

— Tutmozisie! — zawołał głosem, w którym było czuć odzyskaną energję. — Bierz wojska, ile chcesz, idź do świątyni Ptah i — przyprowadź mi Herhora i Mefresa, oskarżonych o wielkie zdrady. Jeżeli usprawiedliwią się, powrócę im moją łaskę; w razie przeciwnym...

— Czy zastanowiłeś się?... — przerwała królowa.

Tym razem oburzony faraon nie odpowiedział jej, a dostojnicy poczęli wołać:

— Śmierć zdrajcom!... Od kiedyż to w Egipcie faraon ma poświęcać wierne sługi dla wyżebrania sobie łaski nikczemników!...

Ramzes XIII-ty wręczył Tutmozisowi paczkę

listów Herhora do Asyrji i rzekł uroczystym głosem:

— Aż do uśmierzenia buntu kapłanów, przelewam moją władzę na osobę naczelnika gwardji, Tutmozisa. Teraz jego słuchajcie, a ty, czcigodna matko, do niego zwracaj się ze swemi uwagami.

— Mądrze i sprawiedliwie czyni pan!... — zawołał wielki pisarz. — Faraonowi nie wypada borykać się z buntem, a brak energicznej władzy może nas zgubić.

Wszyscy dostojnicy schylili się przed Tutmozisem. Królowa Nikotris z jękiem upadła synowi do nóg.

Tutmozis, w towarzystwie generałów, wyszedł na dziedziniec. Kazał uformować się pierwszemu pułkowi gwardji i rzekł:

— Potrzebuję kilkudziesięciu ludzi, którzy gotowi są zginąć za sławę pana naszego...

Wysunęło się więcej niż trzeba żołnierzy i oficerów, a na ich czele Eunana.

— Czy jesteście przygotowani na śmierć? — spytał Tutmozis.

— Umrzemy, panie, z tobą, dla jego świątobliwości!... — zawołał Eunana.

— Nie umrzecie, ale zwyciężycie podłych zbrodniarzy — odparł Tutmozis. — Żołnierze, należący do tej wyprawy, zostaną oficerami, a oficerowie awansują o dwa stopnie wyżej. Tak mówię wam ja, Tutmozis, z woli faraona wódz naczelny.

— Żyj wiecznie!...

Tutmozis kazał zaprząc dwadzieścia pięć

dwukolnych wozów ciężkiej kawalerji i wsadzić na nie ochotników. Sam w towarzystwie Kaliposa wsiedli na konie, i niebawem cały orszak, skierowany ku Memfisowi, zniknął w kurzawie.

Widząc to z okna królewskiej willi, Hiram schylił się przed faraonem i szepnął:

— Teraz dopiero wierzę, iż wasza świątobliwość nie byłeś w spisku z arcykapłanami...

— Oszalałeś?... — wybuchnął pan.

— Wybacz, władco, ale dzisiejszy napad na świątynie był ułożony przez kapłanów. Jakim zaś sposobem wciągnęli do niego waszą świątobliwość? — nie rozumiem.

Była już godzina piąta po południu.

ROZDZIAŁ XVII.

W tym samym czasie, co do minuty, kapłan czuwający na pylonie świątyni Ptah w Memfisie, zawiadomił obradujących w sali arcykapłanów i nomarchów, że — pałac faraona daje jakieś znaki.

— Zdaje się, że jego świątobliwość będzie nas prosił o zgodę — rzekł, śmiejąc się, jeden z nomarchów.

— Wątpię!... — odparł Mefres.

Herhor wyszedł na pylon: do niego bowiem sygnalizowano z pałacu. Wkrótce wrócił i rzekł do zebranych:

— Nasz młody kapłan sprawił się bardzo do-

brze... W tej chwili jedzie Tutmozis z kilkudziesięcioma ochotnikami, aby nas uwięzić, albo zabić...

— I ty jeszcze będziesz śmiał bronić Ramzesa?... — krzyknął Mefres.

— Bronić go muszę i będę, gdyż uroczyście zaprzysiągłem to królowej... Gdyby zaś nie czcigodna córka świętego Amenhotepa, nasze położenie nie byłoby takiem, jak jest.

— No, ale ja nie przysięgałem!... — odparł Mefres i opuścił salę zebrań.

— Co on chce robić? — spytał jeden z nomarchów.

— Zdziecinniały starzec!... — odparł Herhor, wzruszając ramionami.

Przed szóstą wieczorem oddział gwardji, nie zatrzymany przez nikogo, zbliżył się do świątyni Ptah, a dowódca zapukał w bramę, którą natychmiast otworzono. Był to Tutmozis ze swoimi ochotnikami.

Kiedy naczelny wódz wszedł na dziedziniec świątyni, zdziwił się, widząc, że naprzeciw niego wystąpił Herhor, w infule Amenhotepa, otoczony tylko kapłanami.

— Czego żądasz, synu mój? — zapytał arcykapłan wodza, nieco zmieszanego tym wypadkiem.

Ale Tutmozis prędko zapanował nad sobą i rzekł:

— Herhorze, arcykapłanie Amona tebańskiego! Na mocy listów, które pisałeś do Sargona, satrapy Asyryjskiego, a które to listy mam przy so-

bie, jesteś oskarżony o zdradę państwa i musisz usprawiedliwić się przed faraonem...

— Jeżeli młody pan — spokojnie odparł Herhor — chce dowiedzieć się o celach polityki wiecznie żyjącego Ramzesa XII-go, niech zgłosi się do naszej najwyższej Rady, a otrzyma objaśnienia.

— Wzywam cię, ażebyś natychmiast szedł za mną, jeżeli nie chcesz, abym cię zmusił — zawołał Tutmozis.

— Synu mój, błagam bogów, aby ochronili cię od gwałtu i kary, na jaką zasługujesz...

— Idziesz? — spytał Tutmozis.

— Czekam tu na Ramzesa — odparł Herhor.

— A więc zostań tu, oszuście!... — krzyknął Tutmozis.

Wydobył miecz i rzucił się na Herhora. W tej chwili stojący za wodzem Eunana podniósł topór i z całej siły uderzył Tutmozisa między szyję i prawy obojczyk, aż krew trysnęła na wszystkie strony. Ulubieniec faraona padł na ziemię, prawie nawpół rozcięty.

Kilku żołnierzy z pochylonemi włóczniami podskoczyło do Eunany, lecz po krótkiej walce z towarzyszami polegli. Z pomiędzy ochotników trzy czwarte było na żołdzie kapłańskim.

— Niech żyje świątobliwy Herhor, pan nasz!— zawołał Eunana, wywijając zakrwawionym toporem.

— Niech żyje wiecznie! — powtórzyli żołnierze i kapłani i — wszyscy padli twarzami na ziemię.

Najdostojniejszy Herhor wzniósł ręce i błogosławił ich.

Opuściwszy dziedziniec świątyni, Mefres zstąpił do podziemi, gdzie zamieszkiwał Lykon. Arcykapłan zaraz na progu wydobył z zanadrza kryształową kulę, na której widok Grek wpadł w gniew:

— Bodaj was ziemia pochłonęła!... Bodaj trupy wasze nie zaznały spokoju!... — złorzeczył Lykon coraz cichszym głosem.

Wkońcu umilkł i zasnął.

— Weź ten sztylet — mówił Mefres, podając Grekowi wąziutką stal. — Weź ten sztylet i idź do pałacowego ogrodu... Tam stań w figowym klombie i czekaj na tego, który zabrał ci i uwiódł Kamę...

Lykon począł zgrzytać zębami w bezsilnej złości.

— A gdy go ujrzysz, obudź się... — zakończył Mefres.

Potem narzucił na Greka oficerski płaszcz z kapturem, do ucha szepnął mu hasło i z podziemiów, przez ukrytą furtkę świątyni, wyprowadził go na pustą ulicę Memfisu.

Następnie Mefres z żywością młodzieńca pobiegł na szczyt pylonu i, wziąwszy do rąk kilka różnobarwnych chorągiewek, począł dawać znaki, w kierunku pałacu faraona. Dostrzeżono go widać i zrozumiano, gdyż na pargaminowej twarzy arcykapłana błysnął przykry uśmiech.

Mefres złożył chorągiewki, opuścił taras pylonu i zwolna począł schodzić na dół. Wtem, gdy już był na pierwszem piętrze, otoczyło go kilku lu-

dzi w brunatnych opończach, któremi zasłaniali kaftany w czarne i białe pasy.

— Oto jest najdostojniejszy Mefres — rzekł jeden z nich.

I wszyscy trzej uklękli przed arcykapłanem, który machinalnie podniósł rękę, jakby do błogosławieństwa, lecz nagle upuścił ją, pytając:

— Kto wy jesteście?...

— Dozorcy Labiryntu.

— Czegóż zastąpiliście mi drogę? — rzekł, a jednocześnie zaczęły mu drżeć ręce i wąskie usta.

— Nie potrzebujemy ci przypominać, święty mężu — mówił jeden z dozorców, wciąż klęcząc — że kilka dni temu byłeś w Labiryncie, do którego wiesz drogę tak dobrze, jak my, choć nie jesteś wtajemniczonym... Jesteś zaś zbyt wielkim mędrcem, ażebyś nie miał znać i naszych praw w podobnych wypadkach.

— Co to znaczy?... — zawołał podniesionym głosem Mefres. — Jesteście zbójcy, nasłani przez Her...

Nie dokończył. Jeden z napastników schwycił go za ręce, drugi zarzucił mu chustkę na głowę, a trzeci skropił mu twarz przezroczystym płynem. Mefres rzucił się kilka razy i upadł. Jeszcze raz pokropiono go, a gdy skonał, dozorcy położyli go we framudze, w martwą rękę wsunęli jakiś papirus i — znikli w kurytarzach pylonu.

Trzej tak samo ubrani ludzie uganiali się za Lykonem prawie od chwili, gdy wypuszczony ze

Świątyni przez Mefresa, znalazł się na pustej ulicy.

Ludzie ci kryli się niedaleko furtki, przez którą przeszedł Grek, i z początku przepuścili go wolno. Lecz wnet jeden z nich dostrzegł w jego ręku coś podejrzanego, więc wszyscy poczęli iść za nim.

Dziwna rzecz! Uśpiony Lykon, jakby przeczuwając gonitwę, nagle skręcił w ulicę ruchliwą, potem na plac, gdzie krążyło mnóstwo ludzi, a potem ulicą Rybacką pobiegł do Nilu. Tu, w jakimś zaułku, znalazł małe czółno, skoczył w nie i z niesłychaną szybkością zaczął przeprawiać się na drugą stronę rzeki.

Był już o paręset kroków oddalony od brzegu, gdy wysunęła się za nim łódź z jednym przewoźnikiem i trzema podróżnymi. Ledwie zaś ci odbili, ukazała się druga łódź, mająca dwu przewoźników i znowu trzech podróżnych.

Obie łodzie zawzięcie ścigały Lykona.

W tej, która miała tylko jednego wioślarza, siedzieli dozorcy Labiryntu i pilnie przypatrywali się swoim współzawodnikom, o ile pozwalał na to zmierzch, prędko zapadający po zachodzie słońca.

— Co to za jedni tamci trzej?... — szeptali między sobą dozorcy z Labiryntu. — Od onegdaj krążyli dokoła świątyni, a dziś gonią za nim... Czyby go chcieli zasłonić przed nami?...

Drobna łódka Lykona przybiła do drugiego brzegu. Uśpiony Grek wyskoczył z niej i szybkim krokiem począł iść ku pałacowym ogrodom. Niekiedy zataczał się, stawał i chwytał się za głowę;

lecz po chwili znowu szedł, jakby ciągniony przez niepojętą siłę.

Dozorcy Labiryntu również wylądowali na drugim brzegu, ale już byli wyprzedzeni przez swoich współzawodników.

I zaczął się jedyny w swoim rodzaju wyścig: Lykon pędził ku pałacowi królewskiemu, jak szybkobiegacz, za nim trzej ludzie nieznani, a na końcu — trzej dozorcy Labiryntu.

O kilkaset kroków od ogrodu obie goniące grupy zetknęły się z sobą. Była już noc, ale jasna.

— Kto wy jesteście, ludzie? — zapytał nieznajomych dozorca Labiryntu.

— Jestem naczelnikiem policji z Pi-Bast i, z dwoma moimi setnikami, ścigam wielkiego zbrodniarza...

— A my jesteśmy dozorcy Labiryntu i również ścigamy tego człowieka...

Obie grupy przypatrywały się sobie z rękoma na mieczach lub nożach.

— Co... chcecie z nim zrobić? — spytał wreszcie naczelnik policji.

— Mamy przeciw niemu wyrok...

— A trupa zostawicie?

— Ze wszystkiem, co ma na sobie — odparł starszy dozorcą.

Policjanci szeptali między sobą.

— Jeżeli mówicie prawdę — rzekł wreszcie naczelnik policji — nie będziemy wam przeszkadzali. Owszem, pożyczymy go wam na chwilę, gdy wpadnie w nasze ręce...

— Przysięgacie?

— Przysięgamy...

— No, to możemy iść razem...

Przyłączyli się, ale — Grek zniknął im z oczu.

— Przeklęty!... — zawołał naczelnik policji— znowu umknął...

— Znajdzie się — odparł dozorca z Labiryntu — a może nawet tędy będzie wracał.

— Pocóżby szedł do królewskiego ogrodu?— spytał naczelnik.

— Arcykapłani używają go do jakichś swoich interesów, ale on wróci do świątyni, wróci!... — mówił dozorca.

Postanowili tedy czekać i działać wspólnie.

— Trzecią noc marnujemy! — rzekł jeden z policjantów, ziewając.

Owinęli się w burnusy i legli na trawie.

Natychmiast po wyjeździe Tutmozisa, czcigodna pani Nikotris, milcząc, z zaciśniętemi z gniewu ustami, opuściła komnaty syna. A gdy Ramzes chciał ją uspokoić, ostro przerwała mu:

— Żegnam faraona i proszę bogów, ażeby pozwolili mi jutro powitać cię jeszcze jako faraona...

— Wątpisz o tem, matko?

— O wszystkiem można zwątpić wobec człowieka, który słucha rad szaleńców i zdrajców!...

Rozeszli się, oboje zagniewani.

Wkrótce jego świątobliwość odzyskał dobry humor i wesoło rozmawiał z dostojnikami. Ale już o 6-ej począł go trapić niepokój. .

— Tutmozis powinienby przysłać do nas goń-

ca... — mówił pan. — Bo jestem pewny, że sprawa, tak czy owak, już się rozstrzygnęła...

— Tego nie wiem — odparł wielki skarbnik.— Mogli nie znaleźć statków u przewozu... Mogą w świątyni stawiać opór...

— A gdzie jest ten młody kapłan?... — spytał nagle Hiram.

— Kapłan?... wysłannik zmarłego Samentu?... — powtarzali zmieszani dostojnicy.—To prawda... gdzie on być może?...

Rozesłano żołnierzy, aby przeszukali ogród. Żołnierze obiegli wszystkie ścieżki, ale kapłana nie było.

Wypadek ten źle usposobił dostojników. Każdy siedział, milcząc, pogrążony w niespokojnych myślach.

O zachodzie słońca wszedł do komnaty pokojowiec faraona i szepnął, że pani Hebron ciężko zachorowała i błaga, ażeby jego świątobliwość raczył ją odwiedzić.

Dostojnicy, znając stosunek, jak łączył pana z piękną Hebron, spojrzeli po sobie. Ale gdy faraon oświadczył zamiar wyjścia na ogród, nie protestowali. Ogród, dzięki gęstym strażom, był równie bezpieczny, jak pałac. Nikt też nie uważał za stosowne, choćby zdaleka, czuwać nad faraonem, wiedząc, że Ramzes nie lubi, ażeby zajmowano się nim w pewnych chwilach.

Gdy pan zniknął w kurytarzu, wielki pisarz rzekł do skarbnika:

— Czas wlecze się jak wozy w pustyni. Może Hebron ma wiadomość od Tutmozisa?...

— W tej chwili — odparł skarbnik — jego wyprawa w kilkudziesięciu ludzi na świątynię Ptah wydaje mi się niepojętem szaleństwem...

— A czy rozsądniej zrobił faraon nad Sodowemi Jeziorami, kiedy całą noc uganiał się za Tehenną?... — wtrącił Hiram. — Odwaga więcej znaczy, aniżeli liczba.

— A ten młody kapłan?... — zapytał skarbnik.

— Przyszedł bez naszej wiedzy i odszedł, nie pytając — rzekł Hiram. — Każdy z nas postępuję, jak spiskowiec.

Skarbnik pokręcił głową.

Ramzes szybko przebiegł odległość dzielącą jego willę od pałacyku Tutmozisa. Gdy wszedł do pokoju, Hebron z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Umieram z trwogi!... — zawołała.

— Lękasz się o Tutmozisa?

— A cóż on mnie obchodzi? — odparła Hebron, robiąc pogardliwy grymas ustami. — Ty jeden obchodzisz mnie... o tobie jednym myślę... o ciebie się lękam...

— Błogosławioną niech będzie twoja trwoga, która choć na chwilę uwolniła mnie od nudów... — rzekł, śmiejąc się, faraon. — Bogowie! jakiż to ciężki dzień... Gdybyś słyszała nasze narady, gdybyś widziała miny naszych doradców!... I jeszcze, nadomiar wszystkiego, podobało się czcigodnej królowej uczcić nasze zebranie swoją obecnością... Nigdy nie

przypuszczałem, że dostojeństwo faraona może mi tak dokuczyć...

— Nie wymawiaj tego zbyt głośno — ostrzegła Hebron... — Co poczniesz, jeżeli Tutmozisowi nie uda się opanować świątyni?

— Odbiorę mu naczelne dowództwo, schowam do skrzyni moją koronę i włożę hełm oficerski — odpowiedział Ramzes. — Jestem pewny, że gdy sam wystąpię na czele wojska, bunt upadnie...

— Który?... — zapytała Hebron.

— Ach, prawda, że mamy aż dwa bunty! — zaśmiał się Ramzes. — Pospólstwo przeciw kapłanom, kapłani przeciw mnie...

Pochwycił Hebron w objęcia i zaprowadził na kanapę, szepcąc:

— Jakaś ty dziś piękna!... Ile razy widzę cię, zawsze wydajesz mi się zupełnie inną i coraz piękniejszą...

— Puść mnie!... — szepnęła Hebron. — Czasami lękam się, ażebyś mnie nie ugryzł!

— Ugryźć... nie... ale mógłbym cię zacałować na śmierć... Ty nawet nie wiesz, jaka jesteś piękna...

— Po ministrach i generałach... No, puść...

— Chciałbym przy tobie zamienić się w krzak granatu... Chciałbym mieć tyle ramion, ile drzewo ma konarów, ażeby cię ściskać... Tyle dłoni, ile jest liści, i tyle ust, ile kwiatów, ażebym w jednej chwili mógł całować twoje oczy, usta, piersi...

— Jak na władcę, którego tron jest zagrożony, masz myśli dziwnie swobodne...

— Na łożu nie dbam o tron — przerwał. — Dopóki mam miecz, będę miał władzę.

— Wojsko twoje jest rozbite — mówiła, broniąc się, Hebron.

— Jutro przybędą świeże pułki, a pojutrze zgromadzę rozbitych. Powtarzam ci, nie zaprzątaj się marnościami... Chwila pieszczot więcej warta, aniżeli rok władzy...

W godzinę po zachodzie słońca, faraon opuścił mieszkanie Hebron i powoli wracał do swego pałacyku. Był rozmarzony, senny i myślał, że arcykapłani są wielkimi głupcami, stawiając mu opór. Jak Egipt Egiptem, nie byłoby lepszego pana, niż on.

Nagle, z pomiędzy kępy figowej, wysunął się człowiek w ciemnym płaszczu i zastąpił drogę faraonowi. Pan, aby mu się lepiej przypatrzyć, zbliżył twarz do jego twarzy i nagle zawołał:

— Ach, to ty, nędzniku?... Chodźże na odwach...

Był to Lykon. Ramzes schwycił go za kark; Grek syknął i ukląkł na ziemi. Jednocześnie faraon uczuł piekący ból z lewej strony brzucha.

— Jeszcze kąsasz? — zawołał Ramzes.

Oburącz potężnie ścisnął za szyję Greka, a gdy usłyszał chrobot łamanych kręgów, odrzucił go ze wstrętem.

Lykon upadł, miotając się w przedśmiertnych konwulsjach.

Faraon odszedł parę kroków. Dotknął się i namacał rączkę sztyletu.

— Ranił mnie?...

Wyciągnął ze swego boku wąziutką stal i przycisnął ranę.

— Ciekawym — myślał — czy który z moich doradców ma plaster?...

Uczuł mdłości i przyśpieszył kroku.

Tuż pod pałacykiem zabiegł mu drogę jeden z oficerów, wołając:

— Tutmozis nie żyje... Zabił go zdrajca Eunana...

— Eunana?... — powtórzył faraon. — A cóż inni?...

— Prawie wszyscy ochotnicy, którzy pojechali z Tutmozisem, byli zaprzedani kapłanom...

— No, muszę już z tem skończyć! — rzekł pan. — Zatrąbcie na azjatyckie pułki...

Odezwała się trąbka, i Azjaci zaczęli wysypywać się z koszar, ciągnąc za sobą konie.

— Podajcie i mnie konia — rzekł faraon.

Ale uczuł silny zawrót głowy i dodał:

— Nie — podajcie mi lektykę... Nie chcę się męczyć...

Nagle zatoczył się na ręce oficerów.

— O mało nie zapomniałem... — mówił gasnącym głosem... — Przynieście hełm i miecz... ten stalowy miecz... z nad Jezior... Idziemy do Memfisu...

Z pałacyku wybiegli dostojnicy i służba z pochodniami. Faraon, podtrzymywany przez oficerów, miał szarą twarz i oczy zachodziły mu mgłą. Wyciągnął rękę, jakby szukając broni, poruszył ustami i, wśród ogólnej ciszy, przestał oddychać, on, pan dwu światów: doczesnego i zachodniego.

ROZDZIAŁ XVIII.

Od śmierci Ramzesa XIII-go aż do dnia jego pogrzebu rządził państwem, jako arcykapłan Amona tebańskiego a namiestnik zgasłego króla — najdostojniejszy San-amen-Herhor.

Kilkumiesięczna władza namiestnika była wielce pomyślną dla Egiptu. Herhor uspokoił bunty pospólstwa i, jak było dawnemi czasy, pozwolił co siódmy dzień wypoczywać ludziom pracującym. Zaprowadził surową karność między kapłanami, otoczył opieką cudzoziemców, a szczególnie Fenicjan, i zawarł traktat z Asyrją, nie odstępując jednak Fenicji, która pozostała hołdowniczką Egiptu.

W ciągu tych krótkich rządów sprawiedliwość wypełniała się szybko, ale bez okrucieństwa, i lada kto nie śmiał bić egipskiego chłopa, który mógł odwoływać się do sądu, jeżeli miał dosyć czasu i świadków.

Herhor zajął się też spłatą długów, obciążających majątki faraona i państwa. W tym celu skłonił Fenicjan do zrzeczenia się pewnej części sum, należących się im od skarbu, a na pokrycie reszty podniósł z Labiryntu ogromną kwotę 30.000 talentów.

Dzięki tym środkom, w ciągu trzech miesięcy, nastał w państwie spokój i dobrobyt, a ludzie mówili:

— Błogosławione niech będą rządy namiestnika San-amen-Herhora! Zaprawdę, bogowie przeznaczyli go na władcę, aby uwolnił Egipt od klęsk,

zadanych mu przez Ramzesa XIII-go, lekkoducha i łowcę kobiet...

Kilkadziesiąt dni wystarczyło, aby naród zapomniał, że wszystkie dzieła Herhora były tylko spełnieniem zamiarów młodego i szlachetnego faraona!

W miesiącu Tobi *), gdy mumję Ramzesa XIII-go już złożono w królewskich pieczarach, do świątyni Amona tebańskiego zeszło się wielkie zgromadzenie najdostojniejszych osób. Byli tam prawie wszyscy arcykapłani, nomarchowie i generałowie wojsk, a w ich liczbie okryty chwałą sędziwy wódz armji wschodniej — Nitager.

W tej samej olbrzymiej sali kolumnowej, gdzie przed pół rokiem kapłani sądzili Ramzesa XII-go i okazywali niechęć Ramzesowi XIII-mu, w tem samem miejscu dziś zgromadzili się dostojnicy, aby pod przewodnictwem Herhora rozstrzygnąć najważniejszą sprawę państwową. Jakoż dnia 25 Tobi, w samo południe, Herhor, w infule Amenhotepa, zasiadł na tronie, inni na krzesłach, i odbyła się narada.

Trwała dziwnie krótko, jakby rezultat jej zgóry był przygotowany.

— Arcykapłani, nomarchowie i wodzowie!— zaczął Herhor.—Zebraliśmy się tu w sprawie smutnej i ważnej. Wraz ze śmiercią wiecznie żyjącego Ramzesa XIII-go, którego krótkie i burzliwe panowanie skończyło się w tak nieszczęśliwy sposób...

Tu Herhor westchnął.

*) Październik — listopad.

Wraz ze śmiercią Ramzesa XIII-go nietylko zgasł faraon, ale i pełna sławy dynastja XX-ta...

Między zebranymi przeleciał szmer.

— Dynastja nie skończyła się — wtrącił prawie szorstko potężny nomarcha memfijski. — Żyje przecie czcigodna królowa Nikotris, więc tron należy do niej...

Po chwili odpowiedział Herhor:

— Najdostojniejsza małżonka moja, królowa Nikotris...

Teraz w zebraniu rozległ się nie szmer, ale krzyk i trwał kilka minut. Gdy ucichło, Herhor spokojnie i dobitnie mówił dalej:

— Moja najdostojniejsza małżonka, królowa Nikotris, nieutulona w żalu po śmierci syna, zrzekła się tronu...

— Pozwólcie!... — zawołał nomarcha memfijski. — Najdostojniejszy namiestnik mianuje królowę swoją małżonką... Jest to wiadomość zupełnie nowa, którą przedewszystkiem należy sprawdzić...

Na znak Herhora najwyższy sędzia tebański wydobył akt ślubu, zawartego przed dwoma dniami między najdostojniejszym arcykapłanem Amona, San-amen-Herhorem, i królową Nikotris, wdową po Ramzesie XII-ym, matką Ramzesa XIII-go.

Po tem wyjaśnieniu nastała grobowa cisza, Herhor zaś mówił:

— Ponieważ małżonka moja i jedyna dziedziczka tronu zrzekła się swych praw, ponieważ tym sposobem skończyło się panowanie XX-tej dynastji, musimy więc wybrać nowego władcę...

Władcą tym — ciągnął Herhor — powinien być człowiek dojrzały, energiczny i biegły w sprawowaniu rządów. Z tego powodu radzę wam, dostojnicy, ażebyśmy na najwyższe stanowisko wybrali...

— Herhora! — krzyknął ktoś.

— ...Ażebyśmy wybrali najsławniejszego Nitagera, wodza armji wschodniej — dokończył Herhor.

Nitager długą chwilę siedział z przymkniętemi oczyma, uśmiechając się. Wreszcie powstał i rzekł:

— Nigdy chyba nie zabraknie ludzi chętnych do tytułu faraona. Może nawet mielibyśmy ich nad potrzebę. Szczęściem sami bogowie, usuwając niebezpiecznych współzawodników, wskazali na człowieka, najgodniejszego władzy. I zdaje mi się, że uczynię roztropnie, gdy zamiast przyjmować łaskawie ofiarowaną mi koronę, odpowiem:

— Niech żyje wiecznie jego świątobliwość San-amen-Herhor, pierwszy faraon nowej dynastji!...

Obecni z małemi wyjątkami powtórzyli okrzyk, a jednocześnie najwyższy sędzia przyniósł na złotej tacy dwie czapki: białą — Górnego i czerwoną — Dolnego Egiptu. Jedną z nich wziął arcykapłan Ozirisa, drugą arcykapłan Horusa i — doręczyli je Herhorowi, który, ucałowawszy złotego węża, włożył je obie na głowę.

Potem rozpoczęła się ceremonja składania hołdu przez obecnych, która ciągnęła się parę godzin. Następnie spisano stosowny akt, uczestnicy

wyboru przyłożyli na nim swoje pieczęcie, i od tej chwili — San-amen-Herhor został rzeczywistym faraonem, panem obu światów, tudzież życia i śmierci swoich poddanych.

Nad wieczorem jego świątobliwość wrócił zmęczony do swych arcykapłańskich pokojów, gdzie zastał Pentuera. Kapłan zmizerniał, a na jego chudej twarzy malowało się znękanie i smutek.

Kiedy Pentuer upadł na twarz, pan podniósł go i rzekł z uśmiechem:

— Nie podpisałeś mego wyboru, nie złożyłeś mi hołdu, i lękam się, czy nie będę musiał oblegać cię kiedy w świątyni Ptah!...

Cóż, nie namyśliłeś się zostać przy mnie? Wolisz Menesa?

— Wybacz wasza świątobliwość — odpowiedział kapłan — ale życie dworskie tak mnie znużyło, że jedynem dziś mojem pragnieniem jest — uczyć się mądrości.

— Nie możesz zapomnieć Ramzesa? — spytał Herhor. — A jednak znałeś go bardzo krótko, podczas gdy u mnie pracowałeś kilka lat.

— Nie potępiaj mnie wasza świątobliwość, ale... Ramzes XIII-ty był pierwszym faraonem, który odczuł niedolę ludu egipskiego...

Herhor uśmiechnął się.

— Oj! wy uczeni...—rzekł, chwiejąc głową.— To przecież ty, ty sam, zwróciłeś uwagę Ramzesowi na położenie pospólstwa, a teraz nosisz po nim żałobę w sercu, chociaż on dla ludu nic nie zrobił... To ty zrobiłeś, nie on...

Zabawni z was ludzie, mimo potężnego umysłu — ciągnął Herhor. — Tak samo i Menes... Kapłan ten uważa się za najspokojniejszego człowieka w Egipcie, chociaż on to obalił dynastję, a mnie utorował drogę do władzy!...

Gdyby nie jego list o zaćmieniu słońca w dniu 20-tym Paofi, może obaj z nieboszczykiem Mefresem łamalibyśmy kamienie w kopalni...

No, idź już, idź i pozdrów ode mnie Menesa. Pamiętaj też, że umiem być wdzięcznym, co stanowi wielką tajemnicę władzy. Powiedz Menesowi, że spełnię każdą jego prośbę, byle mi naprzykład nie kazał wyrzec się tronu... Sam też wróć do mnie, gdy wypoczniesz, a zachowam dla ciebie poważne stanowisko.

I dotknął ręką pokornie schylonej głowy kapłana.

KONIEC

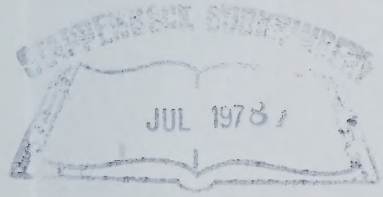
JUL 1978

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
891.85 G510F1929 C001 v.3
Faraon powiesici /
3 0112 093568399